
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

Państw. Gimn. i Lic. w Żychlinie
BIBLIOTEKA
92
Sau-Ben
836

WARSZAWSKA BIBLIOTEKA SŁOWIAŃSKA
1125

W stuletnią rocznicę ogłoszenia

niepodległości

Stanów Zjednoczonych północnéj Ameryki.

Benjamin Franklin. Jerzy Wasyngton.

Żywoty

opracowane przez

Zygmunta Sawczyńskiego.

Dochód czysty na bursy w Krakowie, Lwowie i Tarnopolu dla synów nauczycieli szkół ludowych.

Lwów. 1876.
Nakładem Towarzystwa pedagogicznego.
I. Związkowa Drukarnia we Lwowie, Hotel Żorża.

92 (Franklin) : 92 (Wasyngton) : 970

BIBLJOTEKA w Żychlinie

836

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. Ł. Ostrzyńskiej

46264/2

Do czytelnika!

Żywoty Franklina i Wasyngtona, które w książce téj podaję czytelnikowi, nie są pracą moją oryginalną. Tłómaczyłem je po największéj części z życiorysów, napisanych po niemiecku przez Ferdynanda Schmidta, zasłużonego na polu piśmiennictwa dla młodzieży pisarza. Wszelako nie poprzestałem na samym przekładzie, lecz uzupełniłem bądź własnemi uwagami, bądź wiadomościami zaczerpniętemi z innych dzieł i pism, zajmujących się tak życiem obu tych wielkich zeszłego stulecia mężów, jakoteż walką Stanów zjednoczonych o niepodległość. Osobliwie w żywocie Wasyngtona obszerniéj niż Schmidt opracowałem spór kolonii amerykańskich z rządem Wielkiéj Brytanii i wynikłą ze sporu tego walkę. Zasługiwał na to już sam ważny w dziejach nowożytnych fakt, jako przykład tak jasnéj świadomości i poszanowania prawa, jakoteż wielkiéj rozwagi i powagi w postępowaniu, i niczém nie zrażonéj w obronie praw tych wytrwałości, a zasługiwał on tém bardziéj wobec stuletniéj, na 4y Lipca r. b. przypadającéj, rocznicy ogłoszenia niepodległości Stanów zjednoczonych.

Wielki to, a w czasach naszych pokrzepiający, obraz tych usiłowań narodu, podjętych w obronie praw własnych, naruszanych i deptanych przez rząd zapamiętały i niesprawiedliwy; a w obrazie tym na pierwszym planie występują właśnie mężowie, których żywoty zawiera niniejsza książka. Żywoty te wykazują także, zwłaszcza młodym czytelnikom, dla których przedewszystkiém przeznaczam tę książkę, jakiemi to drogami obaj ci mężowie doszli i dobili się stanowisk, z których tyle dobrego zdziałać mogli dla sprawy

swéj ojczyzny. Toż rozpatrywanie się w wieku ich młodocianym, w pracy ich około własnego kształcenia się i umoralnienia podjętéj, tudzież w środkach na ten cel użytych, niech posłuży młodzi czytającéj za pobudkę i zachętę do podobnéj pracy, a przez nią do przyszłego jéj szczęścia i pomyślności. Niech pomni, że dobro i przyszłość narodu w znacznéj części polega na jéj pracy, już za młodu podjętéj; niech pamięta, że tylko w szkole rzetelnéj pracy przygotowana, rozwinąć będzie mogła w wieku dojrzałym ze stanowisk, w społeczeństwie zajętych, działanie, tak celu jak środków do niego wiodących świadome, działanie wytrwałe i stateczne, które zazwyczaj pomyślny wieńczy skutek.

We Lwowie d. 4go Lipca 1876.

Zygmunt Sawczyński.



BENJAMIN FRANKLIN.

„Wydarł niebu grom, tyranom berło.“
d' Alembert.

„Nie masz geniuszu bez usilnéj pracy.“
Kalendarz ubogiego Ryszarda.

I. Drukarczyk.

Ameryka północna otrzymała ludność swą dzisiejszą z Europy. Wychodźcy angielscy, uchodząc prześladowań religijnych i politycznych, za morzem, na przeciwnéj półkuli ziemskiéj, szukali schronienia; z czasem liczne zakładali osady, które razem zwały się Nową Anglią, bo też z Angli europejskiéj, jako swéj macierzy, wyszły i pod jéj zostawały rządem. W miarę wzrostu tych osad pierwotna Nowego świata ludność czerwonoskóra, coraz więcéj wypierana, cofała się w odludniejsze okolice, pozostawiając przybyszom wolne do działania i coraz większego sił rozwoju pole. Dziś z téj pierwotnéj indyańskiéj ludności stosunkowo mała tylko pozostała resztka, a i téj prawie z roku na rok jeszcze ubywa.

Byłoto w r. 1721ym. W małéj drukarni w mieście Bostonie, w owych zamorskich osadach, zaszło zdarzenie następujące. Kilku tamtejszych literatów odczytywało właśnie artykuły, nadesłane do dziennika, którego wydawcą odpowiedzialnym był właściciel drukarni, o któréj mowa. W drukarni téj siedział szesnastoletni drukarczyk, oczekując z niepokojem chwili, w któréj z kolei odczytać i osądzić miano artykuł dobrze mu znany. I on bowiem nie mógł się oprzeć pokusie; napisał także artykuł do dziennika swego pryncypała i rzucił go do skrzynki redakcyjnéj. Ale nie chcąc się narazić na śmiech i drwiny, artykułu nie podpisał, a nawet pismo swe do niepoznania odmienił.

Właśnie w téj chwili, bo już tytuł przeczytano, następuje z kolei ów artykuł. Według zwyczaju jeden z redaktorów na głos go czyta. Drukarczykowi serce mocniéj uderza. Żaden z redaktorów nawet nie przeczuwa, co to się dzieje w młodzieńcu, nad czcionkami pochylonym! Oto właśnie przeczytano artykuł; nastała mała przerwa, bladość trupia pokryła twarz drukarczyka. Był on bowiem nie raz już świadkiem, jak artykuły, redakcyi nadesłane, po przeczytaniu,

tonęły w zapomnienia fali, czyli ginęły w wielkiéj skrzyni, na ten cel umieszczonéj w drukarni; poczém i wszelka pamięć o nich ginęła. Zdawało mu się już nawet, jakoby słyszał szelest, który zwykle powstawał, kiedy nieudały płód literacki pomnożyć miał zasób onéj złowrogiéj skrzyni. Ale nagle krew mu do głowy uderzyła i czoło i policzki rumieńcem oblała. Czy dobrze tylko słyszy, czy go przypadkiem słuch własny nie zwodzi? Jeden z redaktorów chwali artykuł i to nawet z niezwykłą żywością. Drugi zgadza się z nim w zdaniu, a trzeci obudwa zdania potwierdza. Ktobyto mógł być autorem téj niepospolitéj pracy? każdy zadaje pytanie. Na różne wpadając domysły, redaktorowie wymieniają nazwiska osób, znanych w mieście ze zdolności i nauki.

Gdyby drukarczyk zwrócił był twarz ku mówiącym, a uczeni redaktorowie byli się z uwagą przypatrzyli téj twarzy młodzieńczéj, radością rozpromienionéj: natenczas, zdziwiwszy się zapewne nie mało, byliby niezawodnie wpadli na trop autora Ale uszczęśliwiony nasz autor młodziutki tém skwapliwiéj chwytał i układał czcionki, a robota tak mu szła szybko, jak żeby jakaś ukryta sprężyna ruch jego rękom nadawała.

Któżto był tym uczniem drukarskim, którego właśnie tak błoga ożywiała radość?

To Benjamin Franklin; ten sam, który późniéj zasłynął z wielkiéj sławy jako obywatel, uczony i mąż stanu; Franklin znany i powszechnie czczony na obu półkulach świata; ten sam, o którym powiedziano, iż

„Wydarł grom niebu, a berło tyranom.“

Ale nie wyprzedzajmy toku zdarzeń; gdyż i tak już jakitaki z czytelników zdziwiony zawoła: Jakto prosty drukarczyk mógł, ni stąd ni zowąd, tak świetnie popisać się na polu dziennikarskiém? Otóż, mój czytelniku, może więcéj jeszcze się zdziwisz, skoro się dowiesz, że i drugi artykuł, który tenże sam Franklin napisał zaraz następnéj nocy, takiego samego doznał powodzenia; ba co więcéj, że wiele jeszcze zeszło podobnych poranków w onéj drukarni, gdzie ci sami redaktorowie, czytając nadsyłane bezimienne jego pióra prace, nie szczędzili pochwał zasłużonych niepospolitemu współpracownikowi nieznajomemu, a chwalony w oczy autor przecież tyle miał nad sobą mocy, że wcale nie zdradził swojego „*incognito*.“ Wstrzemięźliwość i moc nad sobą zaprawdę niezwykła, zwłaszcza w mło-

dzieńcu, kiedy i ludzie dojrzalsi niezawsze łatwo zdobyliby się na nią w podobnych przypadkach.

Ale zapewne czytelnik dowiedzieć się zechce, jakim to przyczynom przypisać skutki tak znakomite. Geniusz, wykształcenie naukowe w szkołach odebrane, doskonały kierunek — jedno albo wszystko razem, niejednemu stanie na myśli, skoro zechce rozwiązać tę zagadkę.

Przypatrmy się pierwszéj, naszego Benjamina młodości. Niech ona sama poda nam wskazówkę do rozwiązania tego pytania.

Ojciec Benjamina Jozyasz Franklin, dla wiary swéj opuścił Anglią i w Bostonie się osiedlił. W Anglii trudnił się farbowaniem jedwabiu; praca ta w nowéj ojczyźnie nie popłacała; toż, aby wyżywić rodzinę, chwycić się musiał innego zarobku. Byłto człowiek przezorny, rozgarniony, miał, jakto mówią, głowę na karku, a przytem pracowity. Założył więc mydlarnią i fabrykę świec łojowych. W nowém przedsiębiorstwie poszczęściło się zapobiegliwemu pracownikowi; zarobek wystarczał na przyzwoite, ale tylko w samraz dostateczne, utrzymanie licznéj rodziny; bo Benjamin nasz zasiadał z trzynaściorgiem rodzeństwa do stołu rodziców, on najmłodszy z braci.

Z lat swych dziecięcych Benjamin opowiada następujące zdarzenie: „Kiedym miał lat siedm, przyjaciele moi napełnili mi w jakieś święto kieszenie miedziakami. Poszedłem zaraz do sklepu, w którym sprzedawano zabawki. Ale po drodze podobała mi się bardzo piszczałka, na któréj wygrywał sobie jakiś chłopczyna. Ofiarowałem mu za nią wszystkie swoje pieniądze i uradowany nabytkiem, pobiegłem do domu, gdzie pełno mnie było wszędzie z piskiem mojéj piszczałki. Bracia moi, siostry i krewni dowiedziawszy się, za jakąto cenę ją nabyłem, powiedzieli mi, że zapłaciłem w czwórnasób więcéj aniżeli warta, a dodawszy uwagę, że za te pieniądze mógłbym był wiele daleko piękniejszych kupić sobie rzeczy, śmiali się z mego nierozsądku. Tknęło mię to do żywego, toż na dobre się rozpłakałem; śmiech ich bowiem bolał mnie bardziéj, aniżeli piszczałka radowała. Ale zajście to utkwiło mi dobrze w pamięci i stało się na przyszłość nauką; nieraz bowiem, gdy mnie brała chętka kupić sobie coś niekoniecznie potrzebnego, przywoływałem sobie do pamięci ono zajście jako upomnienie: „Nie wydawaj za wiele za piszczałkę!,“ którego też zawsze słuchałem.“

W tém też nasz Benjamin wcześnie już różnił się od swych rówieników; a to, że z zajść i zdarzeń życia umiał wyciągać naukę, a oraz posiadał potrzebną moc woli, aby nią według tych nauk pokierować.

W pismie, które nasz Franklin spisał był późniéj dla syna swego, wspomina z wdzięcznością o rodzicach, a nakreśliwszy kilkoma wybitniejszymi rysami ich obraz, wskazuje zarazem, że znaczną część swego charakteru bądź po nich odziedziczył, bądź ich zawdzięczał wpływowi. „Ojciec mój, Jozyasz Franklin — powiada — był tęgiéj konstytucyi, wzrostu średniego, dobrze zbudowany i silny, a we wszystkiém, czego się jął, okazywał nadzwyczajną zręczność i dzielność. Nie źle rysował, i znał nieco muzykę. Głos miał pełny i przyjemny; a kiedy, towarzysząc sobie na skrzypcach, spiewał psalm albo pieśń, co zazwyczaj czynił wieczorem, pracę ukończywszy, wtedy słuchało się go z prawdziwą przyjemnością. Również biegłym był w pracach ręcznych; a gdy tego była potrzeba, umiał użyć narzędzi rzemieślników różnego rodzaju. Ale najznakomitszym przymiotem jego był zdrowy rozum i dojrzały, bystry sąd o sprawach życia tak publicznego jak prywatnego. Wprawdzie nigdy się nie zajmował sprawami publicznemi, gdyż liczna rodzina, a skromne tylko mienie, zniewalały go do nieustannéj w zawodzie pracy. Wszelako przypominam sobie, że znakomite osoby miasta często go odwiedzały, zasięgając zdania i rady tak w sprawach miasta jakoteż kościoła, do którego należał, wielką do jego zdania wagę przywiązując. Również i osoby prywatne zazwyczaj udawały się do niego po radę w swych sprawach, a często obierano go rozjemcą między stronami, w sporze będącemi. U stołu swego rad widział, i to dość często, kilku przyjaciół, albo wykształconych, światłych sąsiadów, z którymi toczyć się mogła rozumna rozmowa; toż zazwyczaj kierował ją na przedmioty pożyteczne i pouczające, pilnie na to bacząc, aby nas mogła zająć, a tém samém przyczynić do naszego wykształcenia. Przez to zawczasu zwracał uwagę naszę na wszystko, co w życiu ludzkiém jest sprawiedliwém, rozsądném i dobroczynném. O potrawach, które na stół dawano, nigdy nie mówił; nigdy też nie rozprawiał o ich przyrządzeniu i przyprawie, czy były smaczne, czy nie, ani też która potrawa lepiéj mu smakowała. Tym sposobem już od lat dziecinnych nie przyzwyczaiłem się do zwracania baczności na sprawy tego rodzaju; toż potrawy, które spożywałem, były dla mnie zawsze rzeczą obojętną; a i dziś na to zważam tak mało,

że w kilka godzin po obiedzie nie zdołam przypomnieć sobie potraw, które mi podawano. Wartość takiego przyzwyczajenia dopiero w podróży nauczyłem się należycie oceniać; często bowiem znajdowałem się w towarzystwie osób, które nauczywszy się zawczasu przywiązywać zbyt wiele wagi i uwagi do tego, co jedzą, nieraz nie małéj doznawać musiały przykrości, kiedy ja w tém samém położeniu niczego nie pragnąłem. — Matka moja była także bardzo zdrowa; sama wszystkie dzieci wykarmiła, i nigdy nie słyszałem, aby rodzice uskarżali się na jaką słabość lub chorobę, te wyjąwszy, na które pomarli.“

Grób rodziców Benjamin ozdobił późniéj płytą marmurową, z napisem, który się kończył temi słowy:

„On był pobożny i mądry,
Ona skromna i cnotliwa.“

Zdaje się, że Benjamin wcześnie już wydał się rodzicom dzieckiem szczególniejszych zdolności, bo kiedy bracia jego, odbywszy zwykłą szkołę początkową, poszli na naukę do rzemieślników, jego w ósmym roku życia oddano do szkoły łacińskiéj w Bostonie. Życzyli sobie rodzice, aby się poświęcił stanowi duchownemu. Benjamin czynił dobre postępy; ale ojciec rozpatrzywszy się późniéj w swych majątkowych stosunkach i mając koszt, z takiem naukowém kształceniem syna połączony, na oku, spostrzegł się, że nie stać go na taki wydatek. Oddał więc chłopca na rok do szkoły elementarnéj, a w roku dziesiątym życia Benjamin rozpoczął naukę w zawodzie ojca. Ale mydlarstwo i to co się z niém łączyło, nie podobało się chłopcu; a nie mogąc pobierać nauk szkolnych, prosił ojca, aby mu pozwolił oddać się służbie morskiéj; tym bowiem sposobem, a mianowicie za pomocą podróży w różne strony świata, ciekawy Benjamin chciał zadość uczynić gorącéj chęci nabycia wiadomości. Wzrastając na wybrzeżach oceanu, w którego wodach niezaz sił już doświadczał, czyto pływając czy goniąc się w lekkiéj łodzi, chłopiec polubił żywioł ten ruchliwy i tak ponętny; toż pragnął na falach jego puścić się w świat daleki. Ale życzeniu temu ojciec stanowczo się oparł; oddać chłopca między majtków, Franklin ojciec uważał za jedno, co wydać dziecko na niebezpieczeństwo zdziczenia. Nie myślał jednak ojciec rozumny zmuszać syna do jakiegokolwiek zawodu, a to już z obawy, aby Benjamin, gdyby mu coś skłonności jego przeciwnego narzucono, nie poszedł torem jednego ze starszych braci, który potajemnie umknął był na morze.

Wodził więc ojciec Benjamina po warsztatach stolarzy, bednarzy, kotlarzy i innych rzemieślników, a to, aby mu ułatwić wybór zawodu. Wycieczki te do warsztatów pożądanego nie odniosły skutku; wszelako na przyszłość chłopca bardzo korzystnie wpłynęły. Sam on później napisał, że „nabył przez nie dostatecznych wiadomości, tak że i sobie i drugim, skoro się okazała potrzeba, mógł to lub owo sporządzić; później zaś, zwłaszcza, kiedy nieraz właściwego rzemieślnika nie było pod ręką, Franklin sam sporządzał sobie przyrządy i małe machiny do doświadczeń naukowych, a to kiedy pomysł, który go zajmował, świeżo jeszcze tkwił mu w umyśle.

Jednéj strony w naturze syna nie spostrzegł był do tego czasu ojciec: Benjamin od saméj wczesnéj młodości namiętnie i nadewszystko lubił książki. Małą bibliotekę ojcowską w krótkim przeczytał czasie. Osobliwszą przyjemność sprawiało mu czytanie książki Matera „O środkach cynienia dobrze“ i pisma Doefego, słynnego autora „Robinsona,“ „O pomysłach“; Plutarch zaś, kreślący czyny wielkich starożytnego świata mężów, wprawiał go wprawdzie w zachwycenie, tak, że nie mógł się oderwać od czytania; więc kilkakrotnie go całego odczytał. Tak gorąca ta chęć czytania, jak i to, że Benjamin każdy grosz, jaki tylko otrzymał, na kupowanie książek obracał, otworzyło oczy ojcu i wskazało mu najwłaściwszy dla syna zawód. Przyczyniła się do tego osobna jeszcze okoliczność Właśnie niedawno powrócił był z Anglii jeden ze starszych Benjamina braci i w Bostonie drukarnią otworzył. Ojciec więc powiedział sobie: Kiedy Benjamin tak lubi czytać, tedy zatrudnienie drukarskie da mu najlepszą sposobność zaspakajania chęci do nauki; drogę przez szkoły wyższe zamknął mu brak dostatecznych funduszów; któż wie, czy zamiłowany w czytaniu przy zdolnościach wrodzonych i na téj drodze z czasem nie stanie się uczonym?

Benjamin od razu przystał na pomysł ojca; czuł w sobie chęć uczenia się drukarstwa; to tylko, że miał do brata pójść na naukę, niepokoiło go, a to nie bez słusznego powodu. Był bowiem brat ten, Jakób Franklin, mający drukarnią, wielkim samolubem, serca nieużytego a przytem bardzo popędliwy. Na dowód tego dość przytoczyć, że umawiając się z ojcem o przyjęcie Benjamina, zażądał spisania urzędowego kontraktu, w którym dziewięć lat nauki za warunek położył. Mimo to idąc za wolą ojca Benjamin zgodził się na ten niemiły stosunek, a mając niespełna lat trzynaście, rozpoczął u brata naukę drukarską.

Zawód nowy upodobał się bardzo młody towarzysz sztuki drukarskiéj; a ponieważ był zręczny, powodujący się i jak mrówka pracowity, przeto w krótkim czasie okazał się bratu bardzo pożytecznym. Mimoto brat, jak się już rzekło, człowiek nieużytego serca, ani pomyślał o pochwaleniu tego, w czém Benjamin zasługiwał na pochwałę, lecz tylko miał oko bystre na wyszukiwanie niedostatków, usta zaś, a czasami i rękę zbyt skorą do karcenia bądź rzeczywistych, bądź tylko upatrzonych uchybień, i to w sposób nieraz nawet brutalny. Przy mniejszéj mocy woli Benjamin byłby i tygodnia nie wytrzymał w domu tak miłego brata. Ale inna jeszcze okoliczność skłoniła go do wytrwania. W drukarni nastręczyła mu się większa, niż się mógł spodziewać, ilość środków do zaspokojenia chęci nauki. Zapoznał się bowiem młody Franklin z księgarczykami, którzy mu niejednéj pożytecznéj dostarczali książki. Nieraz więc nasz drukarczyk siedział przy cienkiej łojówce późno po północy i pokrzepiał spragnionego ducha i serce czytaniem pięknéj książki; a podobnie i wcześnie rano zrywał się do książki, puszczając wodze duchowi na pole myśli pod kierunkiem doświadczonego przewodnika. Tak spełniały się jego gorące życzenia; duch młodzieńca przemieniał się i potężniał pod wpływem duchów potężnych, a to, co najwięcéj znaczyło, za przyczynieniem się własnéj swéj gorliwéj pracy; żeglował on po oceanie życia duchowego, i „pierś swą w porannéj orzeźwiał jutrzence.“ Radość, jakiéj w pracy téj doznawał, nie pozwalała mu myśleć o przykrościach zewnętrznego położenia i stosunku. Duchy pokrewne znajdują się i nawzajem poznają. Wykształcony przemysłowiec, Mateusz Adams, którego interes sprowadził był do drukarni, poznawszy tam drukarczyka o bystrych oczach i serdecznéj twarzy, rozumnie i skromnie rozmawiającego, polubił go, często szukał, rad z nim rozmawiał, a w dodatku do korzystania z bogatéj biblioteki zaprosił.

Ale czytanie samo, czytanie ustawiczne, a do tego na przemian pism i książek treści różnorodnéj, czytanie nie połączone z przetrawieniem należytém rzeczy czytanych, niejednemu już młodzieńcowi zamiast pożytku niemałą przyniosło szkodę. Nasz Benjamin sam sobie radził; nie mając żywego przewodnika, sam siebie wziął w karby szkolne. Mówi on późniéj sam o tém w piśmie, które dla syna napisał. „Był naówczas w mieście — powiada — pewien młodzieniec, także wielki miłośnik książek i czytania, niejaki Jan Kollins, dobry mój znajomy. Czasami rozprawialiśmy ze sobą, a walka

taka na słowa wiele nam sprawiała przyjemności. Mimochodem dodam, że chęć dysputowania łatwo stać się może złą przywarą, czyniącą często towarzystwo człowieka nieznośném, jeżeli zdania swego inaczéj wyrazić nie umie, jeno uporczywie przy swojém obstając i bezwzględnie sprzeciwiając się zdaniu drugich. Razu pewnego powstał między mną a Kollinsem spór o wychowanie kobiet; rozbieraliśmy kwestyą, azali to rzecz stosowna, kształcić kobiety w umiejętnościach, i czy są one uzdolnione do nauk poważnych i wyższych. Kollins zaprzeczał temu, twiedząc, że zadanie takie przewyższa uzdolnienie płci żeńskiéj. Ja broniłem zdania przeciwnego, może głównie z chęci dysputowania. Przeciwnik mój był z natury odemnie wymowniejszy; słowa strumieniem pełnym z ust mu płynęły; często więc uważałem się za przekonanego raczéj biegłością jego języka, aniżeli siłą przytaczanych dowodów Rozeszliśmy się, nie zgodziwszy się co do sprawy spornéj; a ponieważ jakiś czas nie nadarzyła się sposobność rozmowy, spisałem swe myśli i przepisane na czysto, posłałem Kollinsowi. On odpisał, a ja także nie zostałem dłużen odpowiedzi. Obadwaj zamieniliśmy już po kilka takich rozpraw, kiedy ojciec mój przeglądając przypadkiem moje papiery, znalazł i przeczytał i tę naszę korespondencyą. Nie zapuszczając się w rzecz samę i jéj wartość, ojciec korzystał ze sposobności, aby mi poczynić niektóre o stylu moim uwagi. Otóż powiedział mi, że, dzięki memu zatrudnieniu, w pisowni i używaniu znaków pisarskich wyżéj stoję od mego przeciwnika, ale że on mnie o wiele przewyższa poprawnością i jasnością wyrażenia. Okazał mi to na kilku przykładach. Uznałem słuszność uwag ojcowskich, i od tego czasu więcéj baczności zwracałem na język, postanowiwszy sobie, wszelkiéj dołożyć pracy i starania około poprawienia stylu mojego.“

Poznanie wad i stały zamiar ich usunięcia poprowadził młodego Franklina na drogę właściwą: szukał sposobu, jakimby najwłaściwiéj dopiął swego celu. „Kto szuka, znajdzie.“ I nasz Franklin znalazł swój sposób. „W tym czasie“ — opowiada daléj — wpadł mi do rąk tom pisma „Dostrzegacz,“ który kilkakrotnie przeczytałem. Zachwycił mnie język jego; styl wydał mi się wybornym; módz go naśladować, stało się mojém gorącém życzeniem. W tym celu wybrałem sobie kilka artykułów; spisałem treść każdego zdania i wypisy swoje na jakiś czas na bok odłożyłem. Poczém, do książki wcale nie zaglądając, usiłowałem ułożyć artykuły we właściwą im formę i myśl każdą wyrazić w tych samych, co w oryginale roz-

miarach, używając słów najwłaściwszych, na jakie się zdobyć mogłem. Tak dokonaną pracę porównując z oryginałem, spostrzegałem swoje pomyłki i natychmiast poprawiałem; przyczém przekonywałem się także, że brak mi tak należytego zasobu słów, jakoteż łatwości mienia ich na każde zawołanie w pogotowiu. Zdawało mi się, że byłbym nabył i téj i tamtego, gdybym nie był zaniechał ćwiczenia mego w wierszowaniu. Potrzeba bowiem, mieć zawsze w pogotowiu słowa jednakowego znaczenia, a różnéj długości dla miary wiersza, albo brzmienia podobnego dla rymu, byłaby mnie zniewoliła do szukania i nagromadzenia na zapas mnóstwa słów równoznacznych. Tém przekonaniem przejęty kilka powiastek „Dostrzegacza“ na wiersz zamieniłem; późniéj zaś, kiedy mi wiersze uleciały z pamięci, znów przerobiłem je na prozę. Czasem pomieszałem wszystkie moje wyciągi, a po kilku tygodniach układałem je znów w porządek należyty, nim wziąłem się do ułożenia okresów i całych artykułów. A czyniłem to wszystko dla przyswojenia sobie dobrego ładu i szyku myśli moich. Porównując późniéj pracę swą z oryginałem, znów dostrzeżone pilnie poprawiałem błędy; czasem jednak miałem i to zadowolenie, że w niektórych drobniejszych szczegółach mój szyk myśli lub zwrot stylistyczny wydawał mi się od oryginału właściwszym; co utwierdzało mnie w nadziei i otuchy dodawało, że z czasem nabędę w języku angielskim dobrego stylu, do czego nie małą przywiązywałem ambicyą.“

Z ćwiczeniami w wierszowaniu, o którém tu wspomina Franklin, rzecz tak się miała. Brat, u którego zostawał, dowiedział się był, że Benjamin ułożył wiersze do jakiejś okoliczności zastosowane. Wezwał go więc, aby napisał dwie balady. Benjamin uczynił zadość woli brata. Balada pierwsza, pod tytułem: „Tragedya latarni morskiéj“ opiewała rozbicie okrętu kapitana Wortylaka i śmierć dwu jego córek, druga „schwytanie słynnego z rozbójów herszta Teaka, zwanego Czarnobrodym.“ Benjamin nietylko sam je drukować, lecz nadto, jako przekupień księgarski, wędrujący po ulicach gonić musiał, aby je rozprzedać. Balada pierwsza znalazła znaczny pokup, a brat dobry, jakto mówią, zrobił na niéj interes. Ale Benjamin, wspominając w późniejszém życiu o tych utworach swéj Muzy, sam je mizernemi wierszydłami, pieśniami dziadowskiemi nazywa. Wówczas jednak brakło mu jeszcze miary do ocenienia ich wartości i wydania sądu właściwego, a powodzenie chwilowe mogło go nawet narazić na niebezpieczeństwo uwierzenia w zdolność swą poetycką.

Na szczęście ojciec umiał skierować rzecz na właściwą drogę. Wykazał on z całą rozwagą wielkie tych utworów wady, a przez to ocalił Bonjamina od „wielkiego nieszczęścia partactwa poetyckiego.“ Nie poezya, ale mądrość w życiu praktyczném, była polem, na którém Opatrzność przyszłą Benjaminowi wyznaczyła pracę; toteż za szczęście i prawdziwe błogosławieństwo poczytać należy, że rozumne uwagi ojca na zawsze zwróciły go z drogi mu niewłaściwéj.

W początkach szesnastego roku życia wpadła do rąk Benjaminowi książka Tryona, który wystąpiwszy z twierdzeniem, że dla człowieka najwłaściwszém pożywieniem są pokarmy roślinne, twierdzenia tego z niemałym bronił dowcipem. Wykład rzeczy sprawił na Franklinie wrażenie głębokie. Jeżeli tak się rzecz ma, mówił on sobie, że tyle złych w człowieku skłonności pierwsze źródło ma w barbarzyńskim zwyczaju zabijania zwierząt i ich spożywania, tudzież że pożywienie mięsne zwierzęcą w człowieku żywi i podsyca naturę: tedy godzi się i jest obowiązkiem, poznawszy rzecz, za stosować się i w życiu wedle tego lepszego rzeczy poznania. Pracownicy w drukarni Jakóba Franklina mieli wikt najęty u jednego z sąsiadów. Benjamin zaproponował bratu, aby mu gotówką płacił tylko połowę tego, co wydaje u sąsiada za jego wyżywienie, a on sam pomyśli o sobie. Brat rad przystał na tę propozycyą; a to, jak powiada nasz Benjamin, dostarczyło mu nowych środków na zakupno książek, a prócz tego inne jeszcze z tego dla siebie wyciągnął korzyści. Kiedy brat z ludźmi swymi w południe wyszedł z drukarni, wtedy Benjamin przyrządzał sobie na prędce obiad podług wskazówek książki Tryona. Kawał chleba i trochę owoców, lub polewka z kaszy i kawałek chleba, lub coś podobnego, do tego szklanka wody, i obiad był gotów. Częstokroć spożywał go stojąc, a w lewéj ręce książkę trzymał. Aczkolwiek teorya Tryona na mylném opierała się założeniu, wszelako zastosowanie téj metody żywienia się wyszło młodzieńcowi, który jakiś czas stale się jéj trzymał, na dobre. Postępy jego, jak powiada, zostawały w stosunku do jasności myśli i szybkiego pojmowania, które są skutkiem mierności w jedzeniu i piciu.

Spostrzegł się Benjamin pewnego razu i to z niemałym strachem, że w rachunkach bardzo mu niedostawało rozumnego pojmowania. Właśnie w tym przedmiocie mało mogła mu dać szkoła, w któréj, jak wiemy, dwa tylko lata przebywszy, w roku dziesiątym życia przestał pobierać nauki. Ale i temu niedostatkowi zaradził

dzielny Benjamin; sam stał się swoim nauczycielem, a za przewodników wziął książki. Uczył się więc rachunków podług książki Kokera, poczém wziął się do geometryi podług dzieł Selera i Sturma. Oprócz tego studyował dzieło filozofa Lokiego: „O rozumie ludzkim“ i Port-Rojala: „Sztukę myślenia.“ Widzimy więc, że Franklin młody, żywiący ciało tylko roślinnymi pokarmami, na pożywienie ducha zawsze miał stół obficie zastawiony. — Równocześnie nie przestawał w kształceniu stylu swego, przyczém wpadła mu przypadkiem do rąk gramatyka języka angielskiego, w któréj zawierał się dodatek, podający wskazówki dysputowania podług metody Sokratesa. Wskazówki te opierały się o pismo Ksenofonta: „Pamiętniki Sokratesa.“ Franklin postarał się o to pismo w przekładzie, które, jak powiada, sprawiło mu radość do uniesienia spotęgowaną. Metoda rozprawiania, w niém zachowana, na tém polega, że wprost nie zaprzecza się zdaniu drugich, lecz za pomocą zapytań, co chwila zadawanych, sprowadza przeciwnika do tego, iż w końcu sam w odpowiedziach swych w sprzeczności się uwikławszy, sam zbijać musi swoje twierdzenia. „Metody téj“ — powiada Franklin — używałem lat kilka; późniéj jéj zaniechawszy, zachowałem tylko zwyczaj wyrażania się w skromnym tonie powątpiewania, nigdy w zdaniach, które wywołać mogły sprzeciwienie się, nie używając wyrażeń: „z pewnością, niewątpliwie“ i tym podobnych, które mogłyby były nadać mi pozór, jakobym uporczywie upierał się przy swojém prostém tylko mniemaniu. Raczéj używałem wyrażeń: „wystawiam sobie, domyślam się, lub zdaje mi się, że z takich a takich powodów rzecz się ma tak lub owak; albo: „tak a tak ma się rzecz, jeśli się nie mylę.“ Zwyczaj ten, zdaje mi się, wyszedł mi na dobre, kiedy miałem sposobność wyłożenia drugim swojego zdania i nakłonienia ich do zgodzenia się na środki przezemnie podawane. A ponieważ głównym celem wszelkich rozmów i rozpraw jest udzielanie i nabywanie nauki, przyjemne czasu przepędzenie lub drugich przekonanie, przeto życzyłbym sobie, ażeby ludzie rozumni i poczciwie myślący zdolności swéj, stać się pożytecznymi, nie osłabiali i nie zmniejszali wyrażeniem stanowczém i zbyt w sobie zaufaném, które zawsze źle uprzedza o nas tych, do których mówimy; rodzi to bowiem w nich niezadowolenie, a często niechęć i sprzeciwianie się; nasuwa więc przeszkody, a nawet niweczy cele, dla których dana jest człowiekowi mowa!“ Bez rozczytywania się bacznego w dziełach powyżéj wspomnionych, bez wprawiania

się w onę metodę, Franklin może nigdy później nie byłby nabył przedświadczenia, któremu właśnie dał wyraz w ustępie dopiero przytoczonym.

Tak tedy, młody mój czytelniku, masz tu dostateczny zasób danych, które rozważywszy, łatwo znajdziesz odpowiedź na zapytanie, jakie słusznie mogłeś zadać na wstępie tego rozdziału. Widzieliśmy tam bowiem szesnastoletniego drukarczyka, odnoszącego tryumf na polu dziennikarskiém, z jakim prawdopodobnie nie tak łatwo i nie codziennie spotkać się można w świecie. Ludzie uczeni, wytrawni z podziwieniem i czcią wyrażają się o jego artykułach, bezimiennie do skrzynki redakcyjnéj składanych; i pomiędzy mężami, w Bostonie najznakomitszymi, domyślają się autora!

Cóżtowięc, jaka to siła i potęga wydała ten znakomity skutek?

Geniusz! — Niedostateczna to odpowiedź. Niejednemu młodzieńcowi Opatrzność szczodra większe jeszcze aniżeli Franklinowi włożyła do kolebki dary ducha jako pasag na drogę żywota; a przecież ileżto razy spełzły na niczém wszelkie do nich przywiązywane nadzieje! — Doskonałe wykształcenie szkolne! — Wszak widziałeś, że przed naszym Benjaminem już w dziesiątym życia jego roku zamknęły się na zawsze podwoje szkoły. — Zbawienny wpływ domu rodzicielskiego! Zapewne; tego dobrodziejstwa i wielkiéj téj łaski Opatrzności, na szczęście, mu nie brakło; ale czyż nie ma przykładów i to przykładów w znacznéj na nieszczęście ilości, że najzbawienniejszy wpływ koła rodzinnego przebrzmiewa jak głos wołającego na puszczy, nie wszczepiwszy w dzieciach zarodów kwiatu i owoców życia?

Cóż więc tu działało tak skutecznie? Jaki najgłówniejszy czynnik w tym tak pięknym iloczynie życia? Oto obok wpływu rodzicielskiego jeden, a bardzo ważny, ba najważniejszy; potężny, ba najpotężniejszy! Tego jednego, gdyby było brakło naszemu Benjaminowi, on pozostał byłby gdzieś tam u dołu, gdzieś nisko na nizinach życia, byłby znikł i zgubił się w tym wielkim tłumie milionów ludzi zwyczajnych, a może i ludzi w poniżeniu źwierzęcém marny wlokących żywot!

A tym jednym a niezbędnym czynnikiem jest: dobra, czysta wola, gorąca chęć i usiłowania uszlachetniania ducha i coraz wyższego jego udoskonalania. Wielka, poważna księga ludzkości, biblia, zowie takie usiłowanie „Szukaniem

królestwa Bożego"; na tego, który mu się odda, spływa zazwyczaj wszystko to, czego mu do życia ziemskiego potrzeba.

Młodzieńcze! pamiętaj o młodym Franklinie; doświadczaj siły twéj woli i pilnie bacz na jéj kierunek. Królestwo Boże, jest królestwem oczyszczonego duchowego życia i usiłowań. Jaka twa wola i jéj kierunki, taką téż będzie twa przyszłość.

„Wola czyni człowieka wielkim i małym."

II. Błędy.

Ale i o błędach młodego Franklina wspomnieć nam przychodzi; a chociaż bardzo go kochamy i z miłości ku niemu radzibyśmy je pominęli, przecież bardziéj jeszcze miłujemy prawdę, któréj uczynić zadość jest naszym obowiązkiem. Prawdzie służąc, łatwo zrozumiemy, że nierozsądnie postąpiłby sobie ten, kto kreśląc obraz takiéj jak Franklin osoby, z jednéj tylko wystawiłby ją strony. Światłem prawdy opromieniona postać ta wzniosła i szlachetna, mimo wad drobniejszych gdzieniegdzie występujących, pociągnie za sobą oczy wszystkich jéj pokrewnych duchów, i w tych, którzy się w nią wpatrzą, zbawienne wzbudzi uczucia. A jeszcze jednę trudność spotykamy, zabierając się do wypełnienia naszego względem prawdy obowiązku, a to trudność, którą stawia nam własne serce, gdyż Franklin sam otwarcie wyznał swe błędy, aby tém wyznaniem także usłużyć swym bliźnim.

Współpracownictwo bezimienne młodego Franklina w dzienniku trwało już czas jakiś, aż wreszcie autor przyznał się bratu do owych bezimiennych artykułów. Okoliczność ta sprawiła, że Jakób zmienił nieco szorstkie swe względem młodszego brata postępowanie; wszelako nie nadługo. Wkrótce bowiem znów przybrał rolę tyrańskiego względem Benjamina pryncypała, i to do tego stopnia, że ten częstokroć u ojca szukać musiał pomocy. Cóż dziwnego, że Benjamin coraz częściéj myślał o wyswobodzeniu się z tego, nader przykrego, stosunku. Ale jak się z niego wydobyć? Umowa o naukę zawarta trwała ciągle, a na dobitek on sam ją także swoim stwierdził podpisem.

W tém zaszedł przypadek, który sprawę o krok przybliżył do rozwiązania. W dzienniku wydawanym przez Jakóba Franklina pojawił się był artykuł, za który Zgromadzenie generalne skazało Jakóba, jako odpowiedzialnego redaktora, na miesiąc więzienia, odmówiwszy mu nadal prawa redagowania dziennika. Jakób Franklin chcąc wyminąć zakaz władzy, postanowił daléj wydawać dziennik tytuł tylko zmieniwszy; a za redaktora w obec władzy odpowiedzialnego uchodzić miał Benjamin Franklin. Ten zgadzał się na to; wszelako do tego trzeba było rozwiązania dotychczasowego między braćmi kontraktu; dopóki bowiem Benjamin był tylko uczniem drukarskim, władza nie mogła mu, jako niewyzwolonemu, przyznać prawa odpowiedzialności za redakcyą. Jakób przystał na zerwanie umowy; nie chciał jednak wyrzec się korzyści, jaką ciągnął z zawisłości niewyzwolonego brata; owszem o zabezpieczeniu ich sobie i nadal pomyślał. W tym celu skłonił Benjamina do podpisania nowéj o naukę umowy z zachowaniem jednak wszystkich dawniejszych warunków i obowiązał go do zachowania sprawy téj w tajemnicy. Wobec takich stosunków i okoliczności, Jakób, już ze względu na własną korzyść, powinien był uczynić znośniejszém w domu swym życie Benjaminowi. Tymczasem wcale o tém nie myślał; przeciwnie, z więzienia wróciwszy, znów po dawnemu obchodził się z bratem; a gdy pewnego razu z błahych jakichś powodów w gwałtowności swéj aż do brutalnych uniósł się wybuchów, Benjamin opuścił drukarnią, całkiem stanowczo oświadczywszy, że nigdy nie powróci. Moralnie obowiązywał go wprawdzie kontrakt ostatni; ale rozżalony Benjamin nie wiele dbał o niego, na to się przedewszystkiém spuszczając, że brat oszukawszy władzę, nie chcąc sam ściągnąć kary na siebie, nie wytoczy sprawy przed sąd, a zatém niczém go nie zdoła zmusić do dotrzymania umowy. Rozumowanie to w danym tym przypadku nie było bez podstawy; ale pominąwszy już zmartwienie, jakie zajście to sprawiło rodzicom, Jakób znalazł sposobność szkodzenia bratu. Umiał on użyć różnych do tego środków i to sprawił, że Benjamin w żadnéj drukarni w Bostonie nie znalazł zatrudnienia. Obrót ten rzeczy nowe pociągnął za sobą następstwo; Benjamin doprowadzony do ostateczności, powziął rozpaczliwe postanowienie, opuścić Boston bez wiedzy i woli rodziców. W tym celu część swych rzeczy sprzedał i popłynął do Nowego Jorku, gdzie się spodziewał znaleść zatrudnienie.

O podróży téj opowiada on następujący szczegół charakterystyczny: „Cisza morska zmusiła nas przybić do brzegu powyżéj Blok Island; a majtkowie korzystając z przestanku zajęli się połowem sztokfiszów. Ja dotychczas pozostałem wiernym swemu postanowieniu, aby nic nie jeść, co przedtém miało w sobie życie; to też łowienie ryb uważałem za rodzaj mordu, popełnianego bez wszelkiéj przyczyny, gdyż biedne ryby nie czyniły człowiekowi żadnéj szkody, a nawet żadnéj uczynić nie były w stanie. Dawniéj jednak bardzo lubiłem ryby; kiedy więc zaleciał mnie zapach świeżo usmażonego sztokfisza, wówczas mój zmysł smaku w niemałéj z mojemi zasadami był wojnie. Mimo to jednak jakiś czas mężnie broniłem się pokusie. Dopiero kiedy ujrzałem, że z rozpłatanego sztokfisza małą wydobyto rybkę, wtedy powiedziałem sobie: Jeżeli ty możesz jeść drugie ryby, tedy nie widzę powodu, dlaczegoby ciebie jeść się nie godziło!“ Franklin opowiada potém, z jakiem upodobaniem jadł sztokfisza; i że od téj chwili na sprawę żywienia się pokarmami zwierzęcymi zapatrywał się tak, jak inni rozumni ludzie. Poczém dodaje: „Widzisz z tego, jak to jest dobrze, być rozumném zwierzęciem, które na wszystko umie znaleść powód dostateczny!

Puściwszy się w dalszą podróż, szczęśliwie dopłynął do Nowego Jorku, odległego o trzysta mil angielskich od jego rodzinnego miasta. Ale u jedynego drukarza, który tam był osiadł, nie znalazł zajęcia. Drukarz ten poradził mu, aby się udał do Filadelfii, gdzie u syna jego, także drukarza, zapewne będzie się mógł pomieścić. Trzeba więc było nową odbyć podróż; i to niebezpieczną; przyszło przebyć burze i gwałtowne ulewy, a do tego na statku starym i badzo zużytym.

Pierwszy swój występ w Filadelfii Franklin opisuje w sposób następujący: „Przybyłem w odzieży méj robotniczéj, bo lepsza dopiero nadejść miała. Byłato odzież zużyta, brudna; kieszenie wypakowane koszulami i pończochami. W całém mieście nikogo nie znałem, a także nie wiedziałem gdzie i jak szukać przytułku. Przybyliśmy do miasta na łodzi, na któréj pomagałem przez całą noc do robienia wiosłami; nie spałem więc i nic nie jadłem; potém szedłem dobry kawał piechotą ku miastu; co wszystko sprawiło, że czułem się bardzo znużonym i głodnym. Talar holenderski i szyling miedziany, to cała moja była gotówka. Szyling zapłaciłem za łódź; z razu nie chciano brać odemnie pieniędzy, gdyż pomagałem do wiosłowania; ale kiedym tego żądał stanowczo, przyjęto. Nieraz

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

jest się hojniejszym, kiedy się ma mało w kieszeni, aniżeli kiedy się posiada wiele pieniędzy, a to prawdopodobnie dla tego, że chcielibyśmy w takim razie ukryć przedewszystkiém nasze ubóstwo. Udałem się ulicą, bądź jednéj bądź drugiéj stronie ciekawie się przeglądając, i tak zbliżyłem się ku targowisku, gdzie spotkałem chłopca z bochenkiem chleba. Zapytałem się, gdzie go kupił, i poszedłem wprost do piekarza, którego mi wskazał. Chleba takiego już nie było. Zażądałem chleba białego za trzy pensy; ale po téj cenie tego pieczywa nie pieczono; nareszcie prosiłem, aby mi za trzy pensy dano jakiegokolwiek pieczywa. Dano mi trzy duże strucle z mąki mieszanéj. Zadziwiłem się niemało, otrzymawszy taką ilość pieczywa. Zabrałem je, ale nie mając miejsca w kieszeniach, wziąłem jednę struclę pod jednę, drugą pod drugą pachę, a trzecią zajadając, szedłem sobie przez miasto. Powróciłem do łodzi; napiłem się wody rzecznéj. Strucla i woda pokrzepiły mnie dostatecznie; dwie strucle darowałem jakiéjś kobiecie z dzieckiem, która tą samą przybyła łodzią, i daléj nią płynąć miała. Poczém znów zwróciłem się ku miastu; ulicą szło teraz mnóstwo ludzi porządnie ubranych, i to w tym samym kierunku. Przyłączyłem się do nich i zaszedłem do zboru Kwakrów, położonego w pobliżu rynku. Usiadłem wraz z drugimi, a rozglądając się czas jakiś na wszystkie strony, czy też kto nie zabiera się do mówienia, nie spostrzegłszy nikogo, z nudów i znużenia zasnąłem sobie w najlepsze, tak że nawet ruch w czasie, kiedy zgromadzenie się rozchodziło, nie zdołał mnie zbudzić. Dopiero jakiś jegomość osobno się mną zajął, i ze snu obudził. Ten zbór kwakierski był pierwszém zabudowaniem, do którego wszedłem i w którém spałem w Filadelfii.“

Drukarz, którego Franklinowi wskazano w Nowym Jorku, ubolewał, że nie miał dla niego roboty, ale odesłał go do drugiego, niejakiego Kajmera. Tu Franklin znalazł robotę za lichą zapłatę. Tymczasem nadszedł i kufer z jego rzeczami; przebrał się więc nasz podróżnik i z satysfakcyą się przechadzał w sukniach porządnych. Poznał się z kilkoma młodzieńcami, którzy radzi rozmawiali o książkach; toż w towarzystwie ich przepędzał nieraz przyjemnie wieczory. Również poznał w tym czasie przyzwoitą i skromną panienkę, nazwiskiem Read, i począł nosić się z myślą starania się o jéj rękę. Ponieważ Franklin, podług swego dotychczasowego zwyczaju, i tu żył bardzo skromnie i oszczędnie, a przytém nadzwyczajnie pilnie pracował, przeto w krótce już mógł mieć w zapasie pewną kwotę,

co znacznie się przyczyniło do jego pogodnego i wesołego usposobienia. O Bostonie czasem tylko, i to jakby mimochodem, sobie przypomniał, a nawet i to mu na myśl nie wpadło, że przecież rodzicom o sobie donieść należało. Przypadkiem dowiedział się szwagier jego, Robert Holmes, że Benjamin bawi w Filadelfii i że znalazł zatrudnienie. Napisał więc do Benjamina, którego bardzo lubił list, w którym zwracał mu uwagę na krzywdę rodzicom i bratu wyrządzoną, i upominał, aby uznał swój błąd i wrócił do swoich. Na ten list Franklin niezwłocznie i serdecznie odpisał, wyrażając żal, że niepodobna usłuchać udzielonéj mu rady; przyczém ze swego stanowiska opisał szwagrowi cały tok swéj z bratem sprawy. List ten doszedł Holmesa w Niukasślu i to właśnie, kiedy tam bawił w towarzystwie gubernatora prowincyi Wilhelma Kajta. Chociaż list Benjamina nie był po myśli Holmesa, wszelako zajął go bardzo, gdyż tak pod względem formy, jakoteż wyłożenia i uzasadnienia rzeczy był małém arcydziełem; Holmes więc nie mógł wytrzymać, aby go nie pokazał życzliwemu gubernatorowi, na którym list ten sprawił takie samo wrażenie. Gubernator bardziéj się jeszcze zadziwił, kiedy się dowiedział, że Benjamin nie skończył jeszcze lat ośmnastu; oświadczył więc, że jest obowiązkiem, dopomódz tak zdolnemu młodzieńcowi radą i czynem. W dalszym toku rozmowy gubernator dał się z tém słyszeć, że chciałby pomódz Benjaminowi do założenia drukarni, i że nadal wszystko dla niego uczyni, co tylko będzie w jego mocy.

Franklin niczego nawet się nie domyślał, bo szwagier dopiero późniéj doniósł mu o całéj téj sprawie; w krótce jednak doznał pewnego jéj skutku. Kiedy bowiem w kilka dni potém pracował przy oknie w towarzystwie Kajmera, swego chlebodawcy, spostrzegł gubernatora i pułkownika Frencha, zmierzających wprost do domu, w którym właśnie znajdowała się drukarnia. Kajmer będąc przekonany, że ci panowie do niego idą, prawdopodobnie dla jakiegoś znacznego zamówienia, zbiegł czém prędzéj na dół i sam gościom bramę otworzył. Gubernator zapytał o Franklina, poszedł do niego do pracowni, mówił z nim bardzo uprzejmie i zaprosił ze sobą na szklankę wina. Zdumiony takiém uprzejmém zniżeniem się gubernatora, Franklin przywdział lepsze suknie i całe to małe grono udało się do winiarni. Przy szklance wybornéj madery gubernator zaproponował młodemu Franklinowi, aby w mieście, w którém dotychczas nie było ani jednego drukarza, dobrze swój zawód rozu-

miejącego, założył drukarnią, dodając, że mu przyrzeka druki wszelkie rządowe. A kiedy Franklin wyraził obawę, że ojciec zapewne odmówi mu srodków na założenie drukarni potrzebnych, i to tém pewniéj, że zmartwił go i obraził, Boston bez jego wiedzy opuściwszy: gubernator dodawał otuchy, oświadczając, że mu da do ojca list polecający, w którym wyłoży oczywiste tego planu korzyści.

W skutek téj rozmowy Franklin w krótce pojechał do rodziców. Przyjęto go tam serdecznie, ale pomocy na założenie drukarni ojciec odmówił. Napisał on sam do gubernatora, wyrażając radość swą i wdzięczność za życzliwość synowi okazaną: ale zarazem oświadczył, iż mając na względzie liczną swą rodzinę, nie może dać do rozporządzenia tak znacznéj kwoty, jakiéj wymaga założenie drukarni zwłaszcza synowi, który dopiero rok ośmnasty życia licząc, zanadto mało ma jeszcze doświadczenia. Benjamin nie chciał odjechać z Bostonu, nie odwiedziwszy brata Jakóba. Poszedł więc do niego do drukarni, „Byłem natenczas“ — opowiada on — „daleko lepiéj ubrany, aniżeli kiedykolwiek w czasie méj u niego służby; miałem suknię całkiem nowe i przyzwoite, miałem zegarek, a sakiewka zawierała prawie pięć funtów szterlingów w brzmiącéj monecie. Brat przyjął mnie nie bardzo grzecznie, a obejrzawszy od stóp do głowy, spokojnie zajmował się daléj swą pracą. Zatrudnieni u niego drukarze wypytywali się mnie, gdzie bywałem, dowiadywali ciekawie o miejscach mego pobytu i jak mi się tam podobało. Wychwalałem aż do przesady Filadelfią, opisywałem szczęśliwe tamtejsze życie i oświadczyłem, że zamierzam tam powrócić. Jeden zapytał, jakie tam mają pieniądze. Sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem garść srebra na pokaz. Byłoto dla nich niezwykłą rzadkością, gdyż w Bostonie tylko papierowe pieniądze były w obiegu. Nie zaniechałem potém popisać się i swym zegarkiem, a ponieważ brat mój jak mruk ciągle był w złym humorze, więc pożegnałem ich, dając im szyling na przepicie. Odwiedziny te moje dotknęły do żywego mojego brata; albowiem, gdy w krótce potém matka nasza wspomniała mu o pojednaniu się ze mną i objawiła życzenie, że radaby nas w zgodzie widziała, Jakób jéj oświadczył, żem go w obecności jego ludzi obraził do tego stopnia, iż nie będzie mógł nigdy mi tego ani zapomnieć, ani przebaczyć.“

Przyjaciele rodziny nadarmo usiłowali nakłonić ojca do zmiany postanowienia w sprawie założenia drukarni. Na wszelkie uwagi stary Franklin wręcz odpowiadał, że to istna niedorzeczność czynić

nakład na przedsiębiorstwo, którego prowadzenie ma się powierzyć wyrostkowi; po trzech latach, które ma jeszcze przed sobą, można będzie mówić na seryo o téj sprawie Cieszył się jednak, że Benjamin tak przyzwoicie i statecznie wyglądał, a bardziéj jeszcze z tego, że umiał pozyskać sobie życzliwość osoby takiego znaczenia i wpływu, jaką był gubernator. W końcu radził synowi, aby, będąc na drodze pilnéj pracy i oszczędności, i nadal nią postępował, przez co po jakimś czasie może o własnych siłach zdobędzie sobie stanowisko.

Tak więc przyszło Franklinowi z niczém powracać do Filadelfii. Ale jedno go przecież bardzo cieszyło, a to, że tym razem odjeżdżał z błogosławieństwem rodziców. Po drodze wstąpił do Nowego Jorku, aby odwiedzić jednego z braci, który się tam był osiedlił; ten go przyjął bardzo serdecznie. Przyjaciel brata, niejaki Weron, poznawszy Benjamina, zaszczycił go zaufaniem prosząc, aby kwotę trzydziestu sześciu funtów, która mu się od jakiegoś dłużnika w Pensylwanii należała, a na co wręczył Benjaminowi potrzebne dowody, w jego imieniu odebrał i zachował u siebie, dopóki jéj nie zażąda. Franklin podjął się załatwienia téj sprawy.

W Nowym Jorku spotkał Kollinsa, tego samego, z którym, jak sobie czytelnik przypomnie, dawniéj częste toczył dysputy, i który wtenczas górował nad nim zasobem wiedzy i biegłością języka. Kollins także zamierzał udać się do Filadelfii, aby tam spróbować szczęścia; przyczepił się więc do Franklina, który dla przyjaciela lat młodszych zachował gorętsze uczucie. W drodze dowiedział się od towarzysza, że wcale nie ma pieniędzy i że tylko przyjaźni jego ufając, puścił się w dalszą podróż. Franklin natychmiast pomoc mu ofiarował; ale na nieszczęście pieniądze, które przyszło płacić za towarzysza, trzeba było wziąć z kwoty, którą jedynie Weron miał wyłączne prawo rozporządzać. Jedna rzecz bardzo się nie podobała Franklinowi w towarzyszu. Kollins, jako ajent handlowy, odbywając ostatnimi czasy częste podróże, w krótkim stosunkowo czasie nauczył się zaglądać zbyt często do kieliszka. Toż w Filadelfii nie znalazł miejsca, i to prawdopodobnie dla tego, że twarz jego zbyt zaczerwieniona i oddech wskazywały nader wyraźnie i jasno, z kim się ma do czynienia. Tym sposobem więc upływały dni i tygodnie, a przyjaciel żył z kieszeni Franklina. Ale nie na tém koniec. Sprytny przyjaciel umiał tak zażyć poczciwego Franklina, że ten kilka razy pożyczył mu kwot bądź mniejszych bądź

większych, a zawsze na uroczyste przyrzeczenie i zobowiązanie jak najrychlejszego zwrotu, czego jednak Kollins nie dotrzymał. A tymczasem i owo życie z kieszeni Franklina i one pożyczki szły właściwie z kieszeni Werona, czyli z owéj kwoty z polecenia tegoż w Pensylwanii odebranéj; kwoty, która zmniejszała się coraz bardziéj tak, że Franklin z przerażeniem się ocknął pomyślawszy, coby począł, gdyby nagle Weron zażądał swoich pieniędzy.

Kiedy Franklin zdał gubernatorowi sprawę o przyjęciu, jakiego doznał u ojca zamiar założenia drukarni, gubernator rzekł na to: „Skoro ojciec odmawia pomocy do przedsiębiorstwa, tedy ja Panu pomogę. — Dam panu pieniądze i listy polecające, a potém udasz się do Anglii dla sprowadzenia wszystkiego, czego do urządzenia drukarni potrzeba. Zakupisz pan bądź za gotówkę, bądź za okazaniem moich listów, na kredyt, co potém powoli wypłacisz.“

Gubernator miał rzeczywiście dobre i rzetelne chęci; ale na nieszczęście należał do rzędu tych ludzi, którzy będąc życzliwego serca, często dają mu się porywać do czynienia obietnic, nie zastanowiwszy się zarazem, czy będą w stanie uczynić tym chęciom zadość, a tém samém, dotrzymać przyrzeczenia.

Ale Franklin nie mógł patrzyć w przyszłość; wystarczało mu więc oświadczenie osoby, tak znakomite zajmującéj stanowisko, — gotował się więc do podróży. Przed nią jednak zamierzył zaślubić pannę Read. Na szczęście matka panny myślała podobnie jak ojciec Franklina: młodzieńca ośmnastoletniego uważała jeszcze na wpół za wyrostka; dlategoż oświadczyła, że dość będzie czasu pomyśléć o małżeństwie po powrocie Franklina z Anglii i załatwieniu tak ważnego interesu, jakim jest urządzenie drukarni, która ma być podstawą całego jego bytu. Rad nierad Franklin musiał się zgodzić z wolą praktycznéj matki, a dawszy, jak sam powiada, pannie przyrzeczenie, popłynął do Anglii.

Przybywszy do Londynu, Franklin przed innemi widział się zniewolonym do czynienia studyów nad charakterami ludzkimi, a na sam początek przyszło mu dobrze się zastanowić nad ludźmi tego kroju, do jakich należał gubernator. Miał on od niego listy polecające, a list z pieniądzmi miał nadejść; tymczasem list ten wcale nie nadszedł, a tamte nie miały żadnéj wartości. Zamiast więc zakupować przybory do drukarni, Franklin szukać musiał roboty, aby nie zginąć z głodu. W tym celu zgłosił się do drukarni Palmera, jednéj ze znaczniejszych w Londynie, i został przyjęty.

Po niejakim czasie lepsze jeszcze otrzymał miejsce w drukarni Watsa, w któréj około pięćdziesięciu robotników było zajętych. Wszyscy pili nadto wiele piwa; Franklina zaś, który tylko pijał wodę, amerykańskim wodnikiem przezwali utrzymując, że brak mu siły muskularnéj. Ale niemało się zadziwili, ujrzawszy go raz niosącego po schodach z dołu na piętro w każdéj ręce po formie z czcionkami, kiedy każdy z nich obudwu rąk potrzebował do uniesienia jednéj tylko formy. „Towarzysz mój, z którym przy prasie byłem zajęty“ — opowiada Franklin — „wypijał codzień dzbanek piwa na śniadanie, drugi między śniadaniem a obiadem, trzeci podczas obiadu, czwarty około godziny szóstéj po południu, a wreszcie siódmy wieczorem robotę ukończywszy. Zwyczaj ten wydał mi się obrzydliwym; on zaś twierdził, że bez téj ilości piwa nie miałby sił do roboty. Starałem się przekonać go, że siła fizyczna, którąby dostarczało piwo, mogłaby być skutkiem tylko stałych części jęczmienia, w wodzie rozpuszczonych, z których się składa piwo; a zatem, że w chlebie za fenik zawiera się daleko większa ilość mąki, z któréj zjadłszy chléb i szklankę wody wypiwszy, więcéj nabędzie siły, niż z dzbanka piwa. Ale to rozumowanie moje nie powstrzymało go od dalszego picia téj saméj ilości piwa i od przepijania co sobota czterech do pięciu szylingów (dwa do półtrzecia złotego), które płacił za porter. Tym sposobem ci biedacy pozostają przez całe życie w samowolném ubóstwie i niedostatku.“

W poniedziałek — tak zwany u naszych robotników *blaumontag* — Franklin nigdy nie świętował; toż wkrótce pracą i pilnością pozyskał sobie względy i szacunek u pryncypała, który mu, jako bardzo biegłemu i zręcznemu składaczowi, powierzał najpilniejsze, a przeto i najlepiéj opłacane roboty. Jak niegdyś Kollins, tak teraz niejaki Ralf, który się zaliczał do jego przyjaciół i razem z nim udał się był do Londynu, był jego plagą. Ralf ciągle pożyczał u Franklina, o zwrocie wcale nie myśląc; suma tych pożyczek urosła do wysokości dwudziestu siedmiu funtów. Nareszcie Ralf wyjechał z Londynu, aby na prowincyi znaleść sobie miejsce, pozostawiwszy w Londynie narzeczoną, którą Franklin gorliwiéj się zajmował, aniżeli się godziło. Ralf powróciwszy, uznał postępowanie Franklina naganném i oświadczył mu, że uważa się przez to uwolnionym od wszelkiéj względem niego wdzięczności, co tyle miało znaczyć, że nie zwróci długu, u niego zaciągniętego. I rzeczywiście

na tém się rzecz skończyła, bo Franklin ani grosza od Ralfa nie otrzymał.

Podczas pobytu swego w Londynie, Franklin całkiem zapomniał był o pannie Read, którą, nim Amerykę opuścił, za swą narzeczoną uważał. Toż i ona, oczekując napróżno jego powrotu, a nadto przez cały rok ani listu od niego nie otrzymawszy, była pewną, że ją sobie wybił z pamięci. A kiedy jeszcze nadarzył się garncarz, który prosił o jéj rękę, tedy idąc za radą matki, dała mu słowo i wkrótce za mąż poszła.

Franklin bawił już półtora roku w Londynie i w zawodzie swym bardzo się wydoskonalił. Wieczorami po robocie najmilszym dlań odpoczynkiem było czytanie dobrych książek i towarzystwo młodych, naukę i pracę lubiących, ludzi. W tym czasie poznał niejakiego Denhama, kupca, który tak bardzo go sobie był upodobał, że mu ofiarował u siebie miejsce komisanta. Denham, człowiek prawego charakteru i wielkiéj w swym zawodzie znajomości rzeczy i obrotności, zamierzał ze znacznym zasobem towarów udać się do Filadelfii, dawał Franklinowi znaczną płacę i prócz tego przyrzekł mu na późniéj pomoc do urządzenia się samoistnego. Dobre widoki i tęsknota za krajem rodzinnym skłoniły Franklina do przyjęcia propozycyi. Pożegnał więc zawód drukarski i z nowym swym pryncypałem zajął się skupowaniem towarów.

Ale o tym samym czasie odbył on w sobie i ze sobą pożegnanie innego rodzaju. Niejedno, co dotychczas robił, coraz mniéj zgadzało się z jego sumieniem. Przez ten czas poznał był dość ludzi, a zastanawiając się nad ich postępowaniem, jednych pomimowoli dla ich zasad szanował, zasadami drugich, a często brakiem zasad, brzydzić się musiał. Toż coraz mocniejsze wyrabiał sobie postanowienie postępowania drogą świętéj prawości i rzetelności; i zaprawdę, jak to okaże dalszy jego żywot, odtąd, jak mało kto, pozostał wiernym temu postanowieniu.

Czas nierozwagi i błędów od tego czasu na zawsze przeminął.

III. Zwrot pomyślny.

Francuz Mignet charakteryzuje zwrot ten, jaki wówczas dokonywał się w duszy Franklina, w słowach następujących: „Wszechświat“ — powiada Mignet — „jest harmonią praw. Od gwiazd,

które przez miliony lat podług prawa ciężkości poruszają się w niezmierzonéj przestrzeni, ulegając tak ruchowi potężnemu, jakotéż nieodmiennéj sile przyciągającéj, których im Stwórca najwyższy udzielił, aż do owadów, które tylko kilka minut ruszają się około listka drzewa — wszystkie ciała, wszystkie jestestwa, pewnych praw słuchają. Prawa te, które mądrość Boża ustanowiła, dobroć urzeczywistniła, a sprawiedliwość utrzymuje; prawa te podziwienia godne, wprowadziły ruch w całéj doskonałości, rozpowszechniły życie z całą jego obfitością i bogactwem, i utrzymały w zupełnéj harmonii porządek w wszechświecie niezmierzonym. Człowiek, stworzenie najwznioślejsze i ze wszystkich najmisterniejszego ustroju, postawiony wśród tych praw, ale nie po za nie i nad nie, zdolen je pojmować, ale odmienić niezdolen, podlegający i materyalnym prawom ciała i prawom żywych jestestw — człowiek otrzymał wspaniały dar rozumu, piękny przywiléj wolności, boskie sprawiedliwości uczucie. Rozum mając, winien znać prawa wszechświata, uczuciem sprawiedliwości obdarzony, poddawać się mu powinien; a będąc wolnym, karę odbiera, jeżeli się z pod nich wyłamuje, gdyż nie wolno mu naruszać ich ani w fizycznym, ani moralnym porządku rzeczy, nie ściągnąwszy na się kary bądź to za niewiadomość, bądź za omyłkę swoję. Zdrowie lub choroba, szczęście lub niedola, zależą od bacznéj troskliwości, z jaką na nie zwraca uwagę, albo od wytrwałości pełnéj niebezpieczeństw, z jaką przeciw nim wykracza. Franklin to rozumiał. Od uważania porządku wszechświata wzniósł się do Stwórcy; wyznawał Boga i postawił go w rozumie swym i sumieniu jako pewnik niewzruszony. Z różnéj ducha i materyi istoty, z jednolitego ducha a ze znikoméj materyi wnioskował zdrowym zmysłem wszystkich ludów i zasad wiary wszelkich religii, tak najniższych jak najwznioślejszych, o nieśmiertelności duszy. Z konieczności porządku w wszechświecie, z uczucia sprawiedliwości w człowieku wywodził on nagrodę za dobre a karę za złe uczynki, czyto w tém, czy w przyszłém życiu. Istnienie Boga, nieśmiertelność duszy, nagroda lub kara za uczynki, a to w miarę ich zgody lub sprzeczności z moralnemi prawami, nabrały w oczach jego powagi prawdziwych artykułów wiary.“

Dotychczas Franklin starał się gorliwie o nabywanie i pomnażanie wiadomości, o przyswojenie sobie największéj, ile można było, wprawy i zręczności w swoim zawodzie; teraz zaś z całą powagą i rozwagą zwrócił baczność na życie swe moralne, usiłując uwolnić

się od błędów, umocnić w dobrych skłonnościach i nawykieniach, i w cnoty się uposażyć. Ułożył sobie spis tych przymiotów, które rad był w sobie wyrobić i życiem swém sprawdzić, do każdego kilka słów objaśniających dodając. Spis ten brzmi jak następuje:

1. Wstrzemięźliwość. Nie jédz, żebyś się aż stał zwierzęciem; nie pij, żeby ci aż głowa pałała.

2. Milczenie. Mów tylko to, co tobie lub drugim może być pożyteczném.

3. Porządek. Każda rzecz niech ma swoje stałe miejsce. Każdéj ze spraw swoich poświęć część czasu swego.

4. Postanowienie. Postanawiaj wykonać to, co masz uczynić, a wykonaj to, coś postanowił.

5. Oszczędność. Nie czyń niepotrzebnych wydatków ani dla siebie ani dla drugich, t. j. nic nie marnuj.

6. Pilność. Nie trać czasu; zajmij się zawsze czémś pożyteczném. Rób, czego potrzeba.

7. Szczerość. Nie uciekaj się do pokątnych matactw. Niech niewinność i sprawiedliwość kierują twemi myślami i mową.

8. Sprawiedliwość. Nie czyń nikomu krzywdy i wyświadczaj drugim przysługi, jakich spodziewać się od ciebie mają prawo.

9. Równowaga. Unikaj ostateczności, za obrazę nie żyw urazy, jeżeli nawet myślisz, że na to zasługuje.

10. Ochędóstwo. Nie cierp niechlujstwa ani na sobie, ani na odzieniu swém, ani w pomieszkaniu.

11. Spokój. Chroń się rozdrażnienia z powodu drobnostek lub zwykłych nieuniknionysh zdarzeń życia.

12. Czystość. Strzeż czystości i wstydu, abyś nie naraził swego lub drugich spokoju lub dobréj sławy.

13. Pokora. Naśladuj Chrystusa i Sokratesa.

Franklin objaśnił także krótko następstwo swych trzynastu reguł; widać więc, że z umysłu w tym a nie innym ułożył je porządku. „Na czele“ — powiada on — „umieściłem wstrzemięźliwość, gdyż utrzymuje ona chłód i trzeźwość głowy, a myślom nadaje swobodę, czego niezbędnie potrzeba, jeżeli chcemy być zawsze czyści, zawsze mieć się na ostrożności, aby stawiać opór ponętom dawnych nawyknień i potędze pokus, na nas ustawicznie czyhających. Jeżeliśmy się raz wzmocnili w téj cnocie, tedy i milczenie staje się łatwém: a ponieważ pragnąłem nabywać wiado-

mości celem utwierdzenia się w praktyce cnót; ponieważ widziałem, że w towarzystwie więcéj uczymy się za pomocą słuchu, aniżeli za pomocą języka; ponieważ chciałem pozbyć się zwyczaju, który już mnie był opanował, mówienia o niczém, a przy każdéj sposobności rzucania w około siebie igraszką słów i żartami, co towarzystwo moje czyniło przyjemném tylko ludziom płytkiego umysłu: przeto milczenie na wtórém położyłem miejscu. Tuszyłem sobie, że z porządkiem, który tuż po niém następuje, dostarczy mi więcéj czasu do zajęcia się moim planem i naukami. Postanowienie, które stało się we mnie nawyknieniem, udzieliło mi niezbędnéj wytrwałości do nabycia cnót innych; oszczędność i pilność, które mi ulżyły w długu, na mnie ciężącym, i doprowadziły do dobrego bytu i niezależności, ułatwiły mi wykonywanie przepisów szczerości, sprawiedliwości, równowagi, ochędóstwa, spokoju, czystości i pokory."

Ale postanowienia i zamiary dwojakiego są rodzaju; jedne podobne do pustych kwiatów, drugie do kwiatów, zawierających w sobie zarody owoców. Postanowienia Franklina do drugiego należały rodzaju. Stosownie do słów: „Czuwajcie i módlcie się!", co wieczór przeglądał wszystkie godziny w dniu przepędzone, i jak surowy sędzia, na siebie samego sprawiedliwy wydawał wyrok. Wówczas leżała przed nim książka z onemi prawidłami życia, do któréj zapisywał i swe przeciw nim uchybienia i postanowienia spełnione. Poczém w gorącéj modlitwie wznosił ducha do Boga i błagał o siłę. Mała ta książka zawiera wiele modlitw, bądź to w słowach, które z własnéj płynęły mu duszy, bądź wyjątki z pisma świętego, bądź wypisy z poetów, jego uczuciom odpowiadające. Kilkakrotnie powtarza się tam ustęp z pism angielskiego poety Tomsena treści mniéj więcéj następującéj:

„Źródło życia i światła, wszechmogący Boże!
Ty sam racz mnie nauczyć, co dobrém być może.
Zachowaj mnie od szału, grzechu i próżności.
Myśli kieruj w świat wyższy, chroń od poziomości.
Daj mi Panie poznanie, spokój duszy, cnotę,
W sercu wzbudzaj natchnienie, do cnoty ochotę!"

Zwrot ten w życiu Franklina w tém piękniejszém występuje świetle, że odbywał się w czasie, kiedy naszemu Benjaminowi świetnie powodzić się zaczęło. Był buchhalterem zamożnego kupca Denhama, który zaszczycił go całém swém zaufaniem, a po którego

prawości mógł się spodziewać na przyszłość poparcia, już nawet przedtém mu przyrzeczonego. W takich razach zazwyczaj człowiek, a zwłaszcza młody, cały tonie w świecie, i jego wrażeniom i wpływom ulega; dopiero wtedy, kiedy bieda zacznie dokuczać lub nieszczęście dotknie, kiedy ludzie radzić lub pomódz nam nie umieją lub nie chcą, wtedyto dopiero zaczynamy odrywać się od świata, oglądając się i szukając Tego, który nam jedynie pomódz może; jakby na potwierdzenie przysłowia: „Kiedy trwoga, to do Boga“. Otóż inaczéj rzecz miała się z Franklinem; on, jak się rzekło, właśnie w czasie świetnego powodzenia zwrócił się myślą ku Temu, o którym nigdy zapominać się nie godzi; wtenczas szukał prawd i praw życia, jako objawów woli Jego świętéj i podwalin moralnego porządku; wtenczas wglądnął w siebie, począł odbywać rachunek sumienia i przepisał sobie ścisły moralny porządek życia; słowem, zwrócił się do Boga wtedy, kiedy mu dobrze było na świecie. Ileż to młodzieńców w takich właśnie stosunkach schodzi na bezdroża, na ciele i duszy ponosząc szkodę! On za pomocą Bożą utrzymał się na równym gościńcu życia i mimo ciężkich prób, jakie jeszcze miał do przebycia, już z niego nie zboczył.

IV. Droga do niezależności.

Próby te nie długo na się czekać kazały. Denham, pryncypał Franklinowi tak życzliwy, który obchodził się z nim jakby z własnym synem, nagle umarł. Z nim wiele nadziei Franklina zstąpiło do grobu. Nie pozostawało mu teraz nic innego, tylko znowu zacząć od tego, na czém był przestał przed dwoma laty; t. j. oglądnąć się za miejscem w któréj drukarni w Filadelfii. Równocześnie i drukarz Kajmer, u którego Franklin dawniéj pracował, zamierzył był ofiarować mu u siebie pierwsze miejsce z dobrą płacą. Franklin nie lubił Kajmera, tak dla niepewności jego charakteru, jak dla małéj znajomości interesu; przyjął jednak miejsce ofiarowane, a to dla braku w onéj chwili czego stosowniejszego. Od razu wziął się po dawnemu z całym zapałem do roboty. Prócz niego zajętych było w drukarni pięciu jeszcze robotników; ale robota ich równała się całkiem robocie ich pryncypała t. j. była bardzo niedokładna. Pod

kierownictwem Franklina, który według wyraźnéj umowy zastępować miał w drukarni Kajmera jako pryncypała, od dnia pierwszego tok spraw zupełnie inny wziął obrót. Składacze i uczniowie widząc, jak dzielnie we wszystkiém sobie poczyna i codzień od niego się ucząc, okazywali mu uszanowanie. Więcéj jeszcze cieszył się tém Kajmer i Franklina pochwałami obsypywał. Ale ten wkrótce odgadł prawdziwe tego postępowania pobudki. Kajmer myślał sobie: Franklin zaprowadzi mi ład w drukarni, i ludzi weźmie w należyte karby, a skoro tego dokona, pójdzie sobie z kwitkiem. Ale Franklin nie odpłacał równą monetą, lecz na to sobie odpowiadał: Niech Kajmer postępuje sobie nieuczciwie; to jednak nie daje mi prawa do podobnego z nim postępowania; owszem całéj siły dołożę do wywiązania się z przyjętych na się obowiązków i poprowadzę interes tak, jakby był moim własnym.

Czynił to naprawdę w pocie czoła. Późniéj, kiedy trudniejsze nadarzyły mu się sprawy, w następujący radził sobie sposób. Najpierw sam rozważał jak najściśléj sprawę; potem złożywszy na pół papier, spisywał to, co za nią przemawiało, po jednéj, co przeciw niéj mówiło, po drugiéj stronie przedziału. Następnie poczynał sobie z uwagami spisanemi jak ze zrównaniem rachunkowém, przekreślając powody za i przeciw równéj wartości, przyczém czasami jeden powód z jednéj strony równoważył kilku ze strony przeciwnéj. Tym sposobem zmniejszały się pozycye po obu stronach a kwestya, o którą się rozchodziło, okazywała się w końcu w najprostszéj, rzekłbym, postaci, tak, że łatwo mógł wyrobić sobie sąd o niéj jasny i powziąć ostateczne postanowienie. Postępowanie to Franklin nazywał swą moralną algebrą.

Praca sumienna Franklina była korzystną dla Kajmera, ale więcéj korzyści i pożytku przynosiła samemu Franklinowi, gdyż coraz większéj wprawy, zręczności i znajomości nabierał w swym zawodzie. Ileżto takich, co przyjąwszy obowiązki w jakimś zawodzie, nie pojmują tego, że, jeżeli niedbałością szkodzą złemu chlebodawcy, sobie samym większą jeszcze przez to wyrządzają szkodę. Nawet taki, któryby nie słuchał wyrzutów sumienia, zastanowiwszy się zimno i poważnie nad rzeczą, zrozumiałby, jak się ma ona naprawdę.

W drukarni Kajmera brakło nieraz czcionek; a ponieważ w Ameryce nie było podówczas ani jednéj jeszcze odlewarni, przeto, już brak potrzebnych na nie pieniędzy pominąwszy, często ztąd wynikały kłopoty. Franklin, który raz przypatrywał się w Londynie

odlewaniu czcionek, nosił się z myślą przyrządzenia na ten cel formy, a niezadługo rzeczywiście już ją przyrządził. Czcionek, które miała drukarnia, użył za stemple i odlewał nowe czcionki w matrycach z gliny. Przy sposobności rzeźbił na drzewie ozdoby, robił czernidło, słowem, wszystkiemu umiał dać radę. Ale czém zręczniejszymi stawali się składacze i uczniowie, tém chłodniéj Kajmer obchodził się z Franklinem.

Trudno go było zadowolić; widocznie szukał przyczyny do sprzeczki, aby się pozbyć niepotrzebnego mu już, jak mniemał, Franklina. W saméj rzeczy, okoliczność błaha do tego mu wystarczyła. Na ulicy powstał był wielki hałas; Franklin otworzywszy okno, wyjrzał, aby się dowiedzieć, co się dzieje. Kajmer stał właśnie przed domem, a spostrzegłszy Franklina wyglądającego, niebacząc, że na około pełno ludzi, hałasem zwabionych, z okien wyglądało, zawołał na niego w sposób grubiański, aby pilnował swéj roboty; za chwilę zaś wszedł do drukarni, wypowiedział Franklinowi miejsce, z żalem dodając, że wypowiedzenie to dopiéro po trzech miesiącach może mieć skutek. Franklin odrzekł mu na to, że go w tym punkcie uwolni od kłopotu, gdyż natychmiast go pożegna; co téż uczynił.

Wieczorem jeden z uczniów drukarskich, nazwiskiem Meredit, przyszedł do Franklina. Był to już mężczyzna trzydziestoletni, wychowywany do rolnictwa; do drukarstwa zaś, którego był się jął tak późno, wcale niezdatny. Meredit ubolewał, że Franklin nie pozostanie nadal w drukarni u Kajmera i zapytał go, co teraz uczynić zamyśla. Ten odrzekł mu, że prawdopodobnie powróci do miasta rodzinnego. „Meredit“ — opowiada Franklin — „odradzał mi tego, przypominając, że Kajmer ma więcéj długów, aniżeli wart z całém swém mieniem; że wierzyciele jego już są zaniepokojeni; że sklep, który miał obok drukarni, w opłakanym znajduje się stanie, gdyż często sprzedaje towar po cenie kupna, aby tylko dostał gotówki; przytém ciągle daje na kredyt, nie prowadząc książki i rachunków; słowem, wkrótce zbankrutować musi; nastąpi więc chwila dogodna do założenia nowéj drukarni. Na to uczyniłem uwagę, że mnie o tém myśléć niepodobna dla braku funduszów; Meredit zaś rzekł, że ojciec jego ma o mnie bardzo dobre wyobrażenie, i że z rozmowy, jaką miał z nim, wyrozumiał, iż dostarczyłby wszystkiego na urządzenie drukarni, gdybym go (Meredita syna) przyjął do spółki. Na wiosnę kończy mu się nauka u Kajmera. Wie on wprawdzie, że nie jest dobrym robotnikiem, ale gdybym

przyjął jego propozycyą, tedy mojéj znajomości rzeczy równoważyłby kapitał, przezeń wniesiony, a dochód szedłby do równego działu. Propozycya była słuszna i do przyjęcia; więc przystałem. Ojciec jego, który właśnie pod ten czas był w mieście, także się zgodził. Wiedział on, że wywierałem pewien wpływ na syna jego, gdyż powiodło mi się było powstrzymać go na jakiś czas od picia wódki; ojciec więc miał nadzieję, że go całkiem wyleczę od tego nieszczęsnego nałogu, skoro w bliższe wejdę z nim stosunki. Drukarnią zamówiliśmy w Londynie, ale rzecz pozostała jakiś czas w tajemnicy.

Tymczasem Franklin nie myślał wypoczywać; ale na razie nie miał roboty. Przytém tak się złożyły pod ten czas okoliczności, że i Kajmerowi przyszło pożałować stosunku, z Franklinem zerwanego. Okazało się bowiem, że zamyślano powierzyć drukarni jego druk części pieniędzy papierowych dla Nowego Jerseju. Ale tylko Franklin był w stanie przyrządzić do tego potrzebne typy i ozdoby. Kajmer obawiał się więc, aby się w tym celu nie udano do Bradforda, właściciela drugiéj drukarni w mieście, który w takim razie niezawodnie ofiarowałby Franklinowi miejsce u siebie. Aby temu zapobiedz, przebiegły Kajmer napisał natychmiast do Franklina list bardzo grzeczny, w którym przyznawszy się do winy zbytniéj popędliwości, wyraził żal z tego powodu i Franklina prosił, aby znów zajął dawniejsze w drukarni jego stanowisko. Ten wahał się z razu, ale wreszcie przyjął propozycyą. Niezadługo istotnie nadeszło wspomniane z Nowego Jerseju wezwanie, a Franklin zrozumiał, że nie chęć naprawienia wyrządzonéj mu krzywdy, lecz przebiegłość i własna korzyść spowodowały Kajmera do zawiązania z nim nowego stosunku. Ale wierny raz powziętéj zasadzie, iż pracować należy dla pracy, a nie dla względów osobistych, nie troszczył się o pobudki Kajmera, lecz z całą energią zabrał się do przyrządzenia miedziorytni i to pierwszéj, którą widziano w Ameryce. Własną ręką wyrył on potrzebne ozdoby i winiety. Ale ostateczne jéj wykończenie i przysposobienie do użytku nastąpić mogło dopiero w Burlingtonie pod nadzorem władzy prowincyonalnéj, a nadto wyznaczono urzędników do czuwania nad drukiem asygnat papierowych. Kajmer radby był sam udał się do Burlingtonu, gdyby nie to, że dla braku znajomości rzeczy i zręczności, potrzebnéj do wykonania ostatecznych robót, nie da sobie rady. Nie mógł się więc obyć bez Franklina; wziął go ze sobą do Burlingtonu, a tam z niemałém utrapieniem

patrzyć musiał i słuchać, jak najznakomitsi członkowie rządu przyznawali słuszność i pochwały zręczności Franklina w wykonaniu pracy poleconéj. Niektórzy polubili go bardzo, osobliwie Inspektor generalny Izak Dekow, człowiek już wiekiem poważny i z bystrego rozumu znany. Syn ubogich rodziców, Dekow za młodu zarabiał na chléb, glinę w cegielni podając; dopiero znacznie późniéj nauczył się czytać i pisać; poczém służąc u inżyniera przy pomiarach, miernictwa się nauczył, a wreszcie usilną pracą i rzetelnością dorobił się poważania u ludzi i majątku. Franklin słuchał z zajęciem opowiadania przygód i kolei życia poważnego i powszechnie poważanego starca, zachowując je w pamięci jako skarb, z którego bardzo troskliwie korzystał. Podobnież i zacny starzec z przyjemnością dowiadywał się o dotychczasowych kolejach energicznego i sprytnego młodzieńca; a w kilka miesięcy, kiedy już druk pieniędzy był ukończony, żegnając się z Franklinem, powiedział: „Przewiduję, że wkrótce wyprzesz tego człowieka (Kajmera) z jego stanowiska, a sam dorobisz się w Filadelfii znacznego majątku.“ Franklin nic mu o tém nie wspominał, że w spółce z Mereditem otworzy interes na własną rękę. Pobyt ten w Burlingtonie zjednał mu życzliwość Dekowa i drugich najznakomitszych w prowincyi mężów, co mu późniéj miało wyjść na korzyść. Tak znowu na sobie samym doświadczył Franklin, że praca dla pracy, bez względu na pobudki, z jakich Kajmer mu powtórnie ją u siebie ofiarował, prowadzi do wypadków, których na razie nawet przewidywać nie można. Franklin pracą zjednał sobie przyjaciół, którzy mu kiedyś stać się mieli pomocni, a to, gdy już na własną pracował rękę.

W krótce potém Franklin rozstał się z Kajmerem Czas nauki Meredita był upłynął, materyały drukarskie w wielkich pakach nadeszły z Londynu; Franklin z Mereditem najęli dom w rynku i otworzyli drukarnią. Właśnie ustawili prasę, gdy pewien znajomy Franklina, sprowadził mu wieśniaka, który pierwszy w nowym zakładzie zrobił zamówienie. Franklin bardzo się tém ucieszył, zwłaszcza że kasa spółki prawie zupełnie była wyczerpana. „Pięć szylingów“ — powiada on — któreśmy otrzymali od wieśniaka, ten pierwszy nasz dochód, właśnie w sam czas wpływając, sprawił mi większą radość, niż jakakolwiek kwota czasów późniejszych; a wdzięczność, jaką miałem dla znajomego, uczyniła mnie jeszcze skłonniejszym do zachęcania młodych początkujących przedsiębiorców.“

Teraz trzeba było zdobyć sobie stanowisko i zupewnić byt obok dwu drukarni Bostońskich. Zadanie to było wcale nie łatwe: trzeba było wydobyć prowizyą od kapitału wyłożonego na zakupienie przyborów i materyałów drukarskich, na najem domu, na pokrycie kosztu utrzymania obudwu spólników. Meredit pracował ile tylko zdołał, ale cały interes spoczywał na barkach Franklina. Toż pojmował on jasno, że cały sekret powodzenia polega na dostarczaniu roboty, ile możności, najlepszéj i w czasie jak najkrótszym; a zatém: na niezmordowanéj i sumiennéj pracy. Zatém skoro świt widziano go przy pracy; a godzinę wieczorem, i to raz tylko na tydzień, przepędzał dla odpoczynku w kole przyjaciół równo myślących. Zawiązał on klub, którego członkowie miewali wykłady, nad którymi potém toczyła się rozmowa. Podobnie jak ów znajomy i drudzy przyjaciele i znajomi Franklina korzystali z każdéj sposobności, aby mu nastręczyć robotę. Za pośrednictwem jednego z członków klubu sekta Kwakrów powierzyła mu druk czterydziestu arkuszy historyi swojéj. Franklin składał, Meredit odbijał. Pomimo, że dzieło miało format bardzo wielki, a pod tekstem liczne i obszerne mieściły się uwagi, które najdrobniejszym trzeba było wydrukować drukiem, Franklin postanowiwszy, że codzień złoży arkusz druku, postanowienia tego rzeczywiście dokonał. Ale też przed północą nie szedł spać; a kiedy pewnego razu przypadkiem złamała się forma i dwie arkuszowe stronice składu zupełnie się pomieszały, nie udał się na spoczynek, dopóki czcionek nie uporządkował i tekstu na nowo nie złożył. Pilność taka wytrwała jednała mu uszanowanie i kredyt. W klubie kupieckim wyraził ktoś powątpiewanie, azali interes Franklina i spółki obok dwóch istniejących drukarń zdoła się podniesć, albo przynajmniéj utrzymać. Na to rzekł Dr. Bard: „Pilność i wytrwałość Franklina przechodzi wszystko, cokolwiek gdzie w tym zawodzie widziałem. Wracając w nocy z klubu, widzę go jeszcze pracującego, a rano znów jest przy pracy, kiedy sąsiedzi jego jeszcze na dobre chrapią.“ Słowa te wywarły bardzo dobre wrażenie na członkach klubu; toż jeden z nich zaraz dnia następnego odwiedził Franklina i nieproszony, sam ofiarował mu kredyt, jeżeliby zamierzał założyć handel materyałami do pisania. Franklin odmawiał sobie wszelkiéj rozrywki; nie bywał ani na polowaniach, ani przy połowie ryb, ani go też nie widziano w publicznych miejscach rozrywek i zabaw. Przytém żadna robota nie była mu za małą; a bluzę robotniczą za suknią honorową uważał. Ze składu woził sam na

taczkach papier do drukarni. Przyrzekał tylko to, czego mógł dotrzymać; a co przyrzekł, tego święcie dotrzymał, czyto rozchodziło się o wypłatę pieniędzy, czy o dostarczenie roboty. Jakitaki, kto go nie znając, po raz pierwszy obaczył, zwłaszcza kiedy wiózł taczki, miał go za biedaka i ograniczonego wyrobnika; ale skoro z nim pomówił i zajrzał mu w bystre oczy, przypatrzył się jego uprzejmemu obliczu, usłyszał mowę jego rozumną, wnet zdanie swe o nim zmienił.

Meredit czuł coraz bardziéj, jak wielki między nim a Franklinem co do pracy zachodził przedział. Podążać za nim, aby mu wyrównać, było mu nader trudno, a być zerem obok swego spólnika, było znów rzeczą przykrą. Osobliwie ciężyła mu na sercu ta okoliczność, że ojciec jego, który za niego i Franklina miał jeszcze spłacić niektóre sumy, właśnie z powodu różnych niepowodzeń znalazł się w takiém położeniu, iż nie mógł zadość uczynić przyjętym na się zobowiązaniom. Toteż pewnego razu Meredit w te słowa odezwał się do Franklina: „Rozumiem to dobrze, żem do zawodu drukarskiego wcale nieprzydatny; chowałem się na rolnika; totéż nierozsądnie sobie postąpiłem, rozpoczynając już dobrze po dwudziestym roku życia naukę, aby nowemu poświęcić się zawodowi. Wielu moich rodaków zamierza osiedlić się w Nowéj Karolinie, gdzie doskonała jest ziemia. Mam także ochotę udać się z nimi i do dawnego wrócić zajęcia. Pan znajdziesz zapewne przyjaciół, którzy ci pospieszą z pomocą. Jeżeli pan przyjmiesz na się wspólne nasze długi, zwrócisz ojcu memu zaliczonych sto funtów, zapłacisz moje drobne długi prywatne, dasz mi trzydzieści funtów i sprawisz nowe siodło, tedy zrzeknę się udziału mego w interesie i zupełnie go Panu odstąpię.“

Franklin zgodził się na to. Ale niepodobném byłoby mu załatwienie sprawy, gdyby przedtém nie było zaszło zdarzenie następujące. Jeden z jego przyjaciół przyszedł raz do niego i radził mu, aby z Mereditem, którego kilkakrotnie i w piwiarniach i na ulicy widziano pianego, przez co szkodzi dobréj sławie firmy, rozwiązał spółkę i na własne imię prowadził interes, na co mu tenże przyjaciel ofiarował kapitał potrzebny. A prawie o tym samym czasie drugi z jego przyjaciół te same czynił mu uwagi i również ofiarował pomoc. A stało się to tak, że obaj życzliwi przyjaciele o radach i pomocy Franklinowi niesionéj nawzajem nic nie wiedzieli. „Bylito dwaj prawdziwi przyjaciele“ — powiada Franklin — „któ-

rych szlachetnego postępku nigdy nie zapomnę, dopóki jeno zdolen będę pamiętania."

Franklin przyjął pomoc mu ofiarowaną; ale nie chcąc uchybić ani jednemu ani drugiemu zacnemu przyjacielowi, zażądał od każdego tylko połowy sumy, jakiéj potrzebował. Poczém podał do publicznéj wiadomości o rozwiązaniu spółki i że on sam tylko stał się właścicielem drukarni.

Stanął więc Franklin, jakto mówią, na własnych nogach. Drukarczyk ubogi, nie mający żadnych własnych funduszów, stał się panem drukarni; a stał się nim za pomocą pracy niezmordowanéj i rzetelności, które mu zjednały u ludzi poważanie i przyjaźń, a ta pospieszyła z pomocą. Otóż rozwiązanie jednéj z ważnych zagadek życia; do rozwiązania, jak przykład Franklina okazuje, nie tak trudnych, a przecież tak często nierozwiązywanych, z braku tak prostego klucza. Tymczasem ludzie biorą się nieraz do rozmaitych sposobów, gdzieś daleko ich szukają głowę sobie łamiąc, nieraz nawet ręce obrudzą, kiedy środki bardzo proste tak bliskie, że prawie tylko po nie schylić się potrzeba. Na cóż wytrychów, kiedy są klucze?

Łatwo można się domyśleć, że Franklin, który na cudzém rąk nie zakładał w kieszenie, na swojém tém mniéj jeszcze im folgował. Teraz chodziło o pokazanie, że wart zaufania, którém go zaszczycono. Rosła też praca jakby na drożdżach, a interes coraz szedł pomyślniéj. Franklin otworzył handel przyborów i materyałów do pisania. Ułożył i drukował stosowne na umowy, obligacye, rachunki i t. p. akta, wzory czyli blankiety, których w Ameryce jeszcze nie znano; miał też towar ten nowy wielki pokup. Poruszono także kwestyą nowego wydania pieniędzy papierowych. Posiadacze dawniejszych asygnat obawiali się spadku ich wartości. Sprawa ta stała się przedmiotem gruntownych rozbiorów w klubie, przez Franklina założonym, a on sam wydał o tym przedmiocie pisemko, w którém jasno dowodził, że użycie pieniędzy papierowych ułatwia bardzo ruch i stosunki handlowe, jednak pod warunkiem, że się nie puszcza ich w obieg bez zachowania właściwéj miary i stosunku.

W sejmie krajowym większość posłów oświadczyła się za puszczeniem w obieg nowéj seryi asygnat, a przyjaciele Franklina i osoby mu przychylne nie omieszkali wymienić go jako najzdolniejszego do wykonania dzieła. Tymczasem Franklin zamierzał wydawać dziennik i w tym celu czynił przygotowania; ale ktoś, komu

był się z tém zwierzył, nadużył zaufania i Kajmerowi rzecz zdradził. Ten natychmiast sklecił jakiś prospekt i Franklina z wydaniem dziennika wyprzedził. Wszelako samo drukowanie dziennika nie stanowi jeszcze jego powodzenia i wziętości; na to przedewszystkiém potrzeba należytéj redakcyi, do czego Kajmer wcale nie miał potrzebnych przymiotów. Toż zaledwie do dziewięćdziesięciu prenumeratorów doprowadziwszy, niebawem za bezcen sprzedał dziennik Franklinowi. Zaraz téż zmieniła się postać rzeczy; dziennik pod redakcyą Franklina zaledwie się okazał, już zyskał sobie zwolenników i coraz nabierał wziętości. Wbrew zwyczajowi dzienników, po owe czasy w Ameryce wychodzących, które zamieszczały bądź wyciągi z dzienników w Anglii wydawanych, bądź powtarzały za nimi jak pacierz za panią matką, Franklin samodzielnie wziął się do rzeczy, zwracając uwagę na sprawy, potrzeby i stosunki krajowe, amerykańskie i je rozbierał; a ponieważ wywiązywał się z tego w sposób bystry i oryginalny, więc w krótce i tę miał pociechę, że i zdolni członkowie zgromadzenia narodowego zasilali jego dziennik swemi pracami. Jak wszystko, co dobrze t. j. rozumnie i uczciwie użyte, błogie ma następstwa, podłość lub głupota zamienić może w niemałą dla dobra publicznego szkodę: podobnie ma się rzecz i z dziennikarstwem. W redakcyi dziennika Franklina obok rozsądku uczciwość i rzetelność w radzie zasiadały. Co się sprzeciwiało dobru powszechnemu, temu stanowczo bronił przystępu, chociaż ludzie, którym chodziło o popieranie celów osobistych, ofiarowali mu za przyjęcie artykułów nawet znaczne zapłaty.

Kajmer skończył tak, jak to już dawno przewidywali wszyscy ludzie rozsądni. Niedbalstwo, nieład, niepewność, przy braku znajomości rzeczy i zręczności doprowadziły go do tego, że sprzedał drukarnią i opuścił miasto. Jeden z uczniów jego, niejaki Dawid Hary, nabył ją od niego, i — poszedł w ślady swego pryncypała i mistrza; przeputawszy bowiem znaczniejszą część swego majątku, wybrał się z resztkami także do Borbados, gdzie dawniejszy pryncypał Kajmer wstąpił do niego za pomocnika do założonéj drukarni; ale i ta przy takich pracownikach niezadługo upadła.

Powodzenie i wzrost swego interesu Franklin zawdzięczał zasadom ekonomicznym, które raz jako jedynie prawdziwe poznawszy, z żelazną wolą i konsekwencyą w praktyce wykonywał. Ale z czasów swego obłędu pozostało niejedno do naprawienia; lecz i w tém był tak szczęśliwy, że i w tym względzie mógł zadość uczynić ży-

czeniom swoim. Z bratem swym Jakóbem zupełnie się pogodził, wziął mu syna do swéj drukarni, wykształcił go na porządnego w zawodzie pracownika, a wreszcie, kiedy tenże objawił życzenie założenia w inném mieście drukarni, w potrzebne na początek drukarskie przybory go zaopatrzył. Pieniądze, które był dla Werona odebrał, w części, jak wiemy, były się rozeszły, chociaż dla siebie Franklin ani fenika nie użył; przepadły one na pożyczkach u ludzi, którzy zawiedli byli jego zaufanie. Wreszcie i dola panny Read ciężyła mu długo na sercu. Czytelnik przypomni sobie, że ona w mniemaniu, iż Franklin podczas pobytu w Anglii o niéj zupełnie zapomniał, wyszła była za mąż za garncarza. Byłoto nieszczęśliwe małżeństwo. Garncarz napijał; a nadto wyszło na jaw, że za granicą był się ożenił i tam miał żonę jeszcze żyjącą. Narobiwszy mnóstwo długów uciekł on z Filadelfii, a po niejakim czasie nadeszła wiadomość o jego śmierci. Pozostała wdowa z domu Read żyła w biedzie i wielkim smutku; Franklin powiada, że popadła była w melancholią i szukała samotności. Otóż, aby naprawić to, w czém dawniéj był chybił, ofiarował jéj rękę i nigdy tego nie żałował. „Była ona mi — powiada Franklin — zawsze dobrą i wierną towarzyszką i głównie przyczyniła się do błogiéj życia mego pomyślności. Byliśmy ze sobą szczęśliwi, a wzajemnieśmy się starali o zachowanie i pomnożenie tego szczęścia.“ Teraz dopiero Franklin odzyskał zupełny spokój, a przez to wzniósł się na stanowisko, z którego jeszcze skuteczniéj niż dotąd rozrządzać mógł i działać zasobami swojego ducha.

V. Dalsza praca i jéj skutki.

Franklin ożenił się w r. 1730, w dwudziestym czwartym roku życia. Postanowiwszy tym sposobem, jak nasz Mikołaj Rej powiada, swój poczciwy staniczek, miał ognisko swe domowe, w którém skupione życie tém jaśniéj rozpromieniać się mogło na wszystkie strony. Totéż od tego czasu jemu, tak pilnemu i energicznemu pracownikowi, jakby przyrosło jeszcze pilności i energii, a rzutnemu przedsiębiorcy, jakby się rzutkości, zapobiegliwości i przezorności pomnożyło. Praca i działanie stały się jedynym żywiołem, rzekłbym

atmosferą i rozkoszą życia jego. Z powodzenia zadowolony, z sumieniem w zgodzie i pokoju, Franklin udawał się na spoczynek, a z pogodnym i orzeźwionym umysłem, o świeżych siłach ciała, skoro świt, do swojéj zabierał się roboty. Szczęścia nie szukał w zewnętrznych pozorach, w blichtrze mamiącym, zdolnym chwytać za oczy tylko bezrozumną gawiedź. Wiernym sobie i prawdzie pozostał, chociaż Bóg mu błogosławił i dostatek w dom zawitał; toż, Franklin, właściciel drukarni, tak jak ongi Franklin, czyto drukarczyk, czy starszy pomocnik, przez dzień cały w prostéj bluzie robotniczéj pracował i paradował. I teraz Franklin, już właściciel drukarni, skoro się tylko okazała potrzeba, nie wstydził się i nie lenił, sam wziąć taczek do rąk i jak ongi, wieść papieru ze składu do drukarni. A rozsądni osadnicy amerykańscy, z których każdy własną pracą dorobił się stanowiska, nie dziwili się wcale i nie krzywili na to nosami; owszem każdy z uszanowaniem i z dumą spoglądał na pracownika, jakby w przeczuciu, że tylko pracą, tylko natężeniem sił własnych młodziutka, europejska Ameryka, dorówna macierzy, dowiedzie, że nieodzowną jest jéj córą, a nawet w krótkim stosunkowo czasie ją przewyższy!

Co za przykład dla nas! Przykład zaprawdę naśladowania godny! I to do tego stopnia, że obraz Franklina, już właściciela drukarni, taczki z papierem wiozącego, znajdowaćby się powinien w każdym domu! Jaki przykład dla nas! Dla czego dla nas? Bo u nas niestety, niejeden wybrawszy zawód — a wielu jest takich, co w żaden zawód nie wstępują, chyba w zawód próżniaków, który naprawdę jest zawodem w najrzetelniejszém słowa znaczeniu, bo i tych, co mu się oddają i społeczność całą zawodzi — chociaż z razu imie się pracy, a przeto dozna powodzenia i do dostatku przychodzić pocznie, właśnie dla tego, że mu się wiedzie, zapomina o tém, czemu winien powodzenie, o tém, co jego rzetelną stanowi wartość, i wstydzić się poczyna swego powodzenia początku i źródła, i zawodu zaniedbuje, a obcą, przybraną zaczyna grać rolę, łudząc siebie marnym pozorem i szukając podziwu u ludzi równie płytkich, równie za blichtrem goniących! Jakiż stąd skutek? Oto na czas jakiś trochę fumy i szumu, dopóki do robienia szumu a w ogóle nadymania się starczy tchu, czyli środków! Ale i one z braku doglądania interesu, czyli zawodu, w krótce się wyczerpują, jak wysycha źródło nie podsycane; dostatku ubywa, a więc zagląda w oczy niedostatek; od pracy się odwykło; trudno więc do niéj

powracać. A jakież dalsze tego następstwo? Oto koniec najsmutniejszy! Upadek, z którego trudno się dźwignąć, bo się czas jakiś dobrego i wygodnego używało bytu; koniec najsmutniejszy, bo nędza, a tém przykrzejsza, że nie budząca politowania, jako na nie nie zasługująca; nędza, wywołująca śmiech wzgardy, nawet na ustach tych, co schlebiali, kiedyśmy z pełnego czerpali worka; nędza, budząca wstręt u każdego rozumnego; wstręt, jaki budzić musi lekkomyślność, nierozwaga i próżność!

Ale wróćmy do obrazu, który nie smutkiem lecz uczuciem żywéj radości napełnia serce, do obrazu, w którym człowiek na każdym kroku okazuje się człowiekiem w prawdziwém słowa znaczeniu; przypatrzmy się dalszemu naszego Franklina życiu, kiedy już miał własne domowe ognisko i własną, dobrze się wypłacającą, drukarnią z handlem przyborów do pisania. Wspomnieliśmy właśnie, że i teraz często sam jeszcze woził papier taczkami, a do tego dodamy, że i teraz jeszcze naczynie, z którego jadał śniadanie: mleko lub herbatę, stanowił garnuszek gliniany za sześć feników z łyżką cynową. Pewnego poranku żona podała mu mleko w filiżance porcelanowéj, z któréj wyglądała srebrna łyżeczka. Franklin z zadziwieniem spojrzał na żonę; zrozumiała ona to spojrzenie i rzekła: „Mój drogi! wszak zasługujesz na porcelanę i srebro równém prawem, jak nasz sąsiad.“ — „Byłoto po raz pierwszy“ — powiada Franklin — „że w domu moim zjawiła się porcelana i srebro.“ Ale też wprzód nim była porcelana i srebro w własnym domu, Franklin długi wszystkie pospłacał, synowi brata, od którego tyle doznał przykrości, drukarnią założył! Toż zaprawdę wart był porcelany i srebra, a nawet i złoto małąby było dla takich zasług nagrodą!

Gete raz wypowiedział myśl treści mniéj więcéj następującéj: „Ognisko domowe uważaj zawsze za punkt wyjścia, a od niego na świat się rozpościeraj!“ Ktoby myśli téj nie rozumiał, ten niech się przypatrzy życiu Franklina, a prawda w niéj zawarta jasną mu się stanie. Franklin przeznaczył sobie teraz godzinę codziennie na czytanie celem dalszego kształcenia ducha. W tymtéż celu sprawił sobie niejednę dobrą książkę za pieniądze, które wielu w tém samém, co on, położeniu, obraca na cele materyalne, a częstokroć i szkodliwe. A ileżto wspaniałych skarbów literatury posiadał świat, dla niego niedostępnych! Toż Franklin nietylko o sobie lecz i o drugich myślał, dla których tak jak dla niego tyle ich było zamkniętych. To bowiem jest znamieniem dusz szlachetnych, że nigdy dla

siebie samych nie żądają dobra i szczęścia, lecz pragną i bliźnim podać sposobność z nich korzystania. Myślał więc często o tém, jakbyto ogółowi ułatwić dobrych książek czytanie; a po dłuższém nad tą sprawą zastanowieniu powziął w r. 1731ym zamiar założenia publicznéj biblioteki. Myśl ta znalazła odgłos; pięćdziesiąt osób złożyło po 40 szylingów, obowiązując się zarazem do składania na ten cel po 10 szylingów rocznie. Liczba zwolenników z roku na rok rosła a „Towarzystwo biblioteczne w Filadelfii“ w dziesięć lat późniéj otrzymało prawa stowarzyszenia publicznego. Biblioteka tym sposobem założona już w roku 1790 składała się z 8.000 tomów; w r. 1830 liczba ta urosła na 32.000; dziś doszła do 50.000. Nie potrzeba się wcale rozwodzić nad ważnością takiego zakładu publicznego, tego dla całego kraju dobrodziejstwa; myśl pierwsza, początek wypłynął z głowy Franklina; a myśl ta szlachetna i pożyteczna w Filadelfii stawszy się ciałem, działała i w dal. Za przykładem Filadelfii poszły i miasta innych prowincyi; dobro więc sięgło poza granice miasta i prowincyi.

Pilność mrówcza Franklina nietylko się nie wyczerpywała, lecz coraz nowe dla pracy odkrywała pole. Dotychczas Ameryka z Anglii sprowadzała papier; toż drogo zań płacić musiała. Franklin powziął myśl wyrabiania go w kraju; myśl ta w krótce w czyn się zamieniwszy, Amerykę o nową gałąź przemysłu wzbogaciła, gdyż za przykładem Franklina pozakładano w różnych miastach papiernie. Jego drukarnia najzręczniejszych kształciła składaczów; a skoro który z nich własną chciał założyć drukarnią, Franklin wnet mu pospieszał z pomocą, dostarczając materyałów drukarskich i sam przez jakiś czas, dopóki nowy zakład nie wyrobił sobie stanowiska, do spółki należał. Tym sposobem w różnych miastach powstawały drukarnie, a Franklin, który do ich wznoszenia się pomagał, i tę jeszcze miał pociechę, że z tych, którzy za jego wsparciem pozakładali drukarnie, żaden nie zawiódł jego zaufania. Tak więc zakład Franklina był nietylko szkołą dla drukarzy, jako robotników, lecz zarazem kształcił charaktery tych, którzy w nim pracowali.

Rok 1732 był i dla Franklina i dla osad amerykańskich rokiem osobliwszego zdarzenia. W tym bowiem roku w lasach Wirginii, a to w skromnym domu uczciwéj rodziny, przyszło na świat niemowlę, które przy chrzcie otrzymało imię Jerzego, a po ojcu odziedziczyło nazwisko, któremu na wsze wieki dodać miało niespożytéj sławy i chwały; nazwisko: Wasyngton! Jakby tajemnica

przed wzrokiem śmiertelnych zakryta, spoczywała w kolebce nieporadna dziecina, aby kiedyś urość na obrońcę kraju rodzinnego przeciw samowoli i uciskowi rozzuchwalonéj i zaślepionéj Anglii; na wielkiego wodza na polu bitwy, a na pierwszego obywatela w pokoju. Któż patrząc wówczas w jasne i głębokie oczka dziecięcia mógł z nich wyczytać tę świetną jego przyszłość!

Ale jeszcze coś ujrzało w tym roku światło dzienne; coś co się wylęgło w sercu i głowie szlachetnego Franklina! Okazała się po raz pierwszy skromna książka: Kalendarz, który w kształcie coraz odnawianym przez ćwierć wieku w licznych egzemplarzach rozchodził się po kraju, nauczając i rady zdrowe podając narodowi, jakby w przeczuciu, że go przygotować potrzeba, oczyścić i zahartować na czas prób ciężkich, jakie nań czekały. I niemowlęciu w kolebce, onemu przyszłemu bohatyrowi, książka ta w latach jego chłopięcych i młodzieńczych pożywnego dostarczać miała pokarmu.

Słońce musi świécić i promienie swe rozsiewać po wszechświecie; podobnie i duch szlachetny sobie postępuje. I on wylewać musi na świat otaczający strumienie miłości, a prawdę, któréj dopatrzył, pełen błogiego uczucia, krzewić i rozpowszechniać musi. Żadna trudność i zapora w jakiéjkolwiek jawiłaby się postaci, czyto jako więzienie, ogień lub krzyż, nie odstraszy go, aby nie poszedł za głosem wewnętrznym, za natchnieniem i porywem boskim.

W porannéj godzinie dumał samotnie w izbie młody mędrzec Franklin — miał bowiem pisząc pierwszy swój kalendarz lat dwadzieścia pięć skończonych — pełniąc swe posłannictwo jako nauczyciel mądrości i cnoty. Zastanowienie się nad własném ubiegłém życiem przedmiotu mu dostarczało. Co tam ujrzał dobrego, to zawdzięczał uległości, z jaką szedł za szlachetnym głosem, który nań wołał z głębi jego dussy i serca; co mu szkodę przyniosło i wewnętrznego nabawiło niepokoju, to było następstwem sprzeciwiania się lub lekceważenia tego głosu wewnętrznego. Kalendarz swój wydał Franklin pod zmyśloném nazwiskiem Ryszarda Saundersa, a pod tytułem: „Kalendarz ubogiego Ryszarda.“

Dla scharakteryzowania sposobu, w jakim Franklin pisał w swym kalendarzu, przytoczę tu ustęp z kalendarza z roku 1758, w którym autor zawsze jeszcze pod nazwiskiem Ryszarda Saundersa szereg prawd z życia praktycznego, rozrzuconych po dawniejszych kalendarza rocznikach, wplótł był w powiastkę. Niejedna z tych prawd dziś stała się przysłowiem nieśmiertelném, tak zwa-

ném słowem lotném, bo ciągle, w różnych językach, w obiegu będącém.

Autor opowiada we wstępie artykułu, który ma napis: „Droga do bogactwa“ jak go to cieszyło, kiedy słyszał przytaczane przy sposobności zdania z „kalendarza ubogiego Ryszarda“; poczém w następujące odzywa się słowa:

„Osądźcie sami, ile mnie ucieszyć musiało zdarzenie, które wam teraz chcę opowiedzieć. Zatrzymałem konia swego w miejscu, gdzie licytacya towarów pewnego sklepu mnóstwo zgromadziła ludzi. Było to jeszcze przed rozpoczęciem licytacyi; rozmawiano więc o złych czasach, a jeden z przybyłych odezwał się był do człowieka już w podeszłym wieku o białych kędziorach, z wejrzenia prostego, a czysto odzianego, w te słowa: „Ojcze Abrahamie, jakież wasze zdanie o czasach dzisiejszych? Czyż te ciężkie podatki nie zniszczą zupełnie kraju? Jakto podołać ich opłaceniu? Jaka wasza w tym względzie rada?“

Ojciec Abraham powstawszy odrzekł: „Chcecie méj rady, dam ją wam w krótkich słowach: bo mądréj głowie, dość na słowie, a wiele słów nie zapełnią korca, jak powiada ubogi Ryszard.“

Wszyscy objawili życzenie usłyszenia zdania starca, a kiedy ze wszech stron skupiano się około niego, on mówił, co następuje:

„Przyjaciele i sąsiedzi! Podatki są istotnie bardzo uciążliwe i gdyby się kończyły na tych, które rząd nam nakłada, tedy jeszcze dalibyśmy im radę; ale niestety mamy prócz nich wiele innych, które niejednego z nas bardziéj jeszcze przygniatają. Lenistwo nasze nakłada na nas dwakroć, pycha nasza trzykroć, a głupota nasza cztérykroć większe podatki; a co gorsza, w tych podatkach nawet żaden z deputowanych naszych nie może nam ulżyć, a tém mniéj od nich uwolnić. Tymczasem słuchajmy mądréj rady, a może da się i dla nas coś zrobić; Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, jak powiada ubogi Ryszard w swoim kalendarzu. Rząd, któryby kazał narodowi, aby dziesiątą część czasu swego obracał na pracę dla niego bez wynagrodzenia, dopuszczałby się ucisku; a przecież próżniactwo niejednemu z nas nierównie więcéj czasu zabiera, jeżeli obliczymy to wszystko, co z niego marnujemy bądźto wałęsając się, bądź nic nie czyniąc, bądź spędzając go na zatrudnieniach bezużytecznych, bądź wreszcie na lekkomyślnych zabawach. Lenistwo wiedzie za sobą chorobę i skraca życie nasze.

„Lenistwo podobne jest do rdzy i niszczy prędzéj niż praca, kiedy klucz często używany zawsze świeci blaskiem, jak mówi Ryszard ubogi. Jeżeli kochasz życie, nie marnuj czasu, bo czas to materya, z któréj utkane jest życie, jak powiada Ryszard ubogi. Ileż to więcéj nad potrzebę przesypiamy czasu nie pomnąc o tém, że lis spiący nie złowi kury i że w grobie dość się wyspimy, jak mówi Ryszard ubogi. A jeżeli czas najdroższém i najcenniejszém ze wszech rzeczy jest dobrém, czyż marnowanie go nie będzie największém marnotrawstwem? Albowiem czasu straconego nikt jeszcze nie odzyskał, jak mówi przy innéj sposobności Ryszard ubogi, a to, co nazywamy dostatkiem czasu, zawsze się niedostatkiem okaże. Czuwajmy więc i róbmy, a róbmy coś pożytecznego; pilnością więcéj zdziałamy i z mniejszą trudnością. Lenistwo wszystko utrudnia, pilność wszystko ułatwia; a kto późno wstaje, ten cały dzień uganiać musi, a może i w wieczór nie dojdzie do celu; lenistwo powoli podróżuje, toż ubóstwo prędko go dogoni, jakto czytamy w Ryszardzie ubogim, który jeszcze dodaje: Popędzaj twą sprawę, a nie daj się jéj popędzać! —

Idź spać wcześnie, pochwal Pana,
Potém co świt, wstawaj z rana;
Mądry będziesz, zdrów, bogaty,
Mienie spłynie ci do chaty.

Co pomoże życzenie i oczekiwanie lepszych czasów? Sami możem czasy uczynić lepszymi, skoro się o to usilnie starać będziemy. Pilność nie potrzebuje sobie niczego życzyć, powiada Ryszard ubogi; a kto żyje nadzieją, z głodu umrze. — **Nie masz geniuszu bez usilnéj pracy**; pomóż mi ręko, bo nie mam ziemi, a jeśli mam jéj nieco, tedy bardzo opodatkowana. — Rzemiosło ma dno złote, a przemysł, to intratny i zaszczytny urząd. Ale i rzemiosła i przemysłu pilnować potrzeba; inaczéj bowiem ani duo złote rzemiosła, ani zaszczytny urząd nie zapłaci za nas podatku. Pilnemu głód także do domu zagląda, ale mu wstępu wzbroniono; a sługa sądowy także nie wnidzie; bo pilność płaci długi, a opuszczenie rąk je pomnaża. Choćbyś nie wykopał skarbu, i stryj bogaty nie zostawił ci majątku: pilność jest matką szczęścia!

„Pilnemu pomaga Bóg;
Zatém wcześnie przyrządź pług.
A gdy leniuch na barłogu
O swą biedę los obwinia,
Przybędzie ci zboża w brogu,
Napełni się spichrz i skrzynia.“

mówi Ryszard ubogi. Pracuj przez cały dzień dzisiejszy, bo nie wiesz, jaka jutro spotkać cię może przeszkoda. Jedno dzisiaj więcéj warto niż dwa jutra. Masz co jutro do zrobienia, zrób dzisiaj. — Czyż nie wstydziłbyś się, gdybyś był sługą, jeżeliby pan dobry zeszedł cię na próżniactwie? Skoro zaś jesteś sam swym panem, tedy wstydź się zejść samego siebie na próżniactwie; jak powiada Ryszard ubogi. Ponieważ tak wiele masz do czynienia i dla siebie samego i dla rodziny, dla kraju twego i społeczności, tedy, skoro świt, krzątaj się żwawo. Nie daj słońcu zaglądać i wołać: Patrzcie, oto gnuśnieje próżniak! Narzędzie swe chwytaj bez rękawiczki; pomnij, że kot w pończochach myszy nie złowi. Prawda, że wiele jest do roboty, a może nie masz rąk silnych; ale pracuj tylko wytrwale, a przybędzie ci sił i dzielorość będzie, bo „kropla ustawicznie spadająca kamień wyżłabia; pilna i cierpliwa mysz linę okrętową przegryza, a podsłabymi nawet, ale ciągłymi razami i najsilniejszy dąb pada, jak mówi Ryszard ubogi w swym kalendarzu, nie pomnę w téj chwili, w którym roczniku.

Ale jakbym już słyszał was mówiących: Jakto, czyż człowiekowi ani na chwilę nie godzi się myśleć o odpoczynku? Otóż powiem wam przyjaciele, co na to mówi ubogi Ryszard: „Używaj dobrze swego czasu, jeśli chcesz odpoczywać; a ponieważ nie jesteś pewnym ani jednéj minuty; przeto nie trać ani godziny. Odpoczynek to czas, w którym robić można coś pożytecznego; odpoczynku dostąpi pilny, ale leniwiec nigdy; toż powiada Ryszard ubogi, że życie, któremu starczy czasu na wypoczynek, a życie na lenistwie upływające, to rzeczy całkiem od siebie różne. Czy sądzisz, że lenistwo przyjemniejsze niż praca, sprawi ci życie? O nie; bo próżnowanie rodzi kłopoty, a niepotrzebne wypoczywanie ciężkie troski. Pilność daje byt dobry, zasoby i poszanowanie; pilna prządka ma szeroką koszulę. Wszystko to dobrze zauważył ubogi Ryszard. — Pilnuj

swego kramu, a żywić cię będzie. — Chcesz załatwić sprawę, sam pójdź za nią; jeśli tego nie chcesz, poszlij kogo.

Ziemia temu dobrze rodzi,
Kto za pługiem sam pochodzi.

Oko pańskie więcéj sprawia, niż jego obie ręce. — Brak dbałości więcéj nam szkodzi, niż brak wiadomości; gdy nie doglądasz robotników, zawsze sięgać będziesz do worka. Spuszczanie się na dbałość drugich niejednemu stało się zgubą, bo w sprawach życia codziennego nie stoimy zaufaniem, lecz jego brakiem; a kto sam dba o siebie, ten korzyść odnosi; albowiem uczeń pilny może być pewien nauki, a dbały gospodarz dostatku tém samém prawem, co śmiały władzy, a cnotliwy nieba. A nadto: Chcesz mieć wiernego i miłego sługę, usługuj sam sobie. — Dbaj o rzeczy najdrobniejsze. Dla braku gwoździa zgubiła się podkowa; dla braku podkowy koń okulał, następnie i jeździec zginął, bo go dogonił nieprzyjaciel i zabił; a to temu przyczyną, że sobie gwóźdź lekceważył.

Tyle co do pilności i dbałości w każdéj sprawie i zatrudnieniu, moi przyjaciele. Ale na tém nie koniec; potrzeba jeszcze pomierności, jeżeli pilności swéj chcemy zabezpieczyć pewniejsze skutki. Kto nie umie równie dobrze oszczędzać jak zarabiać, może całe życie harować, a mimoto w końcu ani grosza nie zostawi. Tłusta kuchnia czyni chudy testament, powiada Ryszard ubogi. A i to także prawda:

Odkąd gospodynie, podług nowéj mody,
Rade przy herbacie czas pędzą w gościnie,
Odkąd gospodarze spieszą do gospody
Pracy zaniedbawszy, ucztują przy winie;
Odtąd i majątki maleją lub giną,
A zbytek, rozrzutność jest temu przyczyną.

Chcesz być bogatym, myśl tak dobrze o oszczędności, jak o zarobku. Indye nie uczyniły Hiszpanów bogatymi, bo wydatki ich przewyższały dochody.

Precz więc z waszemi kosztownemi niedorzecznościami, a nie będziecie mieli tyle powodów do narzekania na ciężkie czasy i na wielkie podatki. Ryszard ubogi powiada:

Gdzie wino, gra i rozpusta,
Potrzeb wiele, kieszeń pusta.

A następnie mówi: „Z tego, co wydajemy na występek, możnaby wychować dwoje dzieci.“ Myślicie może, że trochę herbaty, kiedyniekiedy trochę ponczu, czasem nieco lepszy obiad, nieco piękniejsze suknie, i kiedyniekiedy mała zabawa wcale nie wiele znaczą; ale pomnijcie: Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka! — Strzeż się drobnych wydatków; mała szczelina zatopić może wielki okręt. — Kto za młodu biesiaduje, na starość o żebraczym włóczy się kiju. — Głupcy ucztę sprawiają, a roztropni zjadają.“

Zebraliście się tu na licytacyą różnych rupieci, blichtrem oczy mamiących. Nazywacie je pożytecznemi; ale jeśli się nie spostrzeżecie, niejedna rzecz z onych pożytecznych niejednemu wyjdzie na szkodę. Spodziewacie się, że nabędziecie je tanio; być może, że sprzedadzą je poniżéj ceny; a przecież i to jeszcze zbyt drogo, jeśli ich nie potrzebujecie. Przypomnijcie sobie, co mówi Ryszard ubogi: „Kupuj, czego nie potrzebujesz, a w krótce będziesz musiał sprzedawać to, czego ci niezbędnie potrzeba.“ A innym razem powiada: „Chociażby tylko grosz wydać przyszło, pierwéj i nad tém dobrze się zastanów! Może chce przez to powiedzieć, że taniość jest tylko pozorną, lub że kupno, stanowiąc ci tamę w tych sprawach, raczéj uszczerbek niż pożytek przyniesie. Bo gdzieindziéj powiada: „Wielu tanie kupno zrujnowało.“ Mówi on także: „Głupca to rzecz, kupować żal za własne pieniądze“ a przecież głupstwo to popełniają codziennie na licytacyach, niepomni rad kalendarza. Mądry uczy się z cudzéj szkody roztropności, głupiec i z własnéj niczego się nie nauczy; ale szczęśliwy ten, którego cudza szkoda uczy rozumu. Niejeden z próżnym żołądkiem spać się kładzie i swych najbliższych na dokuczliwy głód wskazuje, byle tylko mógł wdziać suknią wykwintniejszą. „Jedwabie i atłasy, szkarłaty i aksamity gaszą ogień na kuchni,“ mówi ubogi Ryszard. Nie są to potrzeby życia, zaledwie na nazwę wygód zasługują, a mimo to iluż to wzdycha i zapalczywie za niemi się ubija, i to tylko dla tego, że pięknie wyglądają! Tym sposobem sztuczne człowieka potrzeby liczbą naturalne przechodzą. Zamiast jednego ubogiego przybywa setka potrzebujących. Przez takie i im podobne potrzeby bogaci popadają w ubóstwo i muszą pożyczać od tych, którymi przedtém pogardzali; a ci pracą, pilnością i pomiernością utrzymali się na swém stanowisku. Ale też

„chłop na swych nogach większym jest, niż szlachcic na kolanach,“ jak mówi Ryszard ubogi. Jakitaki odziedziczył może majątteczek, i sądzi, że nigdy mu końca nie będzie; myśli więc sobie: wszak to dzień, a noc nigdy nie nastąpi; nic więc nie szkodzi, jeżeli z wielkiéj całości nieco się przepuści. „Dzieci i głupcy myślą, że dwadzieścia szylingów i dwadzieścia lat nigdy nie mają końca; ale kto zawsze bierze mąkę z worka, a nigdy nie dosypuje, wnet się dna domaca.“ Ale Ryszard ubogi mówi: „Gdy studnia wyschnie, poznajemy wartość wody. Chcesz poznać wartość pieniędzy, pójdź i spróbuj pożyczyć; pożyczanie, boskie skaranie; a kłopotu się nabawia, kto tego rodzaju ludziom pożycza, kiedy mu przyjdzie odbierać pożyczkę.“ Ryszard ubogi daje następnie taką dobrą radę:

Istna kara boża, te w strojach zbytki!
Nim kupisz szmatę, poradź się krédki.

A innym razem woła: Pycha jest równie natrętnym żebrakiem jak niedostatek, ale daleko bezwstydniejszym. Jeśliś kupił strój jaki, tedy jeszcze dziesięć innych rzeczy kupić ci przyjdzie, aby wszystko razem do siebie przystawało; tymczasem powiada Ryszard ubogi: Łatwiéj pokonać pierwszą zachciankę, aniżeli zaspokoić wszystkie następne. A głupota ubogiego, który chce małpować bogacza, nie mniejsza od głupoty żaby, która nadymając się, aby wyrównać wołowi, w końcu pękła.

Statek na morzu doświadcza biegu,
A łódź rybacka trzyma się brzegu.

Głupotę tego rodzaju wkrótce spotyka kara; albowiem „jeżeli pycha z próżnością do obiadu zasiędzie, tedy ze wzgardą wieczerzać będzie“, powiada ubogi Ryszard. Na inném też miejscu mówi: „Pycha śniadała ze zbytkiem, obiadowała z ubóstwem, a wieczerzała ze wstydem“. A wreszcie cóż znaczy owa pycha, ów przepych i wystawność, za któremi tak się uganiamy i dla których tyle cierpimy? Wszak ani zdrowia nam nie dadzą, ani boleści nie ulżą; nie dodają wartości osobie, ale za to obudzają zazdrość i zawiść, a przyspieszają nieszczęście.

„Motyl, to gąsiennica przyozdobiona;
Obrazem jéj wiernym lalka wystrojona“

mówi Ryszard ubogi. A jakiegożto szaleństwa potrzeba, aby dla takich rzeczy zbędnych brnąć w długi po uszy! Warunki téj licytacyi bardzo ponętne; zwłaszcza kredyt półroczny dla kupujących może niejednego z nas tu sprowadził; gotówką możebyśmy nie zapłacili, bo na co innego potrzebna, a tu bez pieniędzy ustroić się można. Ale pomnijcie, co czynicie, jeżeli brniecie w długi! Wolność własną oddajecie w moc drugiego! Jeżeli na termin zapłacić nie zdołacie, wstydzić stę będziecie spotkania z wierzycielem; rozmowa z nim nabawi was trwogą; nędznymi i podłymi wykrętami będziecie się uniewinniali, zwolna pozbędziecie się rzetelności, w końcu do najpodlejszego kłamstwa się uciekając, powiada Ryszard ubogi: „Wtórym występkiem jest kłamstwo, pierwszym długów zaciąganie“. Przy podobnéj sposobności woła: „Kłamstwo jedzie na grzbiecie długu“; ale człowiek wolny bez zarumienienia się i trwogi powinien śmiało patrzéć w oczy każdego. Tymczasem ubóstwo pozbawia niejednego wszelkiéj odwagi i wszelkiéj cnoty. Cobyście myśleli o panującym lub o rządzie, którzyby wydali rozporządzenie, zabraniające pod karą więzienia lub niewoli, abyście nie ubierali się podług stanu swego? Czyżbyście nie powiedzieli, że wolni jesteście i macie prawo ubierać się, jak wam się podoba; zatem, że to rząd tyrański? A przecież sami zamierzacie poddać się takiéj tyranii, skoro dla strojów zaciągacie długi! Wszak wierzyciel wasz nabywa prawa pozbawienia was wolności, kiedy mu się podoba. Skoro kupicie, czego wam niby potrzeba, może niewiele troszczyć się będziecie o zapłatę; ale wierzyciel lepszą ma pamięć od dłużnika“, mówi Ryszard ubogi, a na inném miejscu dodaje: „Wierzyciele, to sekta zabobonna; wierzą oni i zachowują ściśle pewnie dni i czasy“. Nadejdzie dzień, nim się spostrzeżecie, a żądanie zapłaty, nim uiścić ją zdołacie. Albo, jeżeli pomyślicie o długu zaciągniętym, tedy termin, który wydawał się wam tak dalekim, ubiegając, bardzo krótkim wam się okaże. Wyda się wam, jakoby czas miał skrzydła u pięt i na plecach. „Ci co na wielkanoc mają dług zapłacić, krótki mają pòst“, mówi ubogi Ryszard. A ponieważ dłużnik jest niewolnikiem wierzyciela, przeto unikajcie tych więzów, strzeżcie swéj wolności i niezależność zachowajcie; bądźcie pilni i wolni, oszczędni i wolni! W téj chwili, może mniemacie, że się wam dobrze dzieje, a zatem że małego wydatku bez szkody pozwolić sobie możecie, ale:

„Poranne słońce nie świeci w nocy,
Myśl o starości i o niemocy.“

jak mówi ubogi Ryszard.

Zysk może być niepewnym i przemijającym, ale wydatki, dopóki żyjesz, pewne są i stałe. Łatwiéj wybudować dwa piece, niż jeden ogrzać. Dlategotéż lepiéj „bez wieczerzy spać, niż z długami wstać.“

„Zarabiaj, co możesz, myśl o oszczędności;
Oto najprawdziwszy jest kamień mądrości.
Najdroższy to kamień ze wszystkich kamieni,
Bo nawet i ołów w złoto ci zamieni.“

jak mówi Ryszard ubogi. A gdy posiędziecie ten kamień mądrości, tedy niezawodnie nie będziecie więcéj użalali się na złe czasy i ciężkie podatki.

Oto, przyjaciele „nauka, jaką dają rozum i mądrość; ale nie spuszczajcie się zbytecznie na swoję pilność, pomierność i roztropność, chociaż to przymioty wyborne; gdyż bez błogosławieństwa niebios i zawieść mogą. Dlategoto proście pokornie o to błogosławieństwo i nie bądźcie nieżyczliwymi dla tych, którym go obecnie zdaje się brakować, lecz owszem nieście im pocieszenie i pomoc. Pomnijcie, że Job dotkliwie cierpiał, a przecież potém był szczęśliwy.

A na zakończenie i o tém pamiętejcie: „Doświadczenie, to nauka, którą drogo opłacać potrzeba; a głupcy chcą tylko we własnéj uczyć się szkole, a i w niéj mało czego się uczą, bo to także prawda: Możemy wprawdzie dawać radę, ale tego, aby jéj słuchano, dać nie możemy,“ jak mówi ubogi Ryszard. Pamiętajcie więc: „Komu nie można radzić, temu i pomódz niepodobna — a kto słuchać nie chce, ten niezawodnie cierpiéć będzie.“

Temi słowy starzec zakończył swą mowę.

Ludzie go słuchali i przyklaskiwali mądréj nauce; ale zaraz, jakby to zwykłe było kazanie, wręcz przeciwnie sobie poczynali; właśnie bowiem zaczęła się licytacya i wszyscy mimo upomnień i obawy długów, kupowali co się nadarzyło. Poczciwy starzec znał, jak się spostrzegłem, gruntownie mój kalendarz i doskonale się przejął nauką w nim zawartą. Częste wspomnienie mojego nazwiska byłoby znużyło każdego innego; tymczasem schlebiało to bardzo mojéj próżności, chociaż wiedziałem, że ani dziesiąta część onéj

mądrości, którą mnie przypisywał, nie moją była własnością, lecz pokłosiem, które zebrałem na polu zdrowego rozumu wszystkich wieków i narodów. Postanowiłem więc sam skorzystać z powtórzenia onych rad mądrych, a chociaż z razu miałem ochotę kupić sukna na nową szatę, przecież opuściłem miejsce licytacyi, aby nie rozstawać się jeszcze z moją starą kapotą. Zacny czytelniku, jeśli podobnie sobie postąpisz, tedy taką samę, jak ja, będziesz miał korzyść."

Co się tyczy onéj „dziesiątéj części" mądrości, Franklin znacznie mniejszą, aniżeli mu się należała, przypisywał sobie zasługę. Największa część tych zdań zdrowych w jego powstała duchu, zarody ich w jego tkwiły życiu. Niejeden klejnot mądrości ludowéj mógł był usłyszeć z ust ludu, lub znaleść w książkach; ale temu, co usłyszał lub wyczytał umiał nadać nowe, właściwe piętno; a i w tém niemała już także zasługa, że miał i słuch i wzrok pojętny i przenikliwy, a wrażliwy na to, co było zbawiennem dla ludu, że je z ukrycia wydobywał na jaśń życia i zawsze właściwy wynalazł środek, aby je uczynić własnością powszechną. Ustęp powyższy „Droga do bogactwa" rozpowszechnił się nietylko za pomocą kalendarza, lecz i w licznych osobnych odbitkach. Drukowano go na wielkich arkuszach i w ramy za szkło oprawiano; niejednę więc zdobił ścianę. Już pierwszy rocznik kalendarza wielkie sprawił wrażenie. Takim środkiem nikt jeszcze po owe czasy nie starał się o gospodarcze i moralne dobro ludu. Z roku na rok coraz większy popyt był za kalendarzem; liczba sprzedanych egzemplarzy doszła nareszcie 10,000; wypadek na one czasy w Ameryce niesłychany! A iluż to następców, a raczéj naśladowców, miał Franklin na téj nowo utorowanéj drodze! Rozpowszechnianie nauk pożytecznych za pomocą kalendarza uznano wszędzie za nowy, stosowny środek, totéż z większém lub mniejszém powodzeniem wszędzie go próbowano. Ilość egzemplarzy kalendarzy ludowych, jakie od czasów Franklina rozpowszechniły się po Europie, niezawodnie na miliony da się obliczyć, a i naśladowcy jego wiele pożytecznych ogółowi podali nauk i wiadomości. Ale w sposobie pisania, Franklinowi właściwym, szukać zawsze należy najwłaściwszego i najlepszego środka skuteczności. „W kalendarzu" — powiada Mignet, jeden z wielbicieli Franklina — Franklin z jasnością zadziwiającą podawał wszelkie do poprawienia rolnictwa, chowu bydła, przemysłu i zdrowia ludzkiego stosowne środki; w nim zalecał on w kształcie mądrości lu-

dowéj prawidła najwłaściwsze do sprowadzenia szczęścia za pomocą rozumnego życia. „Mądrość Ryszarda ubogiego“ to lekcye pracy, baczności, oszczędności, roztropności, pomierności i uczciwości. Udziela on rodakom swym rad w najprostszych zdaniach rozumu, a w słowach najwłaściwiéj dobranych. Moralność przezeń głoszona łączy się tam z korzyścią człowieka; prawda, jak ją pojmuje rozum gospodarski, wyrażona tu w zwrotach najtrafniejszych.“ — „We wszystkich wywodach chodzi mu o przeprowadzenie dowodu, że dla tych, którzy szczęśliwymi być pragną, wiele na tém zależeć powinno, aby byli cnotliwymi. W zdaniu tém coraz więcéj ich utwierdza, a w latach późniejszych zwykł był Franklin miawiać, że moralność jest jedyną rozumną spekulacyą tak ze względu na dobro jednostek, jakotéż jedyną rękojmią dobra państwa. Nawet urwisze, dodawał on, staliby się ludźmi uczciwymi, gdyby znali korzyści cnoty.“

A i rozpowszechnianie kalendarza odbywało się sposobem bardzo praktycznym. Dotychczas marnowano gałgany. Otóż Franklin polecił swoim rozwozicielom kalendarza, aby go wymieniali za gałgany, które szły do jego papierni. Byłto sposób tak dla sprzedającego jak nabywcy korzystny, a nabywanie kalendarza także bardzo ułatwiał.

Nieraz to widzi się w świecie, że w ludziach, którym się coraz lepiéj powodzi, zastyga zmysł czynienia dobrze, że upodobanie w dobrach materyalnych coraz więcéj zapełnia ich duszę. Franklin i w tym punkcie w inném okazuje się świetle. W równym stopniu jak mu przybywało majątku, rosła w nim i chęć do czynienia drugim dobrego, przyczynianie się do pospolitego dobra, niesienia i swéj cząsteczki, aby jaśniéj i cieplej było na świecie. Ale wśród tych usiłowań nigdy nie zapominał o tém, że do osiągnięcia skutków z życzeniami zgodnych, potrzeba mu było przedewszystkiém ustawicznéj około doskonalenia samego siebie pracy. Literatura była mu głównem nauki i udoskonalenia źródłem. Wielu bardzo czyta i dużo nawet czyta; ależ w jakim celu? Oto dla zabicia czasu; a dobrze jeszcze, jeżeli nie inne pobudki wiodą ich do zajmowania się szumowinami piśmiennniczemi! Ileżto np. czasu i grosza marnuje się u nas na czytanie takich szumowin, owych, że tak powiem, powieścisk francuskich, fabrycznie na nasz język przekładanych, utworów wyuzdanéj i spodlonéj wyobraźni, treści z naszymi stosunkami nic wspólnego nie mającéj, zakażającéj proste i uczciwe

uczucie zwłaszcza warstw niższych, bo i do nich zakradła się ta zaraza; a przytém utworów o skażonym także języku naszym przez niedouczonych lub bezmyślnych tłumaczy-rzemieślników! Franklin tylko z czystych czerpał źródeł; doskonalenie się umysłowe i moralne było jedynym celem czytania książek. Niektóre skarby piśmiennictwa obcego dostępne mu były w tłómaczeniach; inne zupełnie były mu nieprzystępne. To obudziło w nim chęć nauczenia się obcych języków, aby mógł czytać arcydzieła w oryginale. A co w duszy Franklinowéj zrodziło się jako chęć, to wnet w życie się zamieniało, zwłaszcza że nigdy nie miał zachceń niepodobnych. „W r. 1733 (w 27mym życia) — powiada Franklin — zacząłem się uczyć języków. Niezadługo postąpiłem we francuskim do tego stopnia, że mógłem bez trudności czytać książki. Poczém zabrałem się do włoskiego. Jeden z moich znajomych, który także uczył się tego języka, często wzywał mnie do gry w szachy. Ale kiedy spostrzegłem, że mi to wiele zabiera czasu, który na uczenie się języków przeznaczyłem, więc oświadczyłem mu, że nadal grywać będę tylko pod tym warunkiem, że kto wygra partyą, będzie miał prawo zadawania pobitemu bądźto reguł gramatycznych do nauczenia się na pamięć, bądź tłómaczeń i t. p., a ten zobowiąże się pod słowem honoru, że na najbliższy raz przyjdzie z gotową lekcyą. A ponieważ obaj mniéj więcéj równośmy grali, przeto i zarówno przypadały na nas lekcye włoskie. Późniéj nauczyłem się tyle po hiszpańsku, że mogłem czytać w tym języku. Wspomniałem już dawniéj, że tylko rok byłem w szkole łacińskiéj i to będąc jeszcze bardzo młodym. Późniéj wcale zaniechałem języka łacińskiego. Ale kiedym się nauczył francuskiego, włoskiego i hiszpańskiego, niemało się zdziwiłem, iż, gdy mi raz wpadł do ręki łaciński nowy testament, więcéj, niżeli mogłem myśleć, rozumiałem.“ To dodało mi ochoty do zajęcia się znów językiem łacińskim; jakoż szybko w nim postępowałem, gdyż znajomość tamtych języków bardzo mi ułatwiała naukę.

VI. Na urzędach publicznych.

Posłowie prowincyi Pensylwańskiéj tworzyli ciało, zwane „walném zgromadzeniem“ czyli „walnymi stanami.“ Już od czasu, kiedy pierwsze pieniądze papierowe drukował Franklin, miał, jak

wiemy, przyjaciół i życzliwych w tém zgromadzeniu. Kalendarz dla ludu, już w trzech rocznikach wydany, prócz dawnych zjednał mu nowych przyjaciół, a co więcéj, nie brakło ludzi rozumnych, którzy już teraz należycie oceniali jego znaczenie. W tym właśnie czasie urząd sekretarza był do obsadzenia, więc wspomniano o Franklinie, zalecono go i wybrano. Przed wyborem następnym jeden z członków zgromadzenia usiłował pozyskać towarzyszów dla innego kandydata, a oraz nie zaniechał działać przeciw Franklinowi. Mimoto wybrano go powtórnie, co tak dotknęło jego przeciwnika, że stał się otwartym jego nieprzyjacielem. Tymczasem Franklin dowiedział się był, że ów przeciwnik jego, wielki miłośnik książek, posiadał dzieło bardzo rzadkie, do którego posiadania wielką przywiązywał wagę. Napisał więc grzecznie do niego, prosząc o pożyczenie na krótki czas onéj rzadkiéj książki, w niczém nie dawszy do poznania, że cokolwiek wie o jego dla siebie nieżyczliwości. Dotychczasowy przeciwnik nietylko najchętniéj przysłał mu książkę; lecz na najbliższém posiedzeniu przywitał go przyjaźnie, podał rękę i oświadczył uprzejmie gotowość służenia mu wszelkim sposobem. Tak więc ustała niechęć przeciwnika. Opowiadając ten szczegół, Franklin dodaje uwagę, iż oczywisty w tém dowód, że daleko korzystniéj roztropnością uchylać nieprzyjaźń, niż wet za wet odpłacając ją podsycać. Postąpił więc sobie rozsądnie, w niczém nie uwłaczając własnéj godności.

W tym czasie dostawały mu się wszelkie druki dla zgromadzenia, a nadto mianowano go dyrektorem poczty w Filadelfii. Urząd ten sprawował dotychczas właściciel drukarni Bradford, a na stanowisku tém czynił co mógł, aby przeszkodzić rozpowszechnianiu gazety, przez Franklina wydawanéj. Franklin zająwszy to samo stanowisko, ani pomyślał o odwecie.

Czego podług podania starożytnego dotknął się król Midas, to w złoto się zamieniało. Zastosowawszy podanie to do Franklina, rzec można, że wszystko, co wpadło w zakres jego działania, polepszało się, a każdy swój pomysł umiał zamienić w życie. Miasto miało straż nocną, ale instrukcya dla niéj wydana, a w następstwie i pełnienie obowiązków było niedostateczne. Franklin przeprowadził do skutku urządzenie straży pożarnéj, jakiéj po ów czas nie miano w Ameryce, zwłaszcza tak stosownie zorganizowanéj. On także założył stowarzyszenie zabezpieczenia od ognia, które po dziś dzień ostało się w Filadelfii. Granice prowincyi narażone były na napady

Indyan; zapobiedz złemu mogła tylko straż obywatelska, rodzaj pospolitego ruszenia. Franklin wyłożył tę sprawę współobywatelom i wypracował plan stowarzyszenia ochotników dla obrony kraju. Plan ten podpisało w Filadelfii 1.200, na prowincyi 10,000 osób, i w krótce stanął korpus ochotników do obrony granic. Zaledwie który z pomysłów wszedł w życie i okazawszy się pożytecznym, miał byt zabezpieczony, Franklin występował z nowym. Założył akademią czyli zakład mający na celu wychowanie młodzieży pensylwańskiéj. Już pierwsza na ten cel składka przyniosła 5.000 funtów szterlingów. Wybrano komitet szkolny, a ten przewodnictwo Franklinowi poruczył. Stanowisko to Franklin aż do podeszłego wieku zajmował, gorliwie zajmując się dobrém zakładu. Drugie miasta, chcące zakładać szkoły, do Franklina o radę się udawały. — Drogi w Filadelfii były w złym stanie, wieczorem i w nocy nie do przebycia; po ulewach i w czasach słotnych, zwłaszcza, że miasto nie było oświetlone, jazda a nawet przeprawa piesza z niebezpieczeństwem życia była połączona. Franklin nie spoczął, dopóki miasta nie zaopatrzono w bruk i latarnie. — Dla chorych i starców Franklin miał tkliwe serce; przeprowadził więc do skutku założenie domu przytułku i szpitalu. Jak żywo brał wszystko do serca, świadczy o tém zdarzenie następujące. Pewien duchowny z obcych stron przybyły, nazwiskiem Whitfield, przemawiał na zebraniach w Filadelfii, zachęcając do składek na założenie domu sierot w Georgii. Franklina zajęła zaraz ta sprawa, ale uczynił oraz Whitfieldowi uwagę, że gdyby się skłonił do założenia domu tego w Filadelfii, dałaby się rzecz przeprowadzić do skutku kosztem znacznie mniejszym. Na poparcie zdania swego przytaczał między innemi tę okoliczność, że w Georgii brak budulcu, a przewóz materyału z Filadelfii pochłonie znaczne sumy. Wszyscy, ze stosunkami dobrze obeznani, zgadzali się ze zdaniem Franklina; ale Whitfield stał uporczywie przy swojém. Franklin więc postanowił wcale się nie przyczyniać do składki. Urząd duchowny miasta nie pozwolił był Whitfieldowi przemawiać w kościołach, więc ten pod gołém niebem na placach publicznych przemawiał do ludu. „Zdarzyło się raz — opowiada Franklin — żem słuchał jego mowy, która, jak zaraz spostrzegłem, skończyć się miała składką. Postanowiłem sobie w duszy nie dać ani grosza na cel przezeń zalecany; a miałem w kieszeni garść miedziaków, trzy czy cztéry dolary w srebrze i kilka sztuk złota. Mowa Whitfielda sprawiła na mnie wrażenie, miękło mi

serce; postanowiłem dać mu miedziaki. Ale dalszy ciąg mowy porwał mnie więcéj i zawstydził moje miedziane postanowienie; postanowiłem zatém dać mu i srebro. Tymczasem w końcu wymowa kaznodzieji wzniosła się do takiéj potęgi, żem wypróżnił wszystkie kieszenie, i miedź, srebro i złoto na talerz wysypałem.“ Rysto piękny w charakterze Franklina, świadczący wymownie o prawdziwéj szlachetności jego duszy, o tym prawdziwie ludzkim jéj nastroju, w którym wywoływała dźwięczny odgłos każda w imię miłości uczyniona odezwa. Wtenczas usuwał się w głąb ten na pozór zimny, obrachowujący Amerykanin, a występował na widownią człowiek w najpiękniejszém znaczeniu słowa, mąż dla dobra powszechnego wylany.

Widzieliśmy właśnie, w jak różnorodnych kierunkach czynnym był Franklin; ale zaprawdę zdumieć się przyjdzie czytelnikowi, jeśli mu powiemy, że człowiek, który tak doskonale zarządzał swemi sprawami prywatnemi i to dość rozległemi, bo prócz zarządu drukarni i papierni, redagował dziennik i wydawał kalendarz — ten, który urząd swój pocztmistrzowski sprawował wzorowo, ten, który wywołał do bytu tyle, powyżéj wymienionych instytucyi, a prócz nich i inne jeszcze potworzył stowarzyszenia, i prawie wszystkiemi jako przewodniczący kierował, ten, który ciągle się uczył i doskonalił w obcych językach i pełen zajęć i trudu urząd sekretarza wolnych stanów piastował — że ten sam człowiek umiał znaleść jeszcze czas na zajmowanie się badaniami naukowemi. Franklin zajmował się między innemi badaniem istoty elektryczności. Trzebaby osobną napisać rozprawę, gdybyśmy chcieli skreślić cały tok jego myśli i spostrzeżeń nad tym przedmiotem. Ale nie w tym krótkim jego żywocie miejsce na to. Poprzestaniemy więc na wymienieniu wypadku badań jego, a tym był pomysł tak zwanego konduktora i w praktyce zastosowanie. Owe i na naszych kościołach składach i innych większych publicznych budynkach sterczące, na końcu pozłacane sztaby żelazne, grom ściągające, są wynalazkiem Franklina. W pismie osobném Franklin wyłożył, że chmura piorunna ma się tak do części powierzchni ziemi pod nią się znajdującéj, jak oba pokrycia znanéj już wówczas flaszki lejdejskiéj. Z tego punktu wyszedłszy rozwijał następnie, że elektryczność chmury da się za pomocą konduktora sprowadzić bez niebezpieczeństwa w ziemię; dlatego też radził, aby wysokie budynki, okręty i t. p. zabezpieczano od piorunu za pomocą przyrządu, który dokładnie opisał.

Pismo to wzbudziło w świecie uczonym u niektórych niedowierzanie, u niektórych, zwłaszcza w królewskiém towarzystwie umiejętności w Londynie, nawet śmiech wywołało. Cóż mądrego i przydatnego dla umiejętności przyjść może z lasów pensylwańskich? myśleli sobie uczeni stolicy Wielkiéj Brytanii. Toż złożono, jakto mówią, *ad acta* gruntowną pracę Amerykanina, zwłaszcza że to była praca drukarza, a nie profesora lub kogoś należącego do cechu uczonych. Ale niebawem okazały się tłómaczenia téj pracy we Francyi, Niemczech i we Włoszech, a bezstronne jéj ocenienia zwróciły na nią uwagę powszechną i publicznie poważne w jéj obronie odezwały się głosy. Wreszcie prawda wzięła górę; a kiedy znakomity badacz przyrody, prawie pierwsza w onym czasie powaga naukowa, Francuz Buffon oświadczył się za Franklinem, zamilkły przeciwne Franklinowi głosy. Wówczas i uczeni królewscy w Londynie zrzucili pychę ze serca, zebrali się raz jeszcze na posiedzenie i radzi nie radzi naprawili swój błąd poprzedni, w zbytecznéj zarozumiałości ze swéj uczoności popełniony. Królewskie towarzystwo umiejętności zamianowało wynalazcę konduktora członkiem swym honorowym i w nagrodę złoty przyznało mu medal.

Że tym zaszczytem, który spłynął na Franklina, czuli się uczczeni i jego ziomkowie, łatwo się można domyśleć. A i oni byli już oddali hołd zasłużonemu w różnych kierunkach mężowi, wybrawszy go członkiem rady miasta i walnego zgromadzenia stanów. Prócz tego rząd krajowy mianował go sędzią pokoju i jeneralnym dyrektorem poczt wszystkich kolonii. Toż współobywatele wcale się nie dziwili, usłyszawszy, że Franklin znów czémś się sławił, n. p., że na czele pięciuset ochotników obrony krajowéj, wśród zimy odparł Indyan od granicy północno-zachodniéj, a granicę samę nowozałożonemi warowniami ubezpieczył, że znacznie poprawił szklaną harmonikę, że urządził nowy rodzaj praktycznego pieca, a przewileju na ten wynalazek nie przyjął oświadczając, że obowiązkiem każdego oddawać bezpłatnie wynalazki na użytek powszechny, gdyż nikogo nie masz, ktoby nie korzystał z wynalazków, które drudzy poczynili. Ten wszystko umie! powiadali ziomkowie; on nam i ludziom w ogóle uczyni jeszcze wiele dobrego!

VII. Pośrednictwo w Londynie.

Mieszkańców tak Pensylwanii jak i reszty dwunastu kolonii angielskich w Ameryce czekały dni bardzo ciężkiéj próby. Anglia byłą ich macierzą, od któréj zależały; ale od samego swego początku kolonie używały pewnych praw i swobód. Tymczasem ówczesny rząd króla Jerzego III. nagle jakby zapomniał o tym ich do kraju macierzystego stosunku i począł krzywdzić kolonie na ich prawach i swobodach.

Nałożono trzynastu koloniom samowolnie podatki, kiedy według prawa godziło się wybierać tylko podatki, przyzwolone przez deputowanych kraju. Toż najprawszych ludzi w kraju przeraziły i oburzyły kroki rządu londyńskiego, odezwali się więc upominając. Ale rząd angielski zaślepiony nie pojmował swéj prawdziwéj korzyści, któréj źródłem były dobre z koloniami stosunki, a nie drażnienie mieszkańców Ameryki i obudzanie w nich, za pomocą nieprawnych i tyrańskich zarządzeń, chęci do oderwania się od kraju macierzystego. Handel angielski miał w koloniach, liczących około półtrzecia miliona mieszkańców, targowisko bardzo intratne, na którém w owych czasach pozbywał rocznie towarów za sześć milionów. Wszystko to teraz na kartę postawiono. Ale jedna niesprawiedliwość rodzi zazwyczaj drugą. Jeżeli Amerykanie zamyślają opierać się naszym rozporządzeniom — powiadali władcy angielscy — tedy nauczą ich posłuszeństwa pułki nasze, które tam poszlemy, a wówczas dwa lub trzy razy więcéj zapłacą!

Nie tu miejsce kreślić krok za krokiem przebieg sporu między Anglią a koloniami; nadarzy się do tego sposobność w żywocie Jerzego Wasyngtona, który następnie podajemy czytelnikom. Tu tylko wspomniemy, że spór wszczął się na dobre, coraz bardziéj się rozszerzając, i że właśnie dla zażegnania go Franklin w imieniu swych współobywateli udał się w r. 1764 do Londynu. Już rok przedtém był on tam w innéj sprawie. Wówczas w Ameryce nikt jeszcze nie przeczuwał, żeby rząd królewski tuż potém, wbrew zasadom uczciwości i roztropności, zamierzał koloniom dać uczuć jarzmo tyrana. Ale poszczególni mężowie uczciwsi już wtenczas wiedzieli, jaki wiatr wieje w kołach rządowych. Lord Kramden rzekł był do Franklina: „Wiem, że wy Amerykanie mimo waszego, tak często sławionego do Anglii przywiązania, zerwiecie kiedyś węzły, które was z nią łączą, a wywiesicie chorągiew niepodległości.“ Na co odrzekł Franklin, że

ziomkowie jego wcale nie myślą o zerwaniu z Anglią celem utworzenia państwa udzielnego. Po chwili zaś dodał: „Chyba, że niegodziwie będziecie się z nami obchodzili!“ Lord rzekł na to poważnie: „Prawda; ale to właśnie jedna z przyczyn, które, jak przewiduję, ostatecznie do tego doprowadzą.“

Obecnie Franklin przybył do Londynu dla uczynienia wszystkiego, co tylko mógł, aby rząd i izbę niższą, którą w téj sprawie rząd pociągnął za sobą, powstrzymać od nieprawnych względem kolonii kroków. „Nie chcemy rozłączać się z wami; ale nie zniesiemy niegodziwego obchodzenia!“ — Słowa, któremi odpowiedział był przed rokiem Franklin Lordowi Kramdenowi, wyrażały zupełnie zdanie ludności kolonionalnéj. Reprezentanci zę wszystkich kolonii zgromadzali się na naradę; był między nimi i Wasyngton. Zapatrywał on się na sprawę, o którą właśnie się rozchodziło zupełnie tak, jak Franklin, czego dowodzi list przezeń pisany do przyjaciela. „W chwili — pisze Wasyngton — w któréj nasi dumni władcy zamierzają, ni mniéj ni więcéj, jak pozbawić nas naszych praw i swobód, wydaje mi się niezbędnym jakiś krok dla zapobieżenia ciosowi i zabezpieczenia praw, odziedziczonych po naszych przodkach. Ale co mamy uczynić dla osiągnięcia celu, oto właśnie pytanie. Że nikt z nas nie będzie sobie robił z tego skrupułu i ani na chwilę się nie zawaha chwycić za broń na obronę dóbr tak drogich, o tém jestem jak najmocniéj przekonany. Ale broń, proszę nad tém dobrze się zastanowić, powinna być naszą ostatnią pomocą, naszą ostatnią ucieczką. Doświadczyliśmy już, powiadają niektórzy, jak bezskutecznemi były nasze prośby do tronu, nasze przed parlamentem wywody krzywd nam czynionych. Mimoto pozostaje nam według mego zdania, jeden jeszcze środek, a to spróbować, czy przez ubezwładnienie ich handlu i fabryk nie zdołamy ocucić ich na nasze prawa uwagi. Zdaje się, że kolonie północne takie żywią zamiary. Podług mego zdania dobrze one w tém sobie postępują, a środek ten nie chybi celu, jeżeli go się chwycimy wszyscy i ściśle zamiar wykonamy.“

Istotnie zamiar ten wykonano. Lata przeminęły, nim kolonie ostatecznego chwyciły się środka. Franklin żadnych nie szczędził trudów i usiłowań, aby nie dopuścić do zerwania z Anglią stosunków. W Londynie wydawał mnóstwo pism, w których dowodami niezbitymi wykazywał, że rząd na zgubnéj znajduje się drodze. Wiedział on, że ziomkowie jego w ostatniéj chwili i broni użyją w praw

swoich obronie; ale dopóki sądził, że jeszcze możliwym jest zwrot w polityce rządu, dopóty uważał za swój obowiązek czynić wszystko, byle nie dopuścić do krwi rozlewu.

Ale rząd angielski nie zmienił swego planu i postępowania, a Franklin za swe rzetelne usiłowania tylko jego nienawiść na się ściągnął. Odebrano mu korzystny urząd jeneralnego wszech kolonii pocztmistrza. Ale małoduszny ten czyn zemsty nie zachwiał Franklina w popieraniu czystéj sprawy. Pisał on do przyjaciela w Ameryce: „Najrozsądniejszym i najzbawienniejszym krokiem, jaki kolonie uczynićby mogły, byłoby zwołanie jeneralnego kongresu, któryby w ich imieniu stanowczo i uroczyście ogłosił ich prawa i wzajemne nieodwołalne zobowiązanie się do odmówienia koronie wszelkich podatków, dopóki król i obie izby nie uznają ich praw, a wreszcie, któryby uchwałę tę podał do wiadomości rządu angielskiego. Jestem przekonany, że krok taki sprowadzi zwrot stanowczy, a czyto przyzwolą na nasze żądania, czy użyją środków surowych do zmuszenia nas, abyśmy się ich zrzekli, w każdym razie doszlibyśmy do celu, gdyż ohyda, jaką wzbudza wszelka niesprawiedliwość i prześladowanie, przyczyniłaby się do spotęgowania sił naszych przez wzmocnienie węzła naszéj Unii, a i światby poznał nasze uczciwe i godziwe postępowanie.“ Rada skutkowała; pełnomocnicy trzynastu kolonii zebrali się w Filadelfii na kongres jeneralny; ułożyli wywód swych praw, podanie do króla, adres do narodu Wielkiéj Brytanii i odezwę do wszystkich angielskich kolonii, a każdy ten dokument był wymownem szlachetnego ich sposobu myślenia i politycznéj dojrzałości świadectwem. Franklin czynił ostatnie pojednawcze wysilenia, a gdy i te spełzły na niczém, a nadto się jeszcze dowiedział, że rząd angielski zamierza go uwięzić, wsiadł na statek i do ojczyzny odpłynął.

Dnia 22go Marca 1775 r. po jedynastoletniéj niebytności powrócił on do Filadelfii. Miał wówczas już lat 69. Obywatele witali go z wielkimi honorami, a już nazajutrz wybrali go członkiem kongresu.

VIII. Podczas wojny.

Zamiast chleba rząd angielski podał Amerykanom kamień: ogłosił ich za „buntowników,“ zatém za ludzi, którym jedynie pro-

chem, ołowiem i mieczem daje się odpowiedź. Cóż więc innego pozostawało Amerykanom, jak oświadczyć przed światem, że już nadal nie uznają tyrańskich Wielkiéj Brytanii rządów? Co też istotnie nastąpiło. Ogłoszenie niepodległości trzynastu połączonych stanów odbyło się d. 4. Lipca 1776 roku.

Ale bez walki rząd angielski nie zrzekał się władzy; w walce odebrać miało chrzest krwawy na drogę dalszego żywota noworodzące się państwo. Z Anglii przybyły świeże pułki pod dowództwem jenerała Howego, który miał rozkaz wezwać kolonie do uległości, a gdyby nie usłuchały rozkazu, bronią zmusić je do tego. Howe wiedząc, jakie znaczenie Franklin miał u swych ziomków, napisał do niego list, w którym go na wszystko zaklinał, aby nakłonił kolonie do zaniechania oporu. Na list ten Franklin odpowiedział: „Przychylne depesze, o których Pan wspominasz, nie zawierają nic więcéj nad to, co się mieści w uchwale parlamentu; ofiarują nam przebaczenie, jeżeli się zechcemy poddać. Jestto zupełnie w duchu waszego dumnego narodu, ofiarować przebaczenie koloniom krzywdzonym. Postępowanie tego rodzaju zdoła tylko spotęgować nasze oburzenie. Mielibyśmy się znów poddać rządowi, który z swawolném okrucieństwem, wśród zimy, pali nasze miasta, dzikich, niewolników i spokojną ludność wiejską przeciw nam podburza, a nawet obcych najemników nasyła, aby krwią ugnoić nasze osady? Przypuściwszy, że zdołalibyśmy przebaczyć, czyż możemy tego żądać od waszego narodu, który tak srodześmy obrazili? Nie! Naród wasz chwyci się każdego środka, aby najstraszniejszą tyranią złamać naszę odwagę i zniszczyć byt dobry naszego kraju. Mówisz Pan o ojcowskiém króla pragnieniu stałego pokoju i serdecznéj z koloniami zgodzy. Pokój taki i mybyśmy niezawodnie przenieśli nad sojusz z obcemi państwami, gdybyś Pan miał do tego polecenie. Ale właśnie o tém wątpię. Naród wasz mógłby zapewne znów zyskać przyjaźń naszę, gdyby odwołał znienawidzonych namiestników, gdyby odbudował miasta nasze popalone i szkody nam wyrządzone wynagrodził; ale po dumie jego i nierozsądku nie można tak mądrych spodziewać się postanowień. Jako naród, chciwy zaborów, wojny i monopolów, będzie on ponawiał swe wyprawy, a w końcu poświęci tyle pieniędzy i ludzi,ile niegdyś kosztowały wyprawy krzyżowe. Przepowiadając wojnę niezawodnie nie napędzę Panu strachu, bo w Anglii nie wierzą, dopóki nie widzą końca.“

Tymczasem toczyła się na dobre wojna między Anglią i Stanami zjednoczonymi. Na czele ich siły zbrojnéj stanął wódz dzielny Jerzy Wasyngton; ale ten musiał dopiero sam, i to podczas wojny, tworzyć wojsko, kiedy przeciwnik wiódł w pole pułki wyćwiczone i samą liczbą przemagające; czém się tłómaczy, że przez dłuższy czas brał przewagę nad Amerykanami, w rzemiośle wojenném początkującymi. Mimoto dzielni obrońcy Unii ani na chwilę nie poddali się zwątpieniu. Przeciwnie, postanowili zginąć raczéj w walce za wolność i prawa, niż nikczemnie poddać się tyranii prawołomnego rządu.

Pod koniec r. 1776go Franklin jako poseł Stanów Zjednoczonych udał się do Francyi, dla skłonienia tamtejszego rządu do zawarcia przymierza z jego ojczyzną. Wojsko angielskie miało pod ten czas nad Amerykanami przewagę; mniemano nawet w Europie, że młodziutka rzeczpospolita po tamtéj stronie oceanu już jest na schyłku; tém mniéj więc powodu do zawierania z nią stosunków. „Ale Franklin zelektryzował całą Francyą i nowego ducha w tym kraju obudził. Starzec poważny, któremu rozsądek patrzył z oczu, w prostém ubraniu, odbijał w Wersalu wśród pstrego tłumu dworaków, złotem jaśniejących, jakby zjawisko z innego świata. Wydawał on się jakby prorokiem nowych czasów. Toż ci sami panowie dworscy i szlachta, którzy wówczas poniewierali mieszczaninem, dalecy od podobnego Franklinowi uchybiania, na wyścigi spieszyli ze składaniem hołdów mieszczaninowi amerykańskiemu.“ Do jednego z przyjaciół pisał z Francyi Franklin: „Amerykanie doznają tu serdeczności, poważania i uprzejmości, jakiéj nigdy nie spotkali w Anglii, jeżeli byli tam wysłani.“ A gdy po niejakim czasie i wojska amerykańskie znaczne w polu odniosły korzyści, przyszło w r. 1778 wreszcie do zawarcia przymierza zaczepno-odpornego i umowy handlowéj między Ameryką i Francyą. Poczém przedstawiono Franklina królowi Ludwikowi XVI. Współczesny świadek pisze o tém co następuje: „Wreszcie Franklin miał posłuchanie u Jego Królewskiéj Mości. Przedstawiał on mu się w galeryi Wersalskiéj. Towarzyszyło mu i szło za nim wielu ziomków i obcych, ciekawością wiedzionych. Wiek jego sędziwy, poważna postać, prosty ubiór powiększały publiczną ciekawość. Oklaski i różne objawy radości świadczyły o owéj gorącéj przychylności, do któréj Francuzi zdolniejsi są od każdego innego narodu, a któréj wdzięk podnosi ich delikatność i grzeczność u każdego, który jest tychże przedmiotem. Jego królewska Mość

w te słowa przemówił do Franklina: „Zapewnij Pan Stany zjednoczone amerykańskie o mojéj przyjaźni; pozwól mi także dodać, że osobliwie z pańskiego zachowania się, odkąd przebywasz w mojém królestwie, bardzo jestem zadowolony.“ Kiedy po tém posłuchaniu Franklin szedł do dworu, dla widzenia się z ministrem spraw zagranicznych, oczekiwały go tłumy ciekawych i okrzykami witały.“

Wszędzie wielką cześć okazywano we Francyi mędrcowi filadelfijskiemu, o którym, kiedy go mianowano członkiem akademii, rzekł d'Alembert: „Wyrwał niebu grom, tyranom berło.“ Przymierze z Francyą o tyle korzystném było dla Stanów zjednoczonych, że dodawało otuchy przyjaciołom młodego państwa, odejmując ją przeciwnikom, a prócz tego, że pomnażało środki wojenne, którymi rozporządzał Wasyngton. Wojsko, które Francya posłała do Ameryki, mało wprawdzie w saméj walce miało udziału, tak że Amerykanie o własnych siłach i własném bohatyrskiém poświęceniem wywalczyli słuszność swéj sprawy; ale już sama obecność onych posiłków w Ameryce wiele znaczyła.

Anglicy raz jeszcze wszelkimi środkami usiłowali odzyskać swe nad Stanami zjednoczonymi panowanie. Podburzyli Indyan do napadu i płacili za każdą skórę, zdartą z głowy Amerykanina, dzikim swym sprzymierzeńcom; sami całe okolice w pustynie obracali; słowem chwycili się wszelkich środków teroryzmu. Ale właśnie postępowanie to, aczkolwiek poszczególnie wielkie zadawało mieszkańcom Unii klęski, w całości sprawę jéj popierało, gdyż oburzało do głębi i tych, którzy dotychczas stali po stronie rządu angielskiego, i nowych na pole walki prowadziło obrońców. Któż bowiem chciałby był jeszcze przyznawać się do rządu, który uciekał się do najokrutniejszych najdzikszego barbarzyństwa środków? Sprawa młodego państwa zyskiwała współczucie świata do tego stopnia, że najszlachetniejsi i najwaleczniejsi rycerze nowożytni różnych narodów, jako ochotnicy spieszyli pod chorągiew Wasyngtona.

W końcu osłabły i siły Anglii. Nie chcąc dłużéj tracić na darmo ludzi i pieniędzy, musiała jak niepyszna spuścić z tonu, i rada nie rada zaprzestać walki. Poczém z początkiem roku 1783 rozpoczęto w Paryżu rokowania, po których niezadługo ułożono i podpisano warunki rzeczywistego pokoju. Uznawszy niepodległość Stanów zjednoczonych północno-amerykańskich, Anglia straciła obszar 20,000 mil kwadratowych.

IX. U kresu życia.

Po tym obrocie rzeczy Franklin, który mimo podeszłego wieku niezmordowanie pełnił swe obowiązki poselskie, zażądał uwolnienia, chcąc w ojczyźnie wolnéj dokonać reszty życia. A chociaż poznał niemało Francuzów, których dla cnót i charakteru poważał, przecież nie podobało mu się w Paryżu; prości, surowi ziomkowie, z Paryżanami porównywani, okazali mu się w tém piękniejszém świetle. Pragnął więc wydobyć się z miasta wypolerowanego samolubstwa i skażonych obyczajów. Wówczas wyrzekł był Franklin: „Prawdziwa grzeczność duszy, powinna być życzliwością.“ Nie należy zapominać, że to one czasy skażonéj, od natury odbiegłéj cywilizacyi, która tak raziła każdego wyższego ducha, że Ruso, chociaż sam Francuz, aż w powrocie do wymarzonego pierwotnego stanu natury upatrywał jedyny środek odrodzenia ówczesnego francuskiego społeczeństwa. Byłyto czasy, tuż wyprzedzające ten straszny zamęt, ono zawichrzenie rozumów i on straszny rozpasanych namiętności huragan, któremu w dziejach na imię: rewolucya francuska!

Tymczasem rząd Stanów zjednoczonych uważał usługi Franklina w Paryżu jeszcze za niezbędne tak, że nie od razu przychylił się do jego życzenia. Dopiero w r 1785ym starzec czcigodny powrócił do Filadelfii.

Kiedy statek zawinął do portu, tłumy oczekujących mieszkańców miasta powitały radośnymi okrzykami wracającogo na ziemię ojczystą zasłużonego współobywatela. Gdy Franklin wchodził do miasta, świątecznie przystrojonego, działa zagrzmiały, i wszystkie odezwały się dzwony. A byłoto to samo miasto, po którém niegdyś przed laty, starzec, dziś z taką czcią przyjmowany, jako ośmnastoletni młodzieniec, strudzony burzą morską, w lichéj przemokłéj odzieży, błąkał się po ulicach, a potém ze znużenia zasnął był w świątyni Kwakrów. Zakryta zasłoną spoczywała wówczas przed nim jego przyszłość. Czyż mógł pomyśleć, że po latach kiedyś w tryumfie tak świetnym, i to okryty wieńcem zasług obywatelskich, wchodzić będzie do tego samego miasta? Czyż ktokolwiek mógł mu to podówczas przepowiedzieć? A przecież jemu samemu pozostawiony był wybór; on sam sięgać miał własnemi siłami poza onę zasłonę przyszłości, on sam ją krok za krokiem uchylać, on sam miał ją sobie wytwarzać, bo i to prawda, że do pewnego stopnia człowiek sam panem, sam twórcą swojéj przyszłości; a Franklin

w najznaczniejszéj części sam swojéj był twórcą, bo pomoc życzliwych ludzi była już skutkiem jego poprzednich własnych usiłowań; byłato pomoc, do dalszéj budowy gmachu, pod który on sam położył już był fundamenta; a ponieważ były fundamenta mocne i trwałe, więc kto je ujrzał, rad spiąszył z pomocą, bo widział, iż to sumienny i rozumny budowniczy, który budowy nie zaprzestanie, ani spartaczy. Franklin stał się panem swéj przyszłości, bo stał się był panem samego siebie; władał swojemi popędami i skłonnościami; przytłumiał lekkie lub złe, a dobrym oddał nad sobą panowanie; toż zaszczytną ze samym sobą stoczył walkę, a po walce takiéj i tak świetném zwycięztwie wart był i tryumfu świetnego. Cześć pracą i cnotą zdobyta spływała po téj osiwiałéj głowie, któréj sam widok poruszał już do łez radości. „Wjazd jego do miasta — pisze pewien świadek naoczny — był wjazdem tryumfalnym. Franklin przebywał ulice miasta wśród błogosławieństw wolnego i wdzięcznego ludu, który nie zapomniał o jego usługach i zasługach. Wojownicy, którzy krew swą przelewali za niepodległość, zabezpieczoną jego roztropnością, pragnęli okazać mu zaszczytne swe rany. Starcy, którzy modlili się o życie do jego powrotu, otaczali go, a młode pokolenie pałało żądzą ujrzenia oblicza wielkiego męża, którego dary, usługi i cnoty wzbudziły w niém pierwsze zachwycenie zapału i natchnienia. Udając się z portu, teraz dla wszystkich narodów otwartego, ku miastu, które miało się stać wzorem wszystkich przyszłych stolic, Franklin patrzył na kwitnącą publiczną szkołę, którą założył, na szpital, jeden z pierwszych jego zakładów, którego ciągłe ulepszanie było dziełem jego rozumu.“ Liczył on wówczas ośmdziesiąty rok życia. Ci, którzy mniemali, że teraz spocznie po tylu pracach, nie znali głębi jego życia. „Na spoczynek znajdzie się czas, kiedy się zamkną oczy wasze“ wołał on niegdyś do ziomków, podając im naukę mądrości życia; a słowa te nie były frazą, lecz odbiciem jego wewnętrznego jestestwa. Nieodmienne natury prawa wywierały i na jego ciele swą władzę; wszelako mimoto Franklin starzec podobien był drzéwu, które i przy spruchniałym pniu kwitnie i rodzi owoce.

Franklina wybrano członkiem najwyższego rządu, a wkrótce potém prezesem tegoż kolegium; wszystkimi zakładami, które mu zawdzięczały swój początek, zajmował on się znów żywo, i nowe wlewał w nie życie. Dwa stowarzyszenia, z których jedno poprawę więzień, drugie zniesienie niewolnictwa miało na celu, wybrały go prezesem. Tak więc starzec ośmdziesięcioletni miał pełno zatrudnień;

a młodzi mogli się od niego uczyć, co to znaczy: być niezmordowanym w pracy i działaniu.

W dwa lata po powrocie Franklina do ojczyzny kongres Stanów zjednoczonych w Filadelfii zebrany zajmował się rewizyą konstytucyi, uchwalonéj podczas kłopotów wojennych. Teraz miano ją na nowo potwierdzić. Nie wszystkim dogadzała uchwalona konstytucya; zły duch niezgody podnosił w zgromadzeniu głowę. Widząc to Franklin, a do podpisania uchwał kongresu przystępując, w te pamiętne przemówił słowa:

„Przyjmuję tę konstytucyą ze wszystkimi niedostatkami, jeśli je ma, w przekonaniu, że wspólna forma rządu jest nam niezbędną, i że każda forma rządu jest dobra, jeśli się podług niéj dobrze rządzi. Sądzę także, że podług naszéj konstytucyi przez szereg lat można będzie dobrze rządzić, tudzież, że wtedy tylko zamienić się ona może w despotyzm, kiedy zepsucie narodu wymagać będzie despoty; a wątpię, aby jakiekolwiek inne zgromadzenie potrafiło ułożyć lepszą konstytucyą. Skoro bowiem zbierze się grono ludzi celem wspólnego zużytkowania zdań swoich i zapatrywań, tedy z nimi razem gromadzą się i przesądy, namiętności i interesa miejscowe, a w takim razie niepodobna spodziewać się czegoś doskonałego. Dziwią się nawet, żeśmy się tak bardzo do doskonałości zbliżyli i mniemam, że dziwić się będą i nasi nieprzyjaciele; oni, którzy obrad naszych takiego, jak ongi przy budowie wieży babilońskiéj, spodziewali się końca, sądząc, że Stany nasze nigdy do siebie się nie zbliżą, chyba aby rozpocząć walkę na noże i sztylety. Daję więc swój głos, ponieważ nie spodziewam się lepszéj konstytucyi i nie wiem, czy nasza naprawdę nie jest najlepszą; dlatego też zdanie swe niosę w ofierze dobru pospolitemu. Poza tą izbą nie mówiłem o niéj; a co w tych powstało murach, to tu pozostać winno. Gdyby bowiem każdy do domu powróciwszy, chciał wykładać wyborcom swym zarzuty téj konstytucyi czynione, tedy łatwo staćby się mogło, że powszechnego nie uzyskałaby uznania. Tém samém w niwec obróciłyby się wszystkie dobre skutki, wynikające tak dla nas, jak i drugich narodów z naszéj czyto rzeczywistéj czy pozornéj zgody. Albowiem możność rządu popierania szczęścia narodu, polega po największéj części na wierze w dobroć konstytucyi i w tegoż rządu rzetelność. Przeto mam nadzieję, że jako cząstki téj saméj całości, już ze względu na własną korzyść, jużto dobro naszych następców mając na oku, połączymy się uczciwie aby, ile

tylko zmożemy, wszędzie polecać tę konstytucyą, tudzież, że na przyszłość wytężymy wszystkie usiłowania, aby ją najwłaściwszymi wykonać środkami. Przedewszystkiém żywię w sercu gorące życzenie, aby każdy członek kongresu, który miałby jeszcze jakie przeciw niéj zarzuty, teraz, tak jak ja, niezbyt ufał w swą nieomylność i na znak zgody położył swe nazwisko na tym narodowym akcie!"

Upomnienie patryotyczne zasłużonego starca nie było głosem wołającego na puszczy; wszyscy członkowie konstytucyą podpisali. Poczém podano ją pod głosowanie narodu, a i ten ją przyjął bez zmiany.

Szczęśliwy, zaprawdę naród, który miał takiego obywatela; obywatela powszechnym otoczonego szacunkiem i zaufaniem zaszczyconego powszechném; a również szczęśliwy obywatel, żyjący w narodzie, który zdolen ocenić jego zasługi, brał do serca jego mądre słowa, i za mądrą jego szedł radą. Zasłużony wielki mąż nie wierzył w swą nieomylność; a jakież to wielkie dla narodu szczęście, że i poszczególne jednostki, a co więcéj, nawet miernostki, w swą nieomylność także nie miały wiary!

W rok potém kongres jednogłośnie wybrał jenerała Wasyngtona prezydentem rzeczypospolitéj, a Franklin z błogiém zadowoleniem patrzył, jak pod mądrém i dzielném kierownictwem pierwszego prezydenta, coraz więcéj ustalał się porządek. Wszak Wasyngton, o dwadzieścia sześć lat od Franklina młodszy, był jednym z jego wielkich uczniów i zwolenników, którzy usilnie starali się o to, aby zasady przezeń od pół wieku głoszone, słowem i czynem wnikały w życie.

Nakoniec zbliżał się czas, w którym i Franklin miał spłacić naturze dług, którego ona nikomu nie opuszcza. Niezmordowanego pracownika czekał dobrze zupracowany wieczny spoczynek. Miernością w życiu Franklin do roku ośmdziesiątego drugiego zachował silne zdrowie, którém z natury był obdarzony. Od tego czasu zaczął na zdrowiu zapadać, choroby dokuczliwe przykuwały go do łóżka. Ale i z łoża boleści działał on jeszcze mądrą radą, a niejeden odwiedziwszy go, wracał rozweselony i pokrzepiony na duchu. Przyjaciołom wręczył Franklin nagrobek, który przed pięćdziesięciu laty był dla siebie napisał, w słowach następujących:

Tu spoczywa
Żér dla robactwa,
ciało
BENJAMINA FRANKLINA,
drukarza,
Podobne do okładek staréj książki,
Z któréj wydarto kartki
I któréj oprawa się zużyła.
Ale dzieło nie zaginie,
Lecz, jak on się spodziewa, znów wyjdzie
W nowém wydaniu
Przejrzaném i poprawioném
przez
Autora.

Tę wiarę w życie wyższe, w trwałość duszy, siebie świadoméj, po śmierci, żywił on z całym zapałem do ostatniéj chwili życia i często w natchnieniu o niéj mawiał; a i w pismach nieraz wyrażał. Oblicze jaśniało mu poważną radością, kiedy mówił o szczęściu „oglądania w całéj chwale ojca duchów, którego istoty nie zdoła pojąć i najbystrzejszy mędrzec w świecie; o radości podziwiania dzieł jego w światach wyższych i obcowania z najwznioslejszymi świata duchami.“

Franklin uczynił ostatnie rozporządzenie swéj woli, wyposażył hojnie szkoły, w których pobierał początki nauki; przeznaczył sumę na urządzenie kanału dla spławów, drugą na rzecz terminatorów w Bostonie i Filadelfii. Wszystko to, co miał u dłużników, przekazał szpitalowi tegoż miasta. Testament jego kończy się temi słowy: „Laskę moję z dzikiéj jabłoni, ze złotą, w kształcie czapki wolności pięknie wyrobioną gałką, zapisuję jenerałowi Wasyngtonowi, mojemu i ludzkości przyjacielowi. Gdybyto było berło, zasłużyłby na nie i otrzymałby je.“

Z spokojem duszy oczekiwał Franklin zgonu. Przytomność ducha nie opuściła go do ostatniéj chwili. Dnia 17go Kwietnia 1790, o godzinie 11téj w nocy, zakończył on życie.

Pogrzebu, jakim uczczono Franklina, Ameryka po one czasy nigdy jeszcze nie widziała. Mieszkańcy Filadelfii przywdziali żałobę, dzwony jęczały dźwiękiem stłumionym, czarne chorągwie powiewały z domów, dzienniki wyszły w czarnych obwódkach. Kongres ogłosił w całéj Unii dwumiesięczną narodową żałobę.

I w Europie z współczuciem przyjęto bolesną o śmierci Franklina wiadomość. W izbie francuskiéj Mirabeau wyraził smutek po téj wielkiéj stracie w słowach następujących:

„Franklin umarł! — (Głęboka cisza zapanowała w sali sejmowéj). — „Duch, który Ameryce dał wolność, a strumienie światła zlał na Europę, powrócił na łono bóstwa!“

„Kongres zarządził we wszystkich Stanach Zjednoczonych dwumiesięczną po Franklinie żałobę, a tym sposobem Ameryka spłaciła jednemu z ojców swéj konstytucyi dług i dań czci i uwielbienia.“

„Nie byłabyż to, panowie prawodawcy, rzecz was godna, gdybyście się przyłączyli do tego aktu czci i wzięli udział w tym hołdzie składanym wobec świata prawom człowieka i mędrcowi, który rozpowszechnił w świecie ich panowanie?“

„Śmiertelnikowi, który na pożytek rodu ludzkiego niebo i ziemię potężnym i głębokim swym duchem obejmując, grom i tyranią podbić umiał, ołtarze byliby stawiali starożytni.“

„Oświecona, wolna Europa jednemu z największych mężów, którzy żyli dla filozofii i wolności, co najmniéj pamięć i uczucie bolu poświęcić winna.“

„Wnoszę, aby Zgromadzenie narodowe po Benjaminie Franklinie na trzy dni przywdziało żałobę.“

Zgromadzenie przyjąwszy ten wniosek, oddało cześć pamięci wielkiego obywatela.

JERZY WASYNGTON.

Prawodawca bohatyr; wódz Amerykanów,
Wybawca uciśnionych, a pogrom tyranów,
Wasyngton, ten prawdziwym jest wolności sługą,
Pisał rząd jedną ręką, a bronił go drugą.

Z wiersza: „Do Kościuszki."
Czas z r. 1874. N. 255.

„Pierwszy w boju, pierwszy w pokoju i pierwszy w sercach swych ziomków."

Słowa Jana Marshala w izbie reprezentantów.

I. Lata chłopięce.

Piękny, zaprawdę, i pełen cudów jest świat, który nas otacza! Ileż to w nim jestestw stworzonych, ileż widoków i zjawisk, na które człowiek patrzy bądź radośnie a nawet z uniesieniem, bądź w zadumie, z uwielbieniem, pokorą a nawet trwogą! Nikła roślinka i kwiatek, drzewo rozłożyste lub ku niebu się pnące, las cienisty i łąka wonna a różnowzora, pole o kłosach falujących i step rozległy, bujną pokryty trawą, czysty jak kryształ strop niebieski i niezmierzona wód morskich przestrzeń, poważny, majestatyczny w przyrodzie spokój i burza szalejąca, różny wschodzącego a zachodzącego słońca urok i gwiazdzistéj nocy milcząca wspaniałość, te im tym podobnych jeszcze wiele przedmiotów, zjawisk i widoków jakżeż poruszają i podnoszą serce i ducha naszego!

Toż w niemym podziwie patrzył na nie od początku istnienia swojego i po dzień dzisiejszy patrzy człowiek, bądź radując się, bądź korząc przed wszechpotęgą sprawcy wszystkich tych dziwów, wszystkich tych cudów. Ale na tém nie poprzestał. Przedmioty te i zjawiska rozliczne już wcześnie wzbudziły w nim popęd do bliższego tych cudów badania i poznania.

Nietylko więc patrzył na to, co go otaczało, lecz ciekawie, pilnie i bacznie, więc z rozmysłem, przypatrywał się i przedmiotom i zjawiskom; a zmysłom swym nie ufając i jakby uzupełniając ich nieudolność, w przeróżne sztuczne uzbroił się przyrządy i jakby do samego wnętrza przedmiotów, a w głąb przyczyn zjawisk wniknąć, istotę ich zbadać i odsłonić usiłuje.

Toż, zwłaszcza za dni naszych, ogromny niezaprzeczenie, nad wszelkie inne zajęcia może przeważający, ruch panuje właśnie na polu tychże około zbadania świata przyrodzonego usiłowań; ruch daleko w szerz i głąb sięgający, a gorączkowy, więc przyspieszony. Zdaje się, jakby w nim skupiła się cała ludzkiego ducha dziś praca!

A przecież nie na samych tylko przedmiotach, czyto nibyto martwéj, czy rozlicznemi siły poruszanéj przyrody, nie na samych tylko objawach sił tych rozlicznych ruchu kończy się ten świat stworzony!

W szeregu jestestw tegoż świata, jakby na ostatnim, najwyższym szczeblu drabiny tychże niezliczonéj liczby jestestw, jakby ich wspinanie się w górę zamykając, mieści się jestestwo od wszystkich innych bardzo różne i o objawach sił najróżnorodniejszych; istne „zjawisko, któremu trudno dać nazwisko," jakby owa starożytna sfinga, ów, jakto ktoś dowcipnie orzekł, „wielki w księdze przyrody domyślnik" — człowiek!

Więc i on sam staje się jedném z tych zajmujących w świecie otaczającym zjawisk, jednym z tych rozlicznych w świecie stworzonym cudów i zagadek; ale osobliwsza to i godna bardzo uwagi rzecz, że on sam i dla siebie staje się zagadką; on sam na się zwracając uwagę, zdolen jest stopniowego téjże zagadki rozwiązywania.

Wprawdzie z razu tonie on w odmęcie świata zewnętrznego, przystępny głównie jego wrażeniom; ale zwolna i na siebie i na drugich, więc na rodzaj swój zwraca uwagę i do tych, którzy w rozwoju swym na wyższy wznieśli się już stopień, siły swe nastraja i za nimi rad podąża. A kiedy jestestwa, od niego niższe, zawsze tylko tą samą kroczą drogą, każde do przepisanego mu trybu życia niewolniczo przykute, jedno od drugiego nie różniąc się objawami, ani jedno drugiego za wzór sobie nie biorąc: sam tylko człowiek rozlicznemi do ostatecznego celu podąża drogami; on sam tylko zdolen poszczególne zakreślać sobie cele i sam wybierać do osiągnięcia celu środki; on sam tylko w drugich ludziach, istotą sobie równych, wzorów upatruje, a do nich się naciągając, na wyższy w rozwoju wznosi się stopień. Toż kiedy życie zwierzęce z pokolenia w pokolenie zawsze jednakowe, a dla braku rozwoju i postępu jednostajne i chyba za przyczynieniem się i wpływem człowieka się zmienia i w jednostkach uszlachetnia; człowiek sam tylko, pokolenie po pokoleniu, w górę podąża, a chociaż czasem w drodze się zatrzyma lub cofnie, z wyższego spadłszy na niższy szczebel, zdolen przecież i poznania swego zastoju, cofnięcia się i upadku i podźwignienia się z niego, a znów rychlejszego naprzód postąpienia.

Czyż nie zajmujący to widok, czyż to zjawisko nie uderzające? Czyż nie zagadka, godna usilnéj około jéj rozwiązania pracy?

Toż zaprawdę kto całkiem nie zatopił wzroku tylko w samym świecie przyrodzonym, kto całą w nim tylko nie utonął uwagą, lecz czując w sobie tlejącą iskrę, tę cząstkę pierwowzoru, na którego podobieństwo został stworzony, w płomień jasny ją rozdmuchiwa: ten, nie gardząc przyrodą i coraz dokładniejszego jej poznawania sobie nie lekceważąc, niezawodnie przyzna, że jeśli pełno jest cudów w ustroju zdziebełka trawy lub w nieznacznéj kropelce wody, tedy równie wielki, jeśli nie większy, zasób cudów i zagadek kryje w sobie ustrój duchowy człowieka, życie poszczególnéj jednostki i dziejowe rodzaju ludzkiego życie.

A mają to do siebie te w życiu ludzkiém nasuwające się piękne widoki, te duchowéj naszéj istoty objawy, że nietylko budzą w nas podziw, lecz i wznioślejszą napawają rozkoszą, kiedy korném sercem pójdziem w ślad za rozwojem duszy szlachetnego człowieka, a z uwagą towarzyszyć będziem jéj postępowaniu na coraz wyższe doskonałości stopnie.

Wówczasto cząstka téj wielkiéj i szlachetnéj duszy i nam się udziela, bo jeśli w świecie fizycznym zachodzi chemiczne powinowactwo, tedy w świecie ducha zastępuje je już pokrewieństwo, na tożsamości istoty oparte. Zatem myśl wzniosła, czyn piękny lub wielki, gdziekolwiek się zjawi, skoro tylko dojdzie do nas o nich wiadomość, już jakby iskra elektryczna wstrząsają duchem naszym, a podnosząc go uczuciem, że i myśmy tego samego, co twórca owéj myśli lub czynu, pochodzenia, nietylko radością nas przejmują, lecz budząc zaufanie we własne siły, a przeto i odwagi dodając, do szybszego ruchu, a nawet do lotu porywają. Napawa się więc w takim razie błogą rozkoszą serce, krzepi umysł, ogrzewa wola, i w dążeniu ku dobremu wzmacnia. Czujemy się bliżsi saméj Istoty najwyższéj, któréj jaśniejszym odbłyskiem jest owa dusza wielka, szlachetna. I wiara się w nas krzepi, i nadzieja rośnie, i miłość silniéj zapłonie w uczuciu wdzięczności za ten zdrój łaski, zlanéj na rodzaj ludzki, za pośrednictwem wielkiego, szlachetnego człowieka.

Wówczas tém silniéj czujemy, jakiegośmyto pochodzenia, więc z kimto spokrewnieni jesteśmy.

Wielcy, szlachetni ludzie, to żywe dyplomy a legitymacye szlachectwa duszy naszéj, szlachectwa, którego drzewo genealogiczne kończy się w samym Stwórcy!

Wówczas rodzi się w duszy obraz, czémto stać się może człowiek, jeżeli serce zapłonie mu miłością cnoty, a płomień ten

rozdmucha on w jasną na cały swój żywot pochodnią, jeżeli w duszy zrodzi się dążenie ku wyższym celom, a on je z poszczególnych podrywów a dobrych chęci przemieni w żelazną, niezmienną, stałość woli czyli charakteru.

Na duchowém też pokrewieństwie polega wielkie w życiu naszém znaczenie pięknych i wzniosłych przykładów; tych podniet a jakby bodźców, budzących z uspienia lub nieczynności duchy z istoty swéj pokrewne; na niém, jako na podstawie, możność wzajemnéj wrażeń wymiany i wzajemnego oddziaływania; więc i możność doskonalenia się i postępu, jako jedna z najwydatniejszych cech charakterystycznych istoty ludzkiej, tak bardzo odróżniająca ją od natury zwierzęcéj.

A kiedy się rzecz tak ma, czemu zaprzeczyć niepodobna, tedy wizerunek takiéj wielkiéj a szlachetnéj duszy zamierzam tu odsłonić przed wami, młodzi czytelnicy! Zamierzam wprowadzić was jakby do jéj pracowni, abyście się przypatrzyli jéj pracy, tak téjże zawiązkom, jakoteż wzrostowi i ostatecznym wypadkom; abyście się przypatrzyli i celom, które sobie zakreślała dusza ta szlachetna i środkom, które bądź miała pod ręką, bądź ich szukać i przyspasabiać musiała.

Wizerunek ten niech będzie dla was wzorem, a dla woli młodéj bodźcem. Nie każdemu wprawdzie dano osiągnąć te same skutki, bo nie każdy ma i to samo wyposażenie i w nie tych samych przyjdzie mu pracować warunkach. Ale jeśli dawni Rzymianie twierdzili, że w sprawach wielkich wystarcza nawet chęć, tedy, zda mi się, tak tylko tę ich myśl rozumieć wypada, że już wiele znaczy, kiedy człowiek umysłem sięga wyżéj ponad powszedni życia poziom, kiedy wolą swą nastraja do wzniosłych celów; gdyż już to wznoszenie się ducha, to sił wytężanie, jest dowodem i wyższości ducha i tę ma korzyść, że przynajmniéj daje możność odróżniania tego, co wyższe i wznioslejsze, od poziomej powszedniości, daje i téj różnicy świadomość, w któréj tkwi źródło usiłowań, gdyż stara to, doświadczeniem stwierdzona prawda, że czego człowiek wcale nie zna, tego także pożądać nie może.

W północnéj Ameryce, wśród lasów Wirginii, urodził się dnia 22. Lutego 1732 r. Jerzy Wasyngton.

Tamto hoża dziecina jasnemi oczkami i z uśmiechem na ustach patrzyła na świat boży; tam czarna niewolnica siadała z nią na

ławie przed domem i zabawiała, ciskając indykom i gołębiom okruchy chleba; tam pod szumiącemi drzewami chłopię przyrządzało sobie z pręta leszczyny pierwszego konika i harce wyprawiało po dworcu ojcowskim.

Ojciec Jerzego, Augustyn Wasyngton, osadnik amerykański, był z rodu Anglikiem. Pradziad jego przybył do Ameryki północnéj, którą po one czasy Indyanie uważali za swą wyłączną własność. Obszar kraju, nazwany później „Stanami amerykańskimi“ równa się prawie powierzchni Europy. Przed dwustu laty cały kraj ten był niezmierzonym, do nie przebycia gęstym, lasem, który przerywały tylko ogromne moczary, trzęsawiska i sawany czyli równiny, bujną trawą porosłe.

W domu zamożnego osadnika, położonym na wschodnim brzegu Rapahanoku, mały Jerzy pierwsze odbierał wrażenia. Panowała tam bogobojność, pracowitość, skrzętność i rzetelność. To było pierwszém błogosławieństwem, jakie niebiosa zlały na dziecinę. Wprawdzie ono samo jeszcze nie wystarcza; życie wśród czystéj i zdrowéj duchowéj atmosfery samo jeszcze nie wiedzie człowieka na drogę moralności; czyni to dopiero wola, ku dobremu kierowana, i własne imanie się wykonywania cnoty; gdyż i z najlepszego otoczenia wyszli już nieraz zbrodniarze. Wszelako błogosławieństwem, łaską i wielką pomocą jest zawsze otoczenie ludzi, którzy i w słowach i uczynkach przyświecając pięknymi cnót przykładami, ułatwiają małoletnim rozwój moralny. Toż podwójną, tém cięższą winą obarcza głowę swą ten, kto mimo takiéj łaski i pomocy, zbacza na kręte ścieżki i manowce grzechu i występku.

Przybysze angielscy osiedlali się wówczas w odosobnionych siedzibach, porozrzucanych wśród rozległych lasów; jednakowoż bliżsi połączyli się już w parafie, pozakładali w nich kościoły i szkoły. Szkoły te w Wirginii znajdowały się podówczas na stopniu jeszcze bardzo niskim; uczono w nich czytać, pisać, rachować i prowadzenia codziennych rachunków; więcéj nie żądała jeszcze dla swych dzieci większa część osadników. Bogaci posyłali zwykle synów do angielskich wyższych zakładów naukowych. Podróż taką do Anglii odbył także i Wawrzyniec Wasyngton, najstarszy przyrodni brat Jerzego; a o lat czternaście od niego starszy. Jerzy brata wcale nie pamiętał, bo w czasie tegoż do Anglii wyjazdu noszono go jeszcze na ręku. W dwudziestym drugim roku życia Wawrzyniec powrócił do domu pięknie rozwiniętym i wykształconym młodzieńcem; z ra-

dością powitała go rodzina; ośmioletni Jerzy od pierwszéj chwili całém sercem przywiązał się do brata, a ten, kochanemu, ciekawemu chłopczynie prawdziwie ojcowską odpłacał miłością.

Ojciec uważał Wawrzyńca za przyszłą głowę rodziny; a sądząc, że zadość uczynił obowiązkom rodzicielskim, dawszy przyszłemu swemu następcy należyte wychowanie, nie myślał o wysłaniu jeszcze którego z synów do Anglii. Toż i Jerzego posyłał tylko do szkoły parafialnéj. Ciekawy chłopczyna gorliwie uczył się wszystkiego, ce mu podawała ta szkoła. Tym sposobem uzyskał przynajmniéj podstawę do późniejszych nauk o własnych siłach. Jeden z wydatnych, jego charakteru rysów, występuje na jaw już dość wcześnie: chłopczyna wykonywał wszystkie prace jak najsumienniéj i najdokładniéj. Nie było ani jednéj litery w jego piśmie, któraby świadczyła o niedbalstwie lub tylko o lekceważeniu. Przechowały się dotychczas zeszyty szkolne, pisane jego ręką, świadczące o tych młodziutkiego Jerzego zaletach. A podobnie postępował sobie, ile razy poruczono mu jakie domowe zatrudnienie. Wszystko, co mu zrobić polecono, albo czego z własnéj jął się ochoty, chociażby to była rzecz najdrobniejsza, albo taką wydawać się mogła, Jerzy starał się wykonać z największą, o ile możności, dokładnością.

Jakie znaczenie miało to w rozwoju jego ducha, tego nie mógł przewidywać młodziutki Wasyngton. Wiodło go do tego jedynie poczucie obowiązku, wcześnie wzbudzone, a poparte wolą, skierowaną ku czynieniu dobrego. Dopiero późniéj zrozumiał on głębszy cel pracy, zawsze do wzmocnienia sił ducha zmierzający. Nie masz pracy, którejby nie można dobrze lub źle wykonać. Jeżeli zbierzesz swe siły, i zdołasz wykonać pracę, więcéj lub mniéj dokładnie, tedy już więcéj niż saméj tylko dokonałeś pracy, bo pracowałeś około saméj swéj istoty! Kto się nad tém rozważnie zastanowi, dla tego i praca, z pozoru najtrudniejsza, straci kolec przykrości!

Podobnąż sumiennością odznaczał się młodziutki Wasyngton i w sprawach moralnych. Był on z natury żywego i namiętnego usposobienia; ale już wcześnie usiłował rozwagą i siłą woli panować nad żywemi uczuciami. Dlatego też towarzysze jego szkolni zwykle z wszelkimi sporami do niego się udawali, i zazwyczaj poddawali się jego wyrokowi. Widzieli bowiem, że on sam, ile razy dał się unieść gorącéj krwi swojéj, nie wahał się ani na chwilę, przyznać się do winy. Zawsze miał na względzie słuszność, a nie osobę.

I inny rys wydatny natury Wasyngtona: talent wojskowy, już w latach jego chłopięcych na jaw wystąpił. Poczęści odziedziczył on go po przodkach; byli bowiem między nimi ludzie znakomici i z waleczności w bitwach słynni, o czém opowiadają kroniki angielskie. Niektórzy z nich do tego stopnia się odznaczyli, że ich zaliczono w poczet rycerstwa angielskiego. Brata jego, Wawrzyńca ożywiał także duch wojenny, a w tym czasie nadarzyła się okazania go sposobność. Hiszpanie niepokoili w Indyach zachodnich częstymi napadami handel brytański i szkodę mu wyrządzali. Rząd angielski postanowił więc szukać odwetu. Wyprawiono na ten cel flotę; a ponieważ Anglia była krajem macierzystym osadników wirgińskich, przeto i tu wezwano ochotników. Wawrzyniec stanął w ich rzędzie i otrzymał stopień kapitana. Można więc sobie wyobrazić, że zdarzenie to wywołało pewien ruch w rodzinie Wasyngtona. Najżywszy udział w wyprawie brata miał Jerzy. Że rabusiów, o których niegodziwych sprawach nie mało się nasłuchał, poskromić i ukarać należało, o tém ani na chwilę nie wątpił; toż z uszanowaniem i zachwyceniem spoglądał na błyszczący pałasz brata, a w duszy czynił postanowienie, że i sam kiedyś, ilekroć złość i niesprawiedliwość dopuszczać się będzie pokrzywdzenia spokojnych współbraci, stanie w szeregu ich obrońców. Przy téj sposobności chłopiec słyszał także niejedno o czynach walecznych swych przodków. Niedziw więc, że obraz brata, który w mundurze opuścił dom rodzinny, ciągle stał żywo w duszy chłopca; że listy jego, które ojciec zwykle czytał w kole rodzinném, tak go zajmowały, iż prosił o nie ojca, i często bardzo odczytywał, zwłaszcza, że donosiły o różnych zdarzeniach z pola walki.

Wpływ tych wrażeń i obrazów, żywo zajmujących duszę chłopca, wkrótce wystąpił na jaw w jego zabawach. Piłkę i gry jéj podobne zastąpiła zabawa w wojnę. Jerzy utworzył ze współuczniów kompanie, podawał plany bitew, które staczano, oznaczał rodzaj broni, odbywał przeglądy, a żadnemu z towarzyszów nawet na myśl nie przyszło, zaprzeczać mu stanowiska i stopnia, jaki zajął sam tylko własną osobistą przewagą. I taka to zabawa, chociaż ani on sam, ani nikt z tych, co go otaczali, nie przeczuwał, była poniekąd jakby przygrywką i przygotowaniem do jego późniejszego życia. Jak pierwéj w kole swych towarzyszy zajął stanowisko rozjemcy i jakby ustawodawcy, tak teraz został ich wodzem. Ale i w tém bawieniu się w żołnierza wybitnie okazywała się właściwość jego natury, na

tém polegająca, że wszystko, cokolwiek przedsiębrał, usiłował wykonać z wszelką możliwą dokładnością. Młodziutki duch Wasyngtona poznawał, czegoto potrzeba wojownikowi; toteż z wytrwałą gorliwością odbywał ćwiczenia, nadające ciału zgrabność i siłę; biegał więc z drugimi do mety; skakał przez rowy, mocował się z towarzyszami, ciskał drągi jakby włócznie, itp. Naczelnik małego zastępu dążył do tego, aby na prawdę być pierwszym, a dowództwo swe oprzeć nie na tytule, lecz na rzeczywistéj zasłudze.

Brat jego Wawrzyniec, wziąwszy udział w oblężeniu Kartageny w Indyach zachodnich, powrócił do domu. Można sobie wyobrazić, z jakiém zajęciem Jerzy przysłuchiwał się opowiadaniom brata! Ten zaś, dowiedziawszy się o wojennych jego zabawach, utwierdził się w myśli, już dawniéj powziętéj, o przyszłym brata zawodzie. To też zaproponował rodzicom, aby Jerzego, skoro ukończy rok czternasty, oddali na kadeta do marynarki angielskiéj. Na plan ten zgodzili się rodzice, odkładając jego wykonanie do stosownéj pory. Wawrzyniec miał zamiar wrócić do pułku i w służbie wojskowéj dosługiwać się dalszych stopni; wszelako okoliczności inaczéj nim pokierowały. Poznał bowiem córkę zamożnego osadnika, Wilhelma Fairfaxa i oświadczywszy się o jéj rękę, został przyjęty i z nią zaręczony. Ojciec jego bardzo się ucieszył z tego bliższego stosunku z rodziną zamożną, a powszechnie poważaną. Wszelako nie doczekał zaślubin syna; nagle bowiem zachorował i umarł.

Jerzy miał dopiero lat jedynaście, kiedy mu, jako sierocie, przyszło zapłakać na grobie ojca. Zmarły pozostawił dla dzieci swych z dwukrotnego małżeństwa znaczne posiadłości, zupełnie wystarczające na ich zaopatrzenie. Wawrzyniec otrzymał posiadłość na brzegach Potomaku, gdzie po kilku miesiącach osiadł z młodą żoną.

Dla młodszych dzieci ojciec w ostatniéj swéj woli nie wyznaczył opiekuna; opiekę pozostawił matce, co dowodzi zaufania, jakie w niéj pokładał mąż zmarły; bo też zasługiwała na nie zacna ta niewiasta. Irwing, który napisał żywot Jerzego Wasyngtona, w tych o niéj wspomina słowach: „Obdarzona prostym zdrowym rozumem, wielką sumiennością i stanowczą pewnością siebie, rządziła rodziną swą z grozą ale i dobrocią i żądała uszanowania, budząc ku sobie zaufanie. Była ona wtórą zmarłego żoną, a Jerzy, syn jéj pierworodny, ulubioném jéj dzieckiem. Mimo to, a raczéj właśnie dlatego, trzymała go krótko, gdzie tego była potrzeba, aby go ochronić od wybryków. Bóg błogosławił szczere jéj usiłowa-

nia. Wówczas w wielkiém poszanowaniu było u wykształconych osadników wirgińskich dzieło Mateusza Halego: „Moralne i teologiczne rozmyślania“. Była to ulubiona książka matki, z któréj nie tylko sama czerpała pokrzepienie i zbudowanie, lecz i dzieciom czytywała ustępy. Na takich czytaniach prócz dzieci bywali także i przyjaciele rodziny; a z tego, co i oni i dzieci o tych zebraniach podali do wiadomości, okazuje się, że matka Wasyngtona nietylko bardzo rozumnie wybierała ustępy do czytania, lecz że i moralna groza i powaga, z jaką odbywała owe czytania, czy to z książki powyżéj wymienionéj, czy przy sposobności i z pism innych, skuteczne na młodych słuchaczach wywierały wrażenie. Usposobienie serca miłością cnoty pałającego, przelewała ona w swe dzieci; a gdy przytém całe życie i tok spraw w domu przenikała moralna groza, więc i odebrane wrażenia nie zacierały się w młodych umysłach, lecz owszém tém bardziéj się utrwalały i potęgowały. Egzemplarz onéj książki, z własnoręcznym podpisem matki, „Marya Wasyngton, był późniéj przez całe życie drogą dla syna pamiątką. Często też wdzięczny syn zapewniał, że nauki w książce téj zawarte, ożywione pełném wyrazu czytaniem matki, o dobro dzieci troskliwéj, wywarły stanowczy wpływ na całe jego życie. Książkę tę przechowują jeszcze dziś w archiwum na Mount Wernon, późniejszém mieszkaniu Jerzego Wasyngtona.

Naukom szkolnym i pracom domowym Jerzy oddawał się i daléj z wytrwałą pilnością. Zachęty nie było potrzeba; przeciwnie nieraz stosowniejszém byłoby upomnienie, hamujące zbytek gorliwości chłopca. Pałał on bowiem niepohamowaną żądzą wyzyskania każdego dnia na pomnożenie swych wiadomości i nabrania coraz większéj wprawy. Gorąca i rzetelna chęć doskonalenia się ożywiała go nieustannie.

Nieco daléj, niż pierwszy jego nauczyciel Hobby, mieszkał nauczyciel Wiliams, który udzielał nauki w zakresie nieco obszerniejszym; do jego więc szkoły uczęszczał teraz Jerzy. Tu obznajomił się z początkami rachunkowości kupieckiej; a chociaż był to przedmiot suchy, uczeń ożywiony silną wolą pokonania trudności, z zadziwiającą szybkością i w téj nauce zdążał do celu. W ogóle można powiedzieć, że względem różnych zakresów nauk młody nasz uczeń zajmował stanowisko zdobywcy; rozum, wola, pamięć stanowiły arsenał jego broni, która stawała się coraz ostrzejszą i coraz świeższym jaśniała blaskiem, czém częściéj jéj używał. Leniwi i niedbali

współuczniowie wydawali mu się istotami pogardy godnemi. W tym czasie zbierał on sobie wszelkiego rodzaju wzory pism, używanych w stosunkach życia potocznego i kupieckiego. Jeden z tych zbiorów pod tytułem: „Piśmienne sprawy“ zawiera w sobie zapisy, weksle, rewersy, kwity, cesye, pełnomocnictwa, umowy o dzierżawy, i kontrakty w ogóle, testamenty — a wszystko pisane jak najstaranniéj z odróżnieniem większemi głoskami słów, szczególniejsze mających znaczenie.

W tych latach Jerzy coraz więcéj oddawał się i ćwiczeniom ciała, o których już powyżéj była wzmianka, zwłaszcza od czasu, kiedy wiedział, że go przeznaczono do marynarki. Rozumiał on, że kto ma wstąpić do służby wojskowéj, ćwiczyć i hartować powinien ciało, tak dla łatwiejszego ponoszenia wszelkiego rodzaju trudów i niewygód, jakoteż i dla nabrania sił i zgrabności. Dziś jeszcze pokazują w pobliżu posiadłości jego ojca miejsce, gdzie młody Jerzy przerzucił wielki kamień przez rzekę Rapahanok. Również dzielnym stał się on jeźdzcem; ku zdziwieniu swoich dosiadał najdzikszego konia i doskonale nim kierował.

Tymczasem Wawrzyniec poczynił już był stosowne kroki celem wyjednania Jerzemu miejsca na flocie; nadszedł też i patent kadecki; czyniono więc przygotowania do jego wyjazdu. Ale gdy się zbliżyła ta chwila, zawahała się matka. Raz jeszcze zasięgnąwszy rady macierzyńskiego serca i rozumu, postanowiła nie puszczać wyrostka tak wcześnie w świat, całkiem mu obcy. Wszakże nie słabość macierzyńska poddała jéj to postanowienie. Słyszała ona wiele o surowém, po części dzikiém życiu marynarskiém; zawahała się więc i zlękła w stanowczéj chwili planu, którego wykonanie byłoby pozbawiło młodziutkiego syna rad serdecznych matki, życzliwości i pomocy rodziny. Uszanowanie i miłość ku matce ułatwiły Jerzemu pogodzenie się z losem i wyrzeczenie się przyszłości, z którą już przez czas dłuższy był się oswoił. W latach późniejszych dziękował matce za troskliwość, z jaką wzięła była pod rozwagę przyszłą jego dolę.

Nim pójdziemy w ślad z dalszym rozwojem życia naszego bohatyra, wspomniemy przedtem jeszcze o jednym szczególe charakterystycznym, z którym już wcześnie spotykamy się w życiu chłopca. Jerzy spisywał dziennik, w którym pokrótce zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, co go żywo zajmowało. Prócz tego zapisywał w nim treściwe zdania i myśli, które bądź wyczytał w książkach, bądź

słyszał od ludzi mądrych i doświadczonych. Był to ważny czynnik w jego kształceniu się, a i ty, młody czytelniku, doznałbyś na sobie zbawiennych tego środka skutków, gdybyś poszedł za przykładem młodziutkiego Jerzego. Jeden rozdział jego dziennika ma napis.: „Przepisy zachowania się w towarzystwie i podczas zabaw“. Zawiera on ważniejsze i mniéj ważne prawdy; przytoczymy tu ich szereg; raz, że charakteryzują w właściwy sposób usiłowania moralne młodziutkiego Jerzego, powtóre w nadziei, że może który z naszych równie młodych czytelników ze zbioru tego wybierze niektóre dla siebie, chwyci za pióro i wypisem tym rozpocznie swój własny dzienniczek. Oto wyjątek z dzienniczka Wasyngtona:

„Gdy się znajdziemy między ludźmi, nie czyńmy nic takiego, coby w czémkolwiek uchybiało uszanowaniu względem członków towarzystwa.

W obecności drugich nie mrucz sobie pod nosem i nie bębnij palcami lub nogami.

Nie spij, kiedy drudzy mówią; nie siedź, gdy drudzy stoją; nie mów, kiedyś milczeć powinien i nie idź daléj, kiedy drudzy zatrzymują się w miejscu.

Nie obracaj się ku nikomu tyłem, zwłaszcza gdy z nim rozmawiasz; nie ruszaj stołem lub pulpitem, na którym ktoś pisze lub czyta; nie opieraj się o nikogo.

Gdy spotkasz osobę starszą lub poważniejszą, zatrzymaj się i ustąp jéj; w drzwiach lub w ciasném przejściu jéj zostaw pierwszeństwo.

Osobom, urząd lub dostojeństwo piastującym, należy się przy każdéj sposobności pierwszeństwo; młodsi z nich, powinni tym, co bądź urodzeniem bądź innymi przymiotami stoją z nimi na równi, okazywać uszanowanie, chociażby nie zajmowali publicznego stanowiska.

W rozmowie o interesach mów krótko i zwięźle.

Odwiedzając chorego, nie baw się w lekarza, jeśli się nie rozumiesz na sztuce lekarskiéj.

Nie ucz sobie równego tego, co on sam umie i wykonywa, bo to trąci zarozumiałością.

Jeśli ci przyjdzie radzić komu lub go karcić, zastanów się naprzód, czy masz to uczynić jawnie czy w cztéry oczy, czy natychmiast, czy przy innéj sposobności, i w jakich to masz uczynić

słowach. Gdy kogo ganisz, nie okazuj ani śladu gniewu, lecz czyń to łagodnie i uprzejmie.

Wszelkie upomnienie, gdzie i kiedykolwiek ci udzielone, przyjmuj z wdzięcznością; jeżeliś zaś świadom swéj niewinności, tedy powiedz to ganiącemu cię na miejscu stosownem i w porze dogodnéj.

W tém, w czém komu przyganiasz, sam bądź wolny od przygany; bo przykład daleko skuteczniéj działa niż nauka.

Nie pozwalaj sobie względem drugich słowa obrażającego; nie lżyj i nie przeklinaj.

Nie wierz łatwo pogłoskom, na szkodę drugich rozsiewanym.

Ubieraj się skromnie i nie staraj ubiorem budzić w drugich podziwienia; ubiór niech będzie stosowny i wygodny. Stosuj go do ubioru równych sobie, jeżeli ubierają się przyzwoicie i porządnie, stosownie do czasu i miejsca.

Jeżeli dbasz o cześć własną, szukaj stosunków z ludźmi prawymi; lepiéj bowiem stać samemu, aniżeli żyć w złém towarzystwie.

W zabawach strzeż się złości i zawiści; tym bowiem sposobem dowodzisz łagodnego i uprzejmego umysłu; ilekroć zaś budzi się namiętność, słuchaj rozumu.

Bądź grzecznym i uprzejmym, ale z uczuciem twém nie wyrywaj się zbyt naprzód; pozdrawiaj pierwszy, słuchaj, co kto mówi, i odpowiadaj; nie zamyślaj się, kiedy masz mówić.

Gdy dwóch się spiera, nie stawaj po stronie żadnéj, jeśli cię nie wezwano; w zdaniach swych nie bądź upartym; w rzeczach obojętnych łącz się z większością.

Nie gań cudzéj ułomności, bo to rzecz rodziców, nauczycieli, przełożonych.

Myśl, nim co powiesz; mów wyraźnie; nie wyrzucaj słów nanagle, lecz mów porządnie i dobitnie.

Gdy drugi mówi, słuchaj uważnie i nie przeszkadzaj tym, którzy go chcą słuchać. Jeżeli kto w mowie się zatnie, nie pomagaj mu, skoro cię o to nie prosi; nie przerywaj mówiącemu i odpowiadaj, gdy skończył.

Nie spiesz się z opowiadaniem nowin, jeżeli nie jesteś przeświadczony o ich prawdziwości.

Wypowiadając o czémś swe zdanie, czyń to spokojnie i ostrożnie, chociażby ten, kto cię słucha, należał do najniższych.

Jeżeli starszy z kim mówi, słuchaj, nie mów i nie śmiéj się.

Nie bądź rozwlekłym w mowie; nie zbaczaj od rzeczy i nie powtarzaj często tych samych myśli.

Przy stole nie złość się, cokolwiekby się działo; a jeśli ci co sprawia przykrość, nie daj po sobie poznać; bądź wesół, zwłaszcza jeśli masz gości, bo wesołość jest dodatkowym do uczty półmiskiem.

Mówiąc o Bogu albo o jego własnościach, czyń to z powagą i uszanowaniem. Rodzicom bądź posłusznym i czcij ich, chociażby byli ubogimi.

Zabawy twe niech będą męskie, ale nie grzeszne.

Staraj się małą iskrę boską, którą zowią sumieniem, utrzymać żywą w sercu swojém..."

II. Pomiary pól.

Kiedy matka zaniechała zamiaru oddania młodziutkiego syna do marynarki, Jerzy uczęszczał ciągle do szkoły Wiliamsa i w końcu głównie uczył się miernictwa polowego. Nauce téj oddawał się do ukończenia piętnastego roku życia; głównie zajmując się geometryą, a szczegółowo tą jéj częścią, którą trygonometryą zowią. Ostatniego lata pobytu w szkole pomierzył on pola i łąki do szkoły należące, tudzież posiadłości najbliższych jéj osadników. Pracy téj, mającéj być dla niego tylko ćwiczeniem, dokonywał z taką sumiennością, jak żeby już był zaprzysięgłym inżynierem. Wszystko, co z nią pozostawało w związku, rysunki, obliczenia, dowody i wykazy wypracował z największą ścisłością. Nigdzie nie ujrzałeś słowa dopisanego, nigdzie najmniejszéj plamki. Jeśli pisząc był się pomylił, tedy pomyłkę tak usunął, że tylko najwprawniejsze oko dopatrzeć mogło delikatnego jéj wytarcia lub wyskrobania. Widocznie byłoto potrzebą jego charakteru, przestrzegać we wszystkiém, czego się tknął, największéj staranności. Przytém dbał także o ład i układ pracy, ułatwiający każdemu w niéj się rozpatrzenie. „Nigdzie nie spostrzegłeś — powiada Irwing — pospiechu, niedbałości, a nawet połowicznego zbycia roboty. Nawyknienie to w młodości cechowało go przez całe życie, pozostał mu on zawsze wiernym, a lubo stanowiska, jakie zajmował w późniejszém życiu, nieraz nasuwały mu zawikłane do rozwiązania zadania, lubo kłopotliwe i niebezpieczne

stosunki przygniatały go brzemieniem trosk, zawsze umiał on znaleść czas, aby wszystkiemu podołać, a to podołać jak się należy. Przyswoił on sobie urok metody czyli sposobu pracy, który sam już cuda czyni.“ Prócz matematyki nauka w innych przedmiotach, jaką pobierał Jerzy, małe miała rozmiary. Zdaje się, że w szkole onéj nie obznajomiono go nawet z najgłówniejszemi prawidłami języka. Wnosić o tém można z jego zapisków, w których często spotyka się myłki gramatyczne. Ale i w tym względzie świadomość braków i silna wola pokonały wszelkie trudności. Jak ziomek jego Franklin, podobnie i Wasyngton sam sobie był nauczycielem. Pilne zastanawianie się i porównywanie, uważne czytanie dzieł wzorowych, sprawiły, że późniéj ustnie i pisemnie wyrażał swe myśli, czystym i poprawnym językiem. Świadczą o tém pozostałe po nim pisma, w których dowiódł mistrzostwa stylu. Sama nauka języka byłaby go do tego nie doprowadziła; czystość, prostota i prawda, stanowiące jego pisania zalety, były tylko wiernym jego charakteru wyrazem i odbiciem.

Za szczęście uważał sobie młody Wasyngton to, że stosunki jego rodzinne umożliwiły mu częstszy wstęp do kilku wykształconych rodzin. U brata, którego Bóg pobłogosławił szczęśliwém małżeńskiém pożyciem i dostatkiem, bywał często. O kilka mil stamtąd znajdowała się rozległa teścia Wawrzyńcowego posiadłość Belwoar. Właściciel jéj, Wilhelm Fairfax, miał za sobą przeszłość w czyny bogatą. W Anglii urodzony, wcześnie wstąpił do wojska, odbył kilka wypraw wojennych, a późniéj mianowany był przez rząd angielski gubernatorem jednéj z wysp wschodnio-indyjskich. Teraz od lat kilku żył w Wirginii, gdzie przez czas dłuższy sprawował urząd prezesa królewskiéj rady w koloniach. Dom tego doświadczonego i uprzejmego męża, którego rodzinę składało kilku wykształconych i miłych synów i córek, otwarty był także dla Jerzego. Że ten, z natury ciekawy, nie mało się uczył w takiem towarzystwie, to rzecz łatwa do zrozumienia.

Ale jeszcze jednę znakomitą, a oraz zajmującą osobę poznał Jerzy w domu teścia brata swojego. Byłto szlachcic angielski, krewny Fairfaxa, i tegoż co on nazwiska, z którym przez ożenienie się brata spowinowacił się i Jerzy. Lord Fairfax był to mężczyzna blisko sześćdziesięcioletni, wzrostu niepospolitego (przeszło na sześć stóp wysoki) chudy i kościsty, o jasnych oczach, ostrych rysach i orlim nosie. W Anglii odznaczył się był i mieczem i piórem.

W posagu za żoną spadły nań bardzo rozległe posiadłości w Wirginii, a mianowicie cały obszar pomiędzy rzekami Rapahanokiem i Potomakiem, sięgający aż po góry Alegańskie. Tymczasowo zarządzał na życzenie krewnego dobrami temi Wilhelm Fairfax; a dopiéro przed niedawnym czasem przybył sam lord do Wirginii, aby po raz pierwszy zobaczyć na własne oczy posiadłości swe, prawdziwie książęce. Była to puszcza z całym charakterem i urokiem pierwotnych krain amerykańskich, dopiero niedawno wziętych w posiadanie przez Europejczyków. W ogóle cała Wirginia należała do najpiękniejszych w dzisiejszych Stanach zjednoczonych krajów. Góry Alegańskie dzielą kraj, co do rozległości Prusom się równający, na trzy charakterystyczne części: na górzystą ze sławnym naturalnym skalistym mostem, po pod który w głębokości dwustu pięćdziesięciu stóp huczy wśród pionowych skał strumień Cedrowy; na część wschodnią z piaszczystemi i bagnistemi wybrzeżami morskiemi i na urodzajną, falistą część zachodnią, sięgającą po rzekę Ohio. Ziemia téj prowincyi po największéj części nadzwyczaj żyzna. Obfitość bujnych traw żywić może ogromne stada bydła i owiec. Jawor, klon, dąb, orzech, drzewo tulipanowe, lipa, wiąz, jasion, osika, maniola, kasztan, czereśnia i śliwa, po których wije się dzikie wino i inne pnące się rośliny, tworzą prześliczne lasy, obfitujące w rozliczną zwierzynę, a wody w ryby różnego gatunku.

Tak piękną, jaką przybywszy na miejsce, znalazł lord Fairfax, wcale nie wystawiał sobie Wirginii. A ileż to uroku miała praca około przekształcania przestrzeni lasów pierwotnych i ziemi, pługiem nietkniętéj, na obszary żywiące człowieka i służące mu za podstawę do stałych siedlisk, a z niemi i do cywilizacyi! Jakżeż jałowém wydało mu się życie w stolicy ze wszystkiemi sztucznemi przyjemnościami w obec rozkoszy, nasuwających się czynnemu osadnikowi wśród pierwotnego lasu, zwłaszcza że widok osady Wilhelma Fairfaxa pokazywał mu wyraźnie, co z dzikiéj przyrody uczynić może praca i przemysł ludzki. Uczucie, budzące się w duszy na widok usiłowań i pracy ludzkiéj w onych odwiecznych lasach, skreślił Francuz Chateaubriand (Szatobryan) w słowach następujących: „Jakież czarujące połączenie życia społecznego z pierwotnym stanem przyrody! Poza tym pobliskim gajem cyprysowym, pięknéj resztce puszczy nieprzebytéj, spostrzegam obszar ziemi, po raz pierwszy w łan zamienionéj; kłosy chwieją się złotemi falami niedaleko korzeni ściętych dębów; pełny snop, jednego lata dziécię, stoi na

miesjcu powalonego, tysiącletniego drzewa; grube chmury dymu z wypalonych lasów ciągną się po urodzajnych równinach a pług ryje zwolna pomiędzy ich szczątkami swe, pełne znaczenia skiby; miernicy wytykają granice nowéj własności; ptastwo drapieżne opuszcza swe gniazda; jaskinie dzikich zwierząt zamieniają się na przestronne chaty, a każdy odgłos uderzenia siekiery jest jakby proroczém słowem, zapowiadającém błogosławieństwo, które niebawem zapanuje nad temi niwami."

Wśród takich to stosunków postanowił stary, ale jeszcze jary lord Fairfax osiedlić się w pobliżu osady krewnego i nigdy już nie powracać do Anglii; a nim własny zbudował dom, zamieszkał w Belwoarze u krewnego.

Dodać jeszcze należy, że, prócz zapału do zajęć życia osadniczego, nęciła starego lorda niemało i knieja. Był on zapalonym myśliwym; osobliwie lubił polowanie na lisy, w których obfitowały lasy wirgińskie. Okoliczność ta w oczach namiętnego myśliwca nowego dodała krajowi uroku. Wprawdzie jeden jeszcze nasuwał się kłopot. Do wypraw swych myśliwskich stary lord potrzebował towarzysza; ale gdzie tu było znaleść go byłemu oficerowi kawaleryi i zapamiętałemu swego czasu jeźdzcowi? Zkąd w puszczy amerykańskiéj wziąć jeźdzca, któryby był mu dotrzymał miejsca zwłaszcza na pagórkowatych, pełnych zarośli obszarach, po których jeszcze nigdy nie stąpała noga ludzka? Ale i na to znalazła się rada. Czytelnik sobie przypomni, że nasz młodziutki Jerzy z własnego popędu nie zaniedbywał jazdy konnéj, a ponieważ we wszystkiém, czego się tylko jął, starał się doprowadzić do pożądanego skutku, przeto i w jeździe konnéj mało kto z rówieników mógł był mu sprostać. Otóż w nim namiętny, mimo siwizny, myśliwiec znalazł pożądanego towarzysza. Lord zwyczajem panów angielskich miał konie wierzchowe i psy; więc gdy nadeszła pora polowania, Jerzy codzień z rana towarzyszył mu do lasów, a rzadko kiedy wracali do domu bez zdobyczy.

Lord małą tylko cząstkę swych rozległych obszarów widział na własne oczy; a nawet nie miał ochoty przedzierania się przez całą, gdzieniegdzie nieprzebytą puszczę, aby w całości oglądnąć swą posiadłość. Ale natomiast postanowił uczynić jéj pomiary, a to tém bardziéj, że się dowiedział, iż w niektórych jéj stronach osiedlili się osadnicy, wcale prawa do tego nie mający. Otóż już dla uporządkowania na przyszłość stosunków własności ze względu na

dzierzawców jak i osadników sąsiednich, trzeba było dokonać pomiaru posiadłości. Rozchodziło się tylko o pozyskanie zdolnego człowieka, który, oprócz należytéj znajomości rzeczy, posiadałby był w równym stopniu sumienność i rzetelność, a nadto i nie mały zasób odwagi. Lord, Wilhelm Fairfax i Wawrzyniec Wasyngton rozbierali sprawę tę w kółku poufném; a kiedy zastanawiano się nad wyborem miernika, Wawrzyniec przełożył prace miernicze, rysunki i obliczenia, które niedawno wykonał był Jerzy, mierząc posiadłość brata. Narada skończyła się na tém, że lord przypatrzywszy się operatom szesnastoletniego Jerzego, postanowił powierzyć mu pomiary swojéj posiadłości. Jerzy przyjął ofiarowane mu zajęcie, będące dla niego zaszczytnym dowodem zaufania. A nadto nastręczała mu się sposobność wydoskonalenia się w zawodzie. Za pracę, któréj sam już dla wprawy byłby się podjął z ochotą, lord zapewnił mu sowite wynagrodzenie; wynosiło ono według zapisku w dzienniku Jerzego, dziennie dublon, czyli wedle wartości naszych dzisiejszych pieniędzy, przeszło piętnaście zł. reńskich. Poczem Jerzy udał się do matki z prośbą o przyzwolenie. Łatwo pojąć, jaką radością napełniała go sama myśl, że będzie mógł powiedzieć matce o zaszczytnéj i korzystnéj propozycyi; również i to naturalna do odgadnienia, że rozumna matka, ciesząc się zaszczytem syna, chętnie przyzwoliła na zajęcie, nastręczające młodzieńcowi sposobność doświadczenia sił własnych.

III. Trzy lata w puszczy.

Młody Wasyngton był silnéj, prawie atletycznéj budowy ciała, wzrostu wysokiego, co w połączeniu z poważném zachowaniem sprawiało, że wydawał się starszym, aniżeli był w saméj rzeczy. Toteż nikomu nie przyszło na myśl, obchodzić się z nim, chociaż dopiero miał lat szesnaście, jakby z wyrostkiem. Cechowały go powaga, stanowczość, otwartość i skromność.

Na wiosnę 1748 roku udał on się w towarzystwie Jerzego, dwudziestodwuletniego syna Wilhelma Fairfaxa, i sługi murzyna, na swą wyprawę mierniczą. Wszyscy trzej wybrali się konno. Wówczas piękny łańcuch gór Sinych stanowił zachodnią granicę zamie-

szkanéj Wirginii. Góry te trzeba było przebyć, aby się dostać w okolice, w których miał robić pomiary Jerzy. Szczyty gór pokrywały jeszcze śniegi i lody, kiedy doliny pokryła już wiosna rozliczném kwieciem. Przychodziło jeźdzcom naszym przebywać przestrzenie skaliste i gąszcze, aby zdążyć do celu. Największe przeszkody stanowiły potoki górskie, wezbrane wodami tających śniegów. Ale odwaga młodzieńcza i rzutkość pokonały wszelkie trudności. Wąwozem przybyli oni na piękną dolinę, około 25 mil angielskich szeroką, największą w całéj Wirginii. Czystą rzekę, która ją przerzyna, nazwali dla jej piękności Indyanie „córą gwiazd".

Nasz Jerzy z zapałem opisuje w swym dzienniku piękności okolicy. Ale od dnia, w którym rozpoczął pomiary, nie masz już więcéj opisów. Od téj chwili zajmuje go tylko przyjęty na się obowiązek. Rzadko kiedy nasza karawana odpoczywała w chacie leśnego mieszkańca. Jerzy i towarzysze zazwyczaj pod drzewami około rozpalonego ogniska odbywali noclegi. Ptastwo leśne, mianowicie dzikie indyki, stanowiły główne ich pożywienie; kij widłowaty służył za rożen, trzaska za talerz.

Zresztą trzeba było być przygotowanym na spotkanie się z Indyanami; dlatego też Jerzy i towarzysze byli w broń zaopatrzeni. Indyanie bowiem z przyczyn, łatwych do odgadnienia, wcale nie sprzyjali osadnikom. Uważali oni ziemię tę za swą własność, przybyszów zaś białych za rabusiów. Toż z obojéj strony nie brakło okrucieństw. Od czasu przybycia białych do Ameryki północnéj rozpoczęła się na tych wielkich obszarach walka między dwiema, co do usposobień tak nierównemi, rasami. Z jednéj strony pierwotni mieszkańce rasy czerwonoskóréj, zazwyczaj o niestałych siedzibach, głównie żyjący z polowania; z drugiéj przybysze rasy białéj, dawniejsi mieszkańcy Europy, pod względem cywilizacyi stosunkowo już wówczas wysoko rozwiniętéj; przybysze, którzy w znacznéj części uchodząc ucisku i prześladowań w najświętszéj, a tém samém i najdrażliwszéj sprawie, bo w sprawie wiary, szukali nowéj ojczyzny. Byli to więc ludzie zazwyczaj przedsiębiorczy, pełni energii i odwagi, ludzie silnéj wiary i zaufania w siły własne, bo słabi i niedołężni, ludzie małoduszni nie tak łatwo opuszczają jakiekolwiek, ale już gotowe stosunki, jaki taki byt ustalony, aby się rzucić gdzieś w świat tak odległy, nieznany i narażać się na przyszłość niepewną, bo dopiero własnemi siłami, własną dzielnością zgotować ją sobie potrzeba. Od razu więc była już przewaga po stronie przy-

byłych Europejczyków. Dzielność ich i praca torowała im drogę po rozległych, a nietkniętych po one czasy, obszarach, hojnie od stwórcy wyposażonych, które pierwotni mieszkańcy odłogiem pozostawili. A jeśli mędrzec Pański powiada, że „królestwo się przenosi od narodu do narodu dla niesprawiedliwości i krzywd i potwarzy i dla zdrad rozmaitych“, tedy przenosi się ono i dla niedbałości i nieumiejętności korzystania z darów bożych. Toteż i plemiona indyańskie traciły w obec przedsiębiorczych, pracowitych i przemyślnych osadników grunt pod nogami, a same nawet pozbywały się praw do niego, bo zamiast pójść za przykładem obcych i jąć się pracy, ustępowały w lasy i okolice niedostępniejsze, im pozostawując ziemię do uprawy. A kiedy ciągły ruch i praca nader szybko pomnażały ludność białą, liczba Indyan znacznie się zmniejszała. Stosunek rasy jednéj do drugiéj określił niegdyś w oryginalny, ale prawdziwy sposób naczelnik jednego z plemion indyańskich, zwany od Amerykanów „Małym Żółwiem“, w przemowie do białych. „Niepojęta to rzecz — mówił on — dzieje się z tą białą ludnością. Zaledwie przeminęły dwa pokolenia od waszego na naszę ziemię wstąpienia, a już pokrywacie ją jak roje owadów; kiedy my, którzy kto wie jak długo żyjemy na niéj, tak rzadko jesteśmy po niéj rozsiani, jak jelenie, na które polujemy. Prawda, że tylko wy biali rozumiecie także z miejsca, nie większego od mojéj ręki, takie ogromne wydobywać korzyści. Na przestrzeni, piętnaście do dwudziestu razy tak wielkiéj jak ta izba, biały uprawia tyle żywności, że przez cały rok ma z czego żyć zasobnie. Do tego doda jeszcze trochę ziemi porosłéj trawą i ziołami i chowa na niéj swoje bydło, które mu dostarcza mleka i mięsa. Tymczasem my czerwoni ludzie, potrzebujemy ogromnych obszarów, bo jeleń, którego zabijamy, abyśmy zaledwie na dwa dni mieli z niego pożywienie, wymaga ogromnego obszaru ziemi, aby dorósł do należytéj wielkości. A gdy upolujemy dwieście do trzechset jeleni, znaczy to tyle, jak gdybyśmy spożyli wszystką tę trawę i knieję, z któréj one żyją. Biali rozszerzają się jak oliwa na pokryciu, my zaś topniejemy jak śnieg w słońcu wiosennem; a jeżeli wkrótce nie wejdziem na inną drogę, to niepodobna, aby rasa ludzi czerwonych dłużéj się utrzymała.“ Niestety! do wejścia „na inną drogę“ właśnie za mało uzdolnioną okazała się rasa czerwonoskórych.

Jerzy, który dotychczas nie był jeszcze widział Indyan, spotkał raz na swéj wycieczce ich oddział, złożony z około trzydziestu

zbrojnych. Jeden na czele niósł skórę z głowy zabitego nieprzyjaciela jako sztandar. Malutka karawana naszych znajomych w niemałém byłaby się znalazła niebezpieczeństwie, gdyby Indyanie byli ich zaczepili; co byłoby niezawodnie nastąpiło, gdyby mała garstka białych okazała była jakąkolwiek trwogę. Tymczasem mały podarek gorących napojów odwrócił niebezpieczeństwo, a nadto nastręczył im sposobność widzenia tańca wojennego. Indyanie zapalili w środku wielkiego miejsca ogień i obsiedli go dokoła. Naczelnik zaczął opiewać ich ostatnie czyny, przyczem głos i ruchy coraz większéj nabierały żywości. Wojownicy siedzieli z głowami pochylonemi, jakby w marzeniach pogrążeni. Nagle, jakby obudzony porywającym opisem swych czynów bohatyrskich, zerwał się jeden zbrojny i począł dziwny i dziki taniec. Wnet szedł to ten to ów za jego przykładem, a wreszcie największa ich część skakała w szalonych ruchach około ognia, przerażające wydając krzyki i wycia, raczéj do szalejących szatanów niż do istot ludzkich podobni. I muzyki nie brakło przy tém widowisku. Jeden z dzikich bębnił na skórze jeleniéj, naciągniętéj na naczyniu, do połowy wodą napełnionem; drugi potrząsał wydrążoną i wyschniętą dynią, napełnioną ziarnkami śrótu i przyozdobioną końskim ogonem.

Pomiary wykonywał Jerzy z wielką gorliwością; to też po upływie przeszło miesiąca powrócił do Mount Wernon, złożył lordowi Fairfaxowi sprawę ze swych czynności, za które uzyskał wyraz zupełnego zadowolenia.

Wykonaniem należytém pracy mu powierzonéj, młody Wasyngton złożył poniekąd jakby ostatni na inżyniera egzamin. Sława jego w tym zawodzie była ustaloną, a nim skończył rok siedmnasty, otrzymał patent na publicznego inżyniera, którego pomiary uznawały od tego czasu publiczne władze Wirginii. Po nominacyi szły polecenia z różnych stron, a Wasyngton przez trzy lata ciągle był zajęty pomiarami. Jak sumiennie wykonywał swe prace, już i z tego się okazuje, że jeszcze dziś polegają władze i mieszkańcy Wirginii bezwarunkowo na pomiarach, zapisanych pod jego nazwiskiem w księgach urzędowych.

Lord Fairfax poczynił tym czasem przygotowania do osiedlenia się w pięknéj stronie swych rozległych posiadłości poza górami Sinemi. Założył on tam posiadłość z 1000 morgów ornego pola i łąk i nazwał ją Greenvay Court. Największą część mierniczego swego

trzechlecia przepędzał Wasyngton w pięknéj, a jednak tak dzikiéj samotności pierwotnych lasów.

Jakaż sprzeczność z denerwującém życiem wielu młodzieńców po wielkich miastach! Potężne wrażenia pod wpływem pierwotnéj przyrody wzmocniły młodego Wasyngtona i jakby go na duszy i ciele nastaliły. Samotność, cisza wśród lasów wzbudziła w nim najszlachetniejsze uczucia i myśli. W przestankach od pracy spędzał on czas bądź u brata, bądź u jego teścia, bądź u życzliwego mu lorda. Towarzystwo z tymi wykształconymi ludźmi sprawiło, że nie zardzewiał i nie zdziczał wśród samotnego w puszczy życia.

Życie to w puszczy stanowiło bardzo ważny w żywocie naszego bohatyra okres. Była to pierwsza jego w świat rzeczywisty wycieczka; pierwsza próba życia o siłach własnych. Byłto początek samodzielnego życia młodego człowieka. Powierzona mu czynność była zaszczytem dla młodzieńca, który poonczas nie doświadczył jeszcze sił swoich; wzbudziła więc w nim zaufanie do samego siebie, a to spotęgowało mu siły, które wzrastały w miarę postępującéj pracy. Praca należycie wykonana zjednała mu uznanie, zaczem poszło nadanie mu publicznego stanowiska. Była to prawdziwa szkoła życia, którą przeszedł młody Wasyngton i w któréj będąc przeważnie sam z sobą, dojrzał i na męża samodzielnego; wszystko bowiem, jak okazuje żywot jego dotychczas skreślony, zawdzięczał głównie samemu sobie, swéj pilnéj i sumiennéj około własnego wykształcenia pracy. Wszak, jakeśmy widzieli, szkoły, w których się uczył, dały mu tylko szczupły zapas nauki; pomnożył on go do znacznych rozmiarów tylko własnysh sił wytężeniem. Jakaż to wymowna, dla ciebie, młody czytelniku, skazówka! Jaki zachęcający przykład! Nie spuszczaj się więc na szkołę, która powinna być dla ciebie tylko pomocą; wytykać ci tylko drogi i wskazywać środki; ty zaś używaj sił własnych, łam się z trudnościami; bo tym tylko sposobem nabyć możesz nauki, która będzie twoją własnością na cały żywot, a nie pożyczką, którą nim się spostrzeżesz, w krótkim czasie zmarnujesz, boś na grosz sam nie zapracował.

Pobyt trzechletni w puszczy pod innym jeszcze względem wielkie miał mieć znaczenie w życiu Wasyngtona Czyż mógł młodziutki miernik pól przeczuwać, że nadejdzie niezadługo czas, w którym te same okolice przyjdzie mu przebywać jako wojownikowi, ba jako naczelnikowi sił zbrojnych, walczących w obronie świętych praw

ojczyzny przeciw uciskowi i gwałtom zaślepionego i wiarołomnego rządu Wielkiéj Brytanii! Znajomość pola, na którém toczyć się ma walka, zawsze bardzo wielkie, jeśli nie największe, ma dla stron wojujących znaczenie. Młody Wasyngton rozmierzał teraz jako inżynier przyszłą widownią swych działań wojennych!

IV. Wysłannik.

Ten tylko człowiek wart żyć na świecie, który z życia swego ciągle godziwy czyni użytek. Kto postępuje inaczéj, ten właściwie nie żyje, a przynajmniéj, nie w tém znaczeniu, w jakiém zadanie życia powinien pojmować człowiek, na podobieństwo boskie stworzony. Kto życie pojmuje po ludzku, ten nie zagrzebie danego mu talentu, czyli sił mu udzielonych; owszem nieustannie rozwijać je będzie na swój i współbraci pożytek; tylko czynność w tym kierunku wyciśnie na żywocie ludzkim godne pochodzenia jego piętno; tylko życie tak spędzone staje się wymownym mądrości wyrazem.

Jerzy Wasyngton miał teraz lat dziewiętnaście; a już mimo tak młodego wieku ziomkowie wysokie o jego męskiéj dzielności i rozwadze mieli wyobrażenie. Dowodzi tego zdarzenie, o którém właśnie wspomniemy.

Granice Wirginii niepokoili często napadami Indyanie i Francuzi. To spowodowało rząd kolonii do postawienia obrony krajowéj na stopę zbrojną. Na ten cel podzielono Wirginią na okręgi wojenne, a na czele każdego postawiono naczelnika w stopniu majora z tytułem generalnego adjutanta i rocznym żołdem w kwocie studwudziestu funtów szterlingów *). Obowiązkiem naczelnika okręgu było wyćwiczyć należycie zdolną do broni ludność w służbie wojskowéj.

Uczciwe imię, na które był już sobie zasłużył Jerzy Wasyngton, sprawiło, że i jemu poruczono urząd jeneralnego adjutanta. Stanowisko to odpowiadało tak bardzo skłonnościom, obudzonym, jak wiemy, już w zaraniu jego młodości. Ale przyjmując urząd, Wasyngton zrozumiał całą jego ważność a swą odpowiedzialność. Toteż zaraz zwrócił całą swą usilność na przyswojenie sobie od-

*) Funt szterlingów znaczy dziesięć złr. w monecie srébrnéj.

powiednich nowemu stanowisku wiadomości. Pod kierownictwem brata i kilku innych oficerów, którzy znali już służbę wojskową z własnego doświadczenia, uczył się sztuki wojskowéj i ćwiczył w używaniu broni. Tym sposobem przygotował się do zawodu, w którym miał zajaśnieć znaczeniem i sławą.

Nim jednak nadarzyła się sposobność do okazania na tém nowém polu dzielności, przyszło Jerzemu wyświadczyć bratu Wawrzyńcowi boleśną przysługę. Wawrzyńca trapiła choroba piersiowa; lekarze radzili mu pobyt w łagodniejszym klimacie Indyi zachodnich. Chory pragnął towarzystwa Jerzego, a ten bratu, którego od najmłodszych lat tak bardzo kochał, niczego nie byłby odmówił. Toż w jesieni 1751 odpłynęli obadwa, a dopiero następnego lata powrócili do domu. Jerzy w podróży téj wzbogacił umysł nowemi wrażeniami i doświadczeniami, ale przywiózł ze sobą i obawę o życie drogiego mu brata. I sam Wawrzyniec nie łudził się nadzieją odzyskania zdrowia, a wracał do domu jedynie dlatego, aby, skoro ostatnia wybije godzina, przynajmniéj spocząć na wieki w ziemi rodzinnéj. Jakoż umarł niezadługo po powrocie, opłakiwany od wszystkich, którzy bliżéj znali piękne jego charakteru zalety. Zmarły pozostawił wdowę i córeczkę; w testamencie postanowił Jerzego wykonawcą ostatniéj swéj woli, przeznaczając mu część znacznego swego majątku. Posiadłość Mount Wernon zapisał córce, a na przypadek jéj śmierci, Jerzemu. Wdowa miała zabezpieczone dożywocie.

Zaledwie uporządkował Jerzy sprawę spadku po bracie, wnet zwrócił się ku obowiązkom wojskowego swego zawodu. Gubernator angielski Dinwiddie podzielił tymczasem Wirginią na cztery główne okręgi i oddał jeden z nich dwudziestoletniemu Wasyngtonowi z obowiązkiem należytego przysposobienia tak oficerów okręgów mu wyznaczonych, jak i żołnierzy do tego wszystkiego, czego wymaga dobrze urządzona służba wojskowa. Byłto nowy i zaszczytny dowód zaufania w zdolnościach i sumienności dwudziestoletniego młodzieńca. Gubernator Dinwiddie nie bez ważnéj przyczyny zaprowadził ten nowy podział Wirginii i tém gorliwiéj usiłował wznieść na wyższy stopień uzbrojenie milicyi krajowéj. Wszczął się bowiem był spór między Anglią a Francyą o urodzajny obszar kraju, rozciągający się między rzeką Ohio a górami Alegańskiemi. Gubernator angielski uważał go za własność Wielkiéj Brytanii, francuski gubernator Kanady z prawami Francyi wystąpił. Obie strony starały się pozyskać dla siebie Indyan, bądź to na tym obszarze osiedlonych,

bądź zamieszkałych na pograniczach, aby z rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich mieć w nich sprzymierzeńców.

Każda strona popierała swe roszczenia do owéj ziemi prawami; trudno jednak byłoby stanowczo orzec, która miała za sobą słuszność. Ale żadna nie myślała ustąpić; owszem gotowała się do walki.

Tém się też tłómaczy usiłowanie angielskiego gubernatora postawienia tém rychlejszego milicyi na stopie wojennéj. Z Anglii wydano rozkaz założenia nad rzeką Ohio dwóch warowni. Ale kiedy pismo, rozkaz ten zawierające, znajdowało się jeszcze na oceanie, Francuzi zajęli już część spornéj ziemi. Gubernator angielski postanowił więc wysłać do dowódcy francuskiego pośrednika, raz, aby ostatecznie spróbować zgodnego załatwienia sprawy, powtóre, aby powziąć języka o siłach i stanowiskach nieprzyjaciela.

Do spełnienia tego zadania gubernator wybrał młodego Wasyngtona, uważając go za najodpowiedniejszego do załatwienia tak trudnéj sprawy. Chodziło bowiem o przebycie 560 mil angielskich drogi, i to po największéj części po okolicach albo całkiem bezludnych, albo zamieszkanych przez plemiona indyańskie, o których usposobieniu żadnéj nie było pewności. Po rokowaniach spodziewano się zaś pożytku tylko w razie rozważnego i odważnego ich prowadzenia.

Wasyngton pojmował wprawdzie dobrze trudność zadania, wszelako nie wymawiał się od jego spełnienia. Toż zaraz przysposobił się do podróży. Za towarzyszy wziął swego nauczyciela fechtunku, tłómacza i czterech nadgranicznych mieszkańców, między tymi dwóch indyańskich handlarzy. W słotnym Listopadzie 1753 udał się w podróż. Burze i zawieje śnieżne nie mało dały do czynienia małéj drużynie. Trzeba było w bród przebywać potoki, a rzeki przepływać na tratwach, na prędce zbijanych. Zbliżywszy się do celu podróży, zetknęli się nasi podróżni z Indyanami, sprzyjającymi Anglikom. Jeden z ich naczelników opowiadał im, jak dowodził francuskiemu dowódcy błahości roszczeń francuskich i bezprawnego zajęcia ziemi. Rozumie się, że Indyanin nie miał owéj mowy napisanéj, ale za to pamiętał ją dosłownie i powtórzył Wasyngtonowi. Przełożoną przez tłómacza na język angielski, Wasyngton zapisał do pamiętnika. Mowy téj charakterystycznéj, skierowanéj do francuskiego dowódcy, część tu przytoczymy. „Wy to, ojcowie — mówił Indyanin — naruszacie pokój w kraju; bo przychodzi-

cie i budujecie sobie miasta i zabieracie ziemię. Ojcowie! przed niedawnym czasem zapaliliśmy ogień u miejsca, które się zowie Montreal, i prosiliśmy was, abyście zostali; a nie szli daléj i nie napadali na ziemię naszę. Otóż proszę was, wróćcie na ono miejsce. Albowiem czynię wam wiadomém, że to jest nasza ziemia, a nie wasza. Ojcowie! proszę was, słuchajcie mnie uprzejmie; w przeciwnym bowiem razie będziem zniewoleni użyć rózgi, która tu leży na burzycieli pokoju. Gdybyście byli przyszli w pokoju, jak nasi bracia Anglicy, nicbyśmy nie mieli przeciw temu, aby wejść z wami, tak jak z nimi, w stosunki handlowe; ale ojcowie! przychodzicie i budujecie sobie domy na naszéj ziemi i gwałtem ją nam zabieracie, czego ciérpieć nie możemy. Wy jesteście biali, ojcowie! Anglicy także tacy; żyjemy w kraju między wami i nimi; dla tego też kraj ten jest naszą własnością, a nie waszą ani téż ich. A dał go nam Wielki Duch, abyśmy w nim mieszkali; dlatego proszę was, ojcowie, abyście się cofnęli; prosiłem także braci naszych Anglików, aby to samo uczynili; bo nie chcemy mieć was na karku. Słowa te tu wam przekładam, aby was i ich wybadać i dowiedzieć się, kto z was więcéj ma dla nas życzliwości; z tym też chcemy trzymać, a ten niech ma z nami część równą. Nasi bracia Anglicy, słyszeli to; teraz więc przychodzę, aby wam to samo powiedzieć; bo wcale się nie boję, wypędzić was z tego kraju.“ Naczelnik ten dodał jednak, że kilka plemion sprzyja Francuzom.

Po kilku dniach wypoczynku u Indyan Wasyngton ruszył daléj. Sześć tygodni trwała ta nader uciążliwa i niebezpieczna podróż do siedziby dowódcy francuskiego, położonéj w północnéj stronie rzeki Ohio. Francuz przyjął Wasyngtona uprzejmie; odmówił jednak, skoro się dowiedział o celu jego poselstwa. wszelkiego rozbioru spornéj sprawy, oświadczywszy, że jako żołnierz winien tylko wykonywać rozkazy swego rządu. Wobec takiego obrotu rzeczy Wasyngton miał już tylko spełnić drugą część swego zadania t. j. przeświadczyć się o siłach francuskiéj załogi i stanie warowni.

Obznajomiwszy się, ile tylko można było, pod tym względem ze stanem rzeczy, wracał nasz wysłannik do domu. Powrót ten równie był uciążliwy i niebezpieczny. Kilkakrotnie zaledwie uszli zasadzek Indyan, Francuzom sprzyjających. Przez całe tygodnie odbywali noclegi pod gołém niebem, na ziemi śniegiem pokrytéj. Raz o mało nie utonął Wasyngton w nurtach rwącéj rzeki. Wspomina on o tém w swym dzienniku: „Tylko na tratwie można się było

przeprawić przez rzekę; jedyną i tą lichą siekierą, jakąśmy posiadali, wzięliśmy się do roboty z rana, a skończyliśmy ją po zachodzie słońca. Praca natężona całodzienna zaledwie wystarczyła na przyrządzenie tratwy. Zepchnąwszy ją zaraz na wodę, odbiliśmy od brzegu. Ale na środku rzeki ugrzęźliśmy tak mocno wśród lodów, żeśmy co chwila oczekiwali zatonięcia tratwy a z nią i naszéj śmierci. Drągiem, który mi wiosło zastępował, próbowałem dna i i chciałem wstrzymać tratwę, aby przepłynęły kry; ale prąd rzeki taką siłą uderzył o drąg, żem wpadł w wodę. Na szczęście chwyciłem się pnia z tratwy sterczącego i to mnie ocaliło. Mimo wszelkich usiłowań nie mogliśmy do żadnego dobić brzegu; nic więc nie pozostawało jeno na bliskiéj wysepce szukać schronienia, a tratwę zdać na wolą prądowi.“ Po takich przejściach noc na pustéj wyspie do przyjemniejszych zaliczyć trudno. Ba odcięci od lądu nie mogli nawet spodziewać się za dnia ratunku. Ale na szczęście znalazł się ratunek, o jakim wcale nie myśleli. Kry zwarły się po jednéj stronie wysepki w silny wał, po którym wreszcie na ląd dostali się nasi podróżni.

W połowie Stycznia 1754 Wasyngton wrócił do kraju, a już nazajutrz zdał gubernatorowi z misyi swéj sprawę.

V. Pierwsze czyny wojenne.

Z wypadku rokowań okazało się jasno, że Francuzi postanowili niezłomnie, bronić praw swych, użyciem siły zbrojnéj. Toż w takich okolicznościach gubernator angielski uważał za rzecz nieodzowną, uprzedzić nieprzyjaciela i bezzwłocznie rozpocząć walkę; wszelka bowiem zwłoka, pozwalając korzystać z czasu i pomnażać siły, przynosiła korzyść przeciwnikowi. W tym celu zwołał reprezentantów Wirginii, a przełożywszy swój plan, nastawał na spieszne jego wykonanie. Ci jednak z początku chłodno przyjęli propozycye. Odzywały się głosy, że prawa Anglii do korony nad Ohiem położonéj, bądź co bądź, bardzo są wątpliwe. A jeżeli król angielski zamierza popierać swe prawa, tedy niech przyszle żołnierzy z Anglii. W końcu jednak przyzwolili 10.000 funtów na zaciąg żołnierzy.

Wasyngton okazał był w wykonaniu poruczonéj mu misyi tyle pod każdym względem zalet tak rozumu jak charakteru, że gubernator nie wahał się ofiarować mu naczelnego nad wojskiem dowództwa; wszelako zaszczytu tego Wasyngton nie przyjął, „gdyż była to wielka na jego młodość i brak doświadczenia odpowiedzialność.“ Gubernator mianował więc naczelnikiem angielskiego pułkownika Jozuego Fry, wykształconego i doświadczonego oficera; Wasyngton zaś uległ namowie i przyjął pod nim stopień drugiego dowódzcy z tytułem podpułkownika.

Wkrótce potém wojsko wyruszyło. Wasyngton dowodził przednią strażą, złożoną tymczasem tylko z trzech kompanii. Na pograniczu nad Ohiem nadarzyła mu się sposobność, pierwszą, i to świetną, odbyć próbę ogniową. Napadł bowiem znienacka na oddział ochotników francuskich, wysłany dla zastąpienia mu drogi, i zniósł go do szczętu. Jeden tylko Francuz ocalił się ucieczką, reszta bądź poległa, bądź do niewoli się dostała. Indyanie mieli udział w walce przeciw Francuzom. Jak bardzo pierwsze to powodzenie ożywiło wojenny Wasyngtona zapał, okazuje list pisany w kilka dni po zwycięstwie do gubernatora. „Wasza Ekscelencya — pisze on — możesz się na to spuścić, że nie dam się z nienacka napaść Francuzom, niech sobie przychodzą, z któréjkolwiek strony im się podoba. To przyrzekam i z wszelką pewnością przyrzeczenia dotrzymam. Ale i zresztą nie pożałuję najrzetelniejszych usiłowań, abym jeszcze czegoś więcéj dokonał Jeżeli Pan usłyszysz, że mnie pobito, tedy nie wątpię, iż się równocześnie dowiesz, żeśmy spełnili swój obowiązek i dopótyśmy walczyli, dopóki był jeszcze cień nadziei.“
W tym czasie umarł nagle wódz naczelny Fry. Gubernator po raz wtóry ofiarował naczelne dowództwo Wasyngtonowi, a ten, nabrawszy z pierwszego powodzenia otuchy i zaufania we własne siły, tym razem usłuchał zaszczytnego wezwania. Pochód dalszy odbywał się wśród znacznych przeszkód. Z wojskiem angielskiem połączyło się wiele rodzin indyańskich; mężczyzni oddawali dobre usługi, śledząc ruchów i stanowisk nieprzyjaciela; pomoc ich w boju małoco była warta. Ale nie brak było między nimi i takich, których, jak się późniéj okazało, wysłali Francuzi na zwiady. Wojsko przechodziło teraz przez górską okolicę. Konie, których stosunkowo mało było, po drodze ustawały; przyszło więc żołnierzom nietylko dźwigać znaczne ciężary, lecz i naprzemian ciągnąć działa. Wódz pokrzepiał oficerów i żołnierzy słowem i przykładem; koń jego dźwigał zapasy

wojenne, on sam szedł obok niego piechotą. Po marszu kilkudniowym Anglicy stanęli w miejscu, w którém z dawniejszych czasów były podupadłe okopy. Wojsko było do najwyższego stopnia znużone i z sił opadało. Od kilku dni nieustannie lał deszcz, od tygodnia całkiem już chleba zabrakło. W takich tedy okolicznościach Wasyngton postanowił wypocząć dni kilka w oném obozowisku i czekać na dowóz żywności. Tu znaczniejszemi siłami uderzyli na niego Francuzi. Zaledwie świtać poczęło, kiedy nieprzyjaciel, zakryty lasem, rozpoczął ogień na obóz angielski. Wasyngton, gotów do boju, wyprowadził wojsko na równinę. Ale Francuzi utrzymywali dalszy ogień z ukrycia i jak się okazało, mimo liczby przeważającéj, nie myśleli o opuszczeniu swego korzystnego stanowiska; przeciwnie widocznie chcieli Anglików zwabić do lasu; co spostrzegłszy zaraz Wasyngton i w porządku cofnąwszy się do obozu, kazał oszczędzać nabojów, a strzelać tylko w razie dostatecznéj pewności skutku. Francuzi, wzmocnieni posiłkami Indyan stali na wzgórzu, gęsto zarośniętém, skąd przez cały dzień żywy utrzymywali ogień. Tymczasem lał bez ustanku deszcz; rowy okopów napełniły się wodą, broń palna coraz bardziej odmawiała usługi. Pod wieczór Francuzi dali znać, że chcą wejść w układy. Wasyngton sądząc, że nieprzyjacielowi chodzi tylko o rozpatrzenie się w jego obozie, nie przyjął wezwania. Dopiero, kiedy po niejakim czasie Francuzi powtórzyli życzenie układów i zaproponowali, aby wódz angielski wysłał do nich oficera, za którego bezpieczeństwo ręczą honorem wojskowym, Wasyngton przystał na układy, które się skończyły honorową dla Anglików kapitulacyą. Rzeczywiste, a nader przykre swe położenie — brakło bowiem prawie zupełnie żywności i amunicyi — Wasyngton umiał pokryć stanowczą wojenną postawą i dzielną obroną. Gdyby bowiem Francuzi byli wiedzieli, w jakim stanie znajdowały się okopy obozu, około których naprawy nic nie było można uczynić, niezawodnie nie byliby przystali na kapitulacyą; Wasyngtona zaś przy dalszym oporze czekała zguba nieochybna. Nazajutrz rano wyszli Anglicy z honorami wojskowymi z okopów, które po nich zajęli Francuzi. W tém przykrém położeniu uczynił Wasyngton i osiągnął wszystko, co tylko najlepszego można było osiągnąć; toteż wojsko, gubernator i izba reprezentantów wyrazili mu zupełne uznanie.

Jedna sprawa zajmowała nieustannie już podczas wyprawy Wasyngtona, któréj jednak nie powiodło mu się wówczas doprowa-

dzić do należytego załatwienia. Był nią nierówny wojska angielskiego i zaciągniętych w Wirginii żołnierzy żołd. Wojko królewskie pobierało wyższy, zaciągi krajowe żołd znacznie niższy. Byłoto oczywiste i pokrzywdzenie i upośledzenie wojska krajowego, które podczas wyprawy z prawdziwie bohatyrskiém biło się męstwem i doło dowód wielkiéj, mimo niedostatków, wytrwałości. Po skończonéj wyprawie były wódz na nowo poruszył tę sprawę, domagając się słusznego jéj załatwienia; a kiedy temu nie uczyniono zadość, a w niektórych innych sprawach różniły się zdania wodza i gubernatora, Wasyngton wystąpił ze służby wojskowéj.

Ale niedługo pozwolono my żyć w zaciszu życia prywatnego. W roku następnym przybyły pod dowództwem jenerała Bradoka dwa dobrze uzbrojone angielskie pułki, a Wasyngton wezwany, przyjął znów stopień pod dowództwem Bradoka. O pobudkach, które go do tego skłoniły, oświadczył on się całkiem otwarcie przed jednym z przyjaciół swoich. „Nieradbym, aby mi brano za złe, jeżeli sądzę, że zasługuję na jakie takie uznanie, a to z tego względu, iż jedyną pobudką wstąpienia napowrót do służby była tylko godziwa chęć służenia mojéj ojczyźnie, a nie ani ambicya, ani chęć zysku. Spodziewam się, że i to może posłużyć za dowód mego twierdzenia, iż mam w nowéj wyprawie udział jako ochotnik bez widoków wynagrodzenia i dowództwa; jestem bowiem silnie przekonany, że to nie jest w mocy generała Bradoka, dać mi stopień, który mógłbym przyjąć.“

Niebawem nastąpiła wyprawa nad Ohio. Siły były tym razem daleko lepsze; skutek byłby niezawodnie pomyślniejszy, gdyby odważny osobiście jenerał Bradok miał był więcéj rozwagi, a przynajmniéj słuchał choć trochę rad dobrych. Ale dzielny rębacz, jak to takich nazywają w wojsku, lekceważąc sobie przeciwnika, był pewien siebie; wiódł więc swe bataliony przy odgłosie muzyki, jakby na plac przeglądu i popisu. Zasięganie języka uważał nie za ostrożność, lecz za wyraz tchórzostwa. Totéż tem śmieléj i gęściéj zwijali się naokoło nieprzyjaźni Anglikom Indyanie, a niebawem Francuzi znali dokładnie i ich siły i kierunek pochodu. Nareszcie dnia 9go Czerwca wpadł Bradok z wojskiem w zasadzkę, z któréj Francuzi z Indyanami połączeni, zająwszy stanowisko ubezpieczone, straszny rozpoczęli ogień. Największa część przedniéj straży angielskiéj poległa, samych oficerów dwudziestu sześciu. Większa jeszcze ilość była rannych. Sam jenerał Bradok lekkomyślną pewność siebie

życiem przepłacił. Prawie cudem wyszedł cało z téj klęski Wasyngton. Dopóki żył jeszcze Bradok, on roznosząc jego rozkazy, był wszędzie na miejscach najbardziéj zagrożonych, przelatując, co koń wyskoczył, z jednego na drugie. Gdy wódz naczelny poległ, Wasyngton usiłował odwrócić niebezpieczeństwo, gdzie było najgroźniejszém. Często poznawali go nieprzyjaciele jako niebezpiecznego przeciwnika, który swoim dodawał i słowem i czynem ducha i zachęty. Kupa Indyan, która właśnie przez czas dłuższy wzięła go na cel gęstych strzałów, w końcu zaprzestała ognia, wierząc iż strzały ich dobrze celowane, dla tego tylko okazały się bezskutecznymi, że Wielki Duch wziął tego człowieka w swą osobliwszą opiekę. Jeden z ich naczelników sam to potém opowiadał. Ale i Wasyngton oddawał cześć Bogu, pisząc do przyjaciela: „Wszechmocna Opatrzność ochroniła mnie, że wbrew wszelkiemu ludzkiemu oczekiwaniu, wyszedłem cało; bo cztery kule przedziurawiły mi mundur, dwa konie padły podemną od kul, a przecież zostałem nietknięty, kiedy śmierć słała na około mnie moich towarzyszów.“ Jego też odwagi i rozwagi dziełem było ocalenie przynajmniéj części wojska; toż w całym kraju jednogłośnie uznano jego dzielność. Hołd ten zasłudze oddał nawet jakiś kaznodzieja z kazalnicy kościelnéj w te odezwawszy się słowa: „Jako tego, który odznaczył się przy téj sposobności, winienem wymienić jeszcze bohatyrskiego młodzieńca, pułkownika Wasyngtona, i mam to przekonanie, iż Opatrzność ochraniała go i ocaliła w tak widoczny sposób, aby jeszcze znaczne usługi oddał swéj ojczyznie.“

Wasyngton zamieszkał w majątku wiejskim Mount Wernon, którego po zmarłéj tymczasem córce brata, stosownie do tegoż ostatniéj woli, stał się właścicielem. Zatrzymał jednak stopień i stanowisko jeneralnego adjutanta i zajął się gorliwie milicyą swego okręgu, aby przez stosowne ćwiczenia i urządzenia przysposobić ją coraz lepiéj pod względem wojennym. Zresztą sprzyjało temu i powszechne prowincyi usposobienie; klęska bowiem Bradoka obudziła obywateli Wirginii z dawniejszéj nieczynności i obojętności; powszechnie więc uznawano, że nie godzi się skąpić ani pieniędzy, ani ludzi zbrojnych, jeżeli ma się zażegnać coraz groźniejsze niebezpieczeństwo wojny. A ze wszech stron jeden tylko dał się słyszeć głos co do naczelnego dowództwa; mówiono tylko o Wasyngtonie. Matka jego, wcale nie należała, jak to czytelnik przedtem już poznał, do rzędu owych niewiast zbyt tkliwego serca, które na

samę myśl o lada jakiem niebezpieczeństwie drżą z przerażenia i starają się wszelki zaród męstwa stłumić w piersi synów. A jednak żywa pamięć niebezpieczeństw, na jakie syn w ostatniéj wyprawie był narażony, zachwiała i tém mężném sercem macierzyńskiém; prosiła go więc wśród łez matka, aby na zawsze porzucił zawód wojskowy. Kochający syn starał się ją uspokoić ufnością w Boga, który jest panem życia i śmierci; poczem dodał: „Jeżeli głos powszechny kraju zażąda odemnie przyjęcia dowództwa, a rząd skłoni się do oddania mi go pod odpowiednimi warunkami, tedy odmowę uważałbym za wstyd, co i tobie matko sprawiłoby większą przykrość, aniżeli, gdy zaszczycony naczelném dowództwem, ruszę na pole bitwy.“ Ale bezwarunkowo Wasyngton nie myślał przyjmować tak ważnego, a bardzo trudnego stanowiska. Wziąwszy należycie cel i środki na uwagę, zażądał głosu stanowczego w wyborze oficerów, punktualnéj wypłaty żołdu, i zupełnego przekształcenia według zasad, przez niego podanych, sposobu zaopatrywania potrzeb wojska. Warunki te przyjęto; a skutek niebawem okazał ich praktyczność. Późniéj uzyskał Wasyngton w izbie reprezentantów ustawę, nadającą sądom wojennym prawo karania buntowników i zbiegów, a nawet na gry, pijatyki, przekleństwa i rozpustę stosowne nałożono kary. Ale uzyskanie tego wszystkiego nie było rzeczą tak łatwą, jakby się na pozór mogło wydawać. Potrzeba było nieugiętéj stałości Wasyngtona, aby doprowadzić nietylko do uchwalenia, lecz i do wykonania ustaw wymienionych. Co do operacyi wojennych, wódz naczelny założył sobie przedewszystkiém wyprzeć Francuzów z warowni Duquesne nad Ohiem położonéj, co mu się rzeczywiście powiodło. Zajęcie téj warowni wyparło Francuzów z posiadania krainy nad Ohiem; a Wasyngton wywiązał się tém samém z ostatniéj i najtrudniejszéj części swego zadania, które go kosztowało kilka lat pracy o niezwykłém sił wytężeniu. Plemiona czerwonoskóre, z Francuzami sprzymierzone, przybyły do zwycięzców ofiarując pokój, który też z niemi zawarto. Doprowadziwszy sprawę do tych pomyślnych wypadków, Wasyngton złożył naczelne dowództwo i wrócił do zagrody domowéj.

VI. Lata pokoju.

Bohatyr nasz miał lat dwadzieścia siedm, kiedy wracał na Mount Wernon z nadzieją i pragnieniem zgotowania sobie zaciszнego domowego ogniska. Jakoż Bóg go pobłogosławił, dając mu towarzyszkę życia w osobie równéj mu przymiotami duszy. Połączył on się ślubem małżeńskim z Martą Kustis, młodą wdową, matką dwojga miłych dzieci, syna sześcioletniego i czteroletniéj córeczki. Do majątku męża, który już po śmierci jego synowicy spadkiem posiadłości Mount Wernon znacznie się był powiększył, żona przyniosła w posagu około ćwierć miliona złr. Wasyngton nie miał dzieci własnych, ale natomiast pasierbów swych kochał jakby własne dzieci i z całą ojcowską troskliwością niemi się zajmował. „Spodziewam się — pisał on zaraz po ożenieniu się do przyjaciela — że w zaciszu życia domowego znajdę większe szczęście, aniżeli kiedykolwiek doznałem go na widowni wielkiego świata wśród odmętu spraw różnorodnych.“ Duch jego zawsze czynny ułożył sobie plan przyszłego domowego życia. Skłonność osobista ciągnęła przedewszystkiem do rolnictwa i ogrodnictwa. Prócz tego postanowił nie zaniedbywać najszlachetniejszych zatrudnień ducha: sztuki i nauki. Ale już w kilka miesięcy po ożenieniu się widzimy go na widowni publicznéj, a to w Wiliamsburgu, siedzibie reprezentacyi prowincyi, gdzie deputowani kolonii odbywali obrady. Wasyngton nie starał się o mandat; ani nawet — i to wbrew panującemu w koloniach zwyczajowi — nie szukał stosunków i porozumienia się z wyborcami. Jedynie powszechne zaufanie, jakie w nim pokładano, skierowało uwagę kraju na niego i wyboru dokonało. Plan więc pięknie ułożony swobodnego na łonie rodziny życia, który sobie niedawno jeszcze kreślił nasz z naczelnego wodza osadnik, znów w głąb musiał się usunąć; pragnienie osobistego szczęścia ustąpić musiało poważnemu głosowi obowiązku względem dobra publicznego; patryota Wasyngton zwyciężył osadnika na Mount Wernon; dla sumiennego obywatela wybór nie był trudny.

Niechaj ten kogo sobkostwo zamroczy,
W oziębłém sercu żywi zachcenia;
Kto zaś jak gwiazda przed drugimi kroczy,
Niech gotów będzie do poświęcenia!

Jego zaś najbliżsi mogli się pocieszać, że posiedzenia sejmu trwały w roku zazwyczaj tylko kilka miesięcy.

Kiedy wybór Wasyngtona podano do wiadomości izby, ta postanowiła za pierwszém jego zjawieniem się w sali powitać go uroczyście. „Polecono marszałkowi, panu Robinsonowi — pisze jeden z współczesnych — aby pułkownikowi Wasyngtonowi wyraził w imieniu kolonii podziękowanie za znakomite usługi, które w wojnie ukończonéj oddał ojczyznie. Skoro pułkownik Wasyngton zajął miejsce, Robinson z wielką godnością wywiązał się z danego mu polecenia; ale popędowi serca i gorącemu uczuciu folgując, dał się unieść zapałowi i w tak gorących przemówił wyrazach, że młody bohatyr nadzwyczajnie się zmieszał. Powstawszy z miejsca, aby podziękować za okazany zaszczyt, tak bardzo był zakłopotany, a dreszczem silnym przejęty, że ani słowa wyrzec nie zdołał. Poczerwieniał, zająknął się i zamilkł. Z kłopotu tego wybawił go marszałek z tą przytomnością ducha i zręcznością, jaka byłaby uczyniła zaszczyt Ludwikowi XIV w najwspanialszych i najszczęśliwszych chwilach życia. „Usiądź panie Wasyngton — rzekł on z łagodnym uśmiechem — skromność twoja równa się męstwu twojemu; a to przewyższa wszelką pochwałę, jaką zdołałbym wyrazić w słowach.“

Nieraz już uczyniono spostrzeżenie, że właśnie znakomici ludzie, kiedy poraz pierwszy mówić mieli wobec liczniejszéj publiczności, nie mogli się pozbyć nieśmiałości i zakłopotania. Jakaż temu przyczyna? Oto ludzie, duchem wyżsi, wiedzą, ile to pracy i doświadczeń potrzeba, aby nabyć wiadomości dokładnych i ustalić sobie zdanie; skromni więc w ocenianiu własnych sił, tém wyżéj cenią i rozum i doświadczenie ludzi w znacznéj liczbie zebranych, kiedy wysokie o własnych zdolnościach wyobrażenie, a lekceważenie duchowego zasobu słuchaczów, łatwo pociąga za sobą wystąpienie zbyt pewne siebie, a czasem nawet zuchwalstwem trącące. Toż owa głębszym naturom właściwa nieśmiałość tylko zwolna ustępuje. Tak się więc rzecz miała i z Wasyngtonem. Wprawdzie nie stał on się nigdy mowcą o świetnéj i porywającéj wymowie, ba nawet mowy we właściwém znaczeniu nie miał; mimo to wpływ jego i działanie jako deputowanego nadzwyczajne miało znaczenie. Z tą samą sumiennością, jaką widzieliśmy we wszystkich dotychczasowych jego czynnościach, zastanawiał się nad sprawą, o któréj radzić miała izba. Żywe poczucie obowiązku łączyło się u niego z żywém usiłowaniem rozszerzania duchowego swego widnokręgu rzetelną pracą. A ponieważ odznaczał się wielką bystrością sądu i obrad sobie nie lekceważył, lecz słuchał całego ich toku z wiel-

kiém zajęciem i uwagą, przeto każde jego, zazwyczaj krótkie przemówienie, zawsze prawie przyczyniło się do wyjaśnienia sprawy i znaczny wpływ wywierało na jéj ostateczne załatwienie. Ile razy zabrał głos, mówił prosto, bez wszelkich ozdób krasomowczych; nigdy bowiem nie gonił za pozorami, lecz rzecz samę miał na względzie. Zaczém poszło, że nieraz kilka ściśle do przedmiotu odnoszących się uwag wystarczyło do nadania tokowi obrad zupełnego obrotu. Gdy wstał, aby przemówić, wszyscy z natężoną uwagą oczekiwali słów jego. „Jakiego zdania jest Wasyngton w téj lub owéj sprawie?“ pytanie to często można było słyszeć w kołach deputowanych. Pałał on gorącą chęcią i na tém polu działania służyć rzetelnie i na pożytek ojczyzny. Wyrażało się to w całém jego jestestwie, w całém zachowaniu się i zewnętrznem nawet wystąpieniu; bo nigdy nie widziano w nim chociażby tylko pozoru lekkości. Prawie nigdy nie spóźnił się na posiedzenie, nigdy go też przed zamknięciem obrad nie opuścił. Więc i w tém mąż ten na wskróś szlachetny okazał się patryotą sumiennym, i wiernym swemu obowiązkowi. Zatém też poszły ten wpływ jego i znaczenie w izbie. Wywierał on go wagą i prawdą całéj swéj istoty; kiedy gonienie za pozorami, przybieranie i odgrywanie roli, chociażby zręczne, rychlej czy późniéj samo się zdemaskuje, a ludzie, prawdą żyjący, prędzéj jeszcze na niém się poznają. A ten sam na stanowisku poważném, tak poważny mąż, jakżeż swobodnym, prawie po dziecięcemu wesołym umiał być na łonie rodziny i w kole drogich przyjaciół!

Na uwagę zasługuje rada, którą Wasyngton dał późniéj synowcowi, starającemu się o mandat poselski. „Jeżeli chcesz — mówił on mu — pozyskać uwagę słuchaczów, tedy taka moja rada: mów rzadko i tylko o sprawach ważnych, z wyjątkiem spraw, które tyczą się twych wyborców; a w pierwszym razie poznaj najpierw dokładnie sprawę. Nie daj się nigdy unieść nieprzyzwoitéj chęci wyrywania się naprzód, i nie polegaj zbytecznie na swojém zdaniu. Ton imponujący, chociaż czasem odniesie zwycięstwo, zawsze jednak niesmak wywoła.“

Wasyngton miał, jak się już wyżéj rzekło, wielki pociąg do zatrudnień życia wiejskiego, na zaspokojenie téj skłonności pozostawała mu większa część roku. Mount Wernon był też prześlicznem miejscem. „Dom stał na wzgórzu z lekka wzniesioném. Szczyt wzgórza, z którego piękny i wspaniały odsłaniał się widok na bieg

i brzegi Potomaka, pokrywał las. Zabudowania, dom bezpośrednio otaczające, a zgoła cały skład gospodarstwa, były mniéj więcéj w guście angielskim. Posiadłość dzieliła się na folwarki, przeznaczone na uprawę różnego rodzaju z osobnymi do tego robotnikami. Ale znaczna jéj część zawsze jeszcze pokryta lasem, poprzerzynana głębokiemi dolinami i potokami, jeleniom, sarnom i lisom dawała schronienie. Całe pobrzeże lesiste nad Potomakiem od Mount Wernon do Belwoaru, posiadłości Wilhelma Fairfaxa, a nawet daléj z całym obszarem lasów, pagórków i malowniczych wzgórz wystających, dostarczało sposobności do najrozmaitszych rozrywek.“ Tak opisuje posiadłość Wasyngtona biograf jego Irwing; on zaś sam o niéj powiada: „W całych Zjednoczonych Stanach nie masz posiadłości piękniéj położonéj; leży ona w okolicy wysoko wzniesionéj i zdrowéj, pod stopniem szerokości, zarówno oddalonym od skrajnwch upałów i zimna, nad jedną z najpiękniejszych rzek w świecie, nad rzeką obfitującą w każdéj porze roku w różne gatunki ryb. Tłumią się w niéj sardele, śledzie, karpie, jesiotry itp. Na przestrzeni przeszło dziesięciu mil rzeka ta stanowi granicę posiadłości. Należy do niéj kilka znacznych rybników, bo brzeg w całéj długości do łowienia ryb się nadaje.“

Wielka posiadłość w Wirginii stanowiła w owych czasach jakby małe państwo. Dwór, mieszkanie właściciela, było jakby siedzibą rządu; dom poboczny zajmował tak zwany steward czyli dozorca niewolników; był to pierwszy minister małego państwa. Z jego mieszkaniem łączyły się kuchnie, warsztaty, stajnie i stodoły. Gromada murzynów pełniła służbę we dworze i w zabudowaniach; większa ich liczba pracowała po polach. Chaty murzynów tworzyły wieś małą. Każda chata miała ogród dobrze uprawiony, na podwórcach było pełno drobiu; przed chatami dokazywała zazwyczaj na słońcu czarna dziatwa murzyńska.

Oto obraz posiadłości Wasyngtona w zarysie. Na nim, jako na tle, raczy sobie czytelnik uzupełnić obraz tego, tak naszemu bohatyrowi miłego, miejsca. W koloniach było wówczas wielu właścicieli, którzy, jak niegdyś Merowingowie frankońscy swym marszałkom pałacowym, na stewardów całkiem zdawali rządy swych posiadłości, żądając tylko wypłaty dochodów, za które dogadzali wszelkim swym zachceniom. Na Mount Wernonie nie zachowano takiego trybu. Wasyngton był panem i ojcem w swém małém państwie. Prawie codzień zwiedzał pola, łąki, rybniki, młyny, konno

we fraku żółtym ze złoconymi guzikami. Neumann, autor historyi Stanów zjednoczonych, tak kreśli obraz jego osoby: „Pełne godności zachowanie się Wasyngtona wolne było od pychy, jego silna wola od uporu i zarozumiałości. Równa harmonia cechowała jego zewnętrzną postać. Olbrzymia budowa ciała umiarem i pięknością miłe czyniła wrażenie; podobny on był do wspaniałego budynku, którego zupełna symetrya pojedyńczych części czyni miłym dla oka. Gorącą jego duszę utrzymywał w karbach jasny rozum. Jego męstwo nigdy nie zamieniło się w zuchwałe śmiałkostwo; ostrożność nigdy w bojaźń. Pewny sąd jego wspierała trwała pamięć. Pilność i pracowitość nie czyniły go nigdy ponurym, nietowarzyskim.

Kiedy z rodziną miał jechać do kościoła albo w odwiedziny do krewnych lub przyjaciół, wówczas zaprzęgano cztery konie do karety od parady. Czarna służba: woźnica i dozorca, wdziewali świąteczną liberyą.

Ale może już się nasuwało czytelnikowi pytanie: jakżeto dziać się mogło, że ów szlachetny Wasyngton trzymał niewolników? Otóż, kto sobie zadał takie pytanie, niech przedewszystkiém rozważy następujące okoliczności. Wasyngton urodził się w społeczeństwie; w którém istniała niewola. Zwyczaj kraju pierwsze na każdym, kto się w nim urodził i wychowuje, wyciska swe piętno. Kto więc zabiera się do wydawania sądu o jakiejkolwiek historycznéj osobie, a spuści z uwagi panujące w owym czasie zwyczaje, wyobrażenia i prądy duchowe, ten nigdy prawdziwego sądu nie wyda. A jeżeli tego ważnego względu nie pominął, wtedy dopiero nabywa prawa pytanie wtóre: „Jak ten, o którym sąd wydać przychodzi, zachowywał się względem owych czasu swego panujących zwyczajów i wyobrażeń? Niewola była niezawodnie bardzo czarną w ustroju stosunków społecznych plamą, a osobliwie u narodów i państw chrześciańskich. Trudno o większy spryt i bystrość w wynajdywaniu powodów i dowodów, jak w sercu samolubném. Królowi „arcychrześciańskiemu“ Ludwikowi XIII wystawiano rzecz w sposób następujący: „Wolni murzyni nie przyjmują wiary chrześciańskiéj; obróćmy ich w niewolników, a wówczas z łatwością nawrócimy ich na wiarę prawdziwą! Prócz tego, plemiona murzyńskie ciągle ze sobą w wojnie zostające, mają zwyczaj zabijania swych jeńców wojennych; zaprowadźmy niewolą w naszych koloniach, a wówczas zamiast zabijać, będą ich nam sprzedawali. Tym sposobem ocalimy

im życie, a przeto niewola stanie się dla nich dobrodziejstwem.“ Wykład ten rzeczy trafił do przekonania króla, a w następstwie bezprawie, przez Portugalczyków zaprowadzone i wykonywane, i u Francuzów prawo zatwierdziło. Nie brakło i innych jeszcze argumentów. Dowodzono często, że rasa murzyńska więcéj do zwierząt niż do ludzi zbliżona, że niezdolna do jakiéjkolwiek cywilizacyi, zatem już dlatego, ba nawet już dla saméj swéj czarnéj barwy, przeznaczona na niewolnicze białym usługi. Niezadługo też niewolnictwo weszło w zwyczaj w koloniach portugalskich, francuskich i angielskich, a w hiszpańskich po odkryciu Ameryki zakwitło. Liczbę gwałtem uprowadzonych murzynów obliczono na 40 milionów. Ale za grzech ojców ciężko późniéj odpokutowały dzieci, a w czasach najnowszych zwrócenie murzynom praw ludzkich, dawniéj im odjętych, okupić przyszło kosztem życia szlachetnego Linkolna i krwi strumieniami, w bratobójczéj przelanymi walce.

Ale wróćmy do historyi Wasyngtona i aby niesłusznego nie wydać wyroku, zadajmy sobie, jak się już powyżéj rzekło, pytanie: „Jak też on zachowywał się w téj sprawie wobec panującego zwyczaju czasu i narodu, w którym się był wychował? Otóż na pytanie to możemy najpierw odpowiedzieć: Wasyngton był swych murzynów troskliwym ojcem; o tém zaś, co dla nich późniéj uczynił, powiemy na końcu naszego opowiadania. Nie obarczał swych niewolników ciężkiemi pracami, ale i próżnować im nie pozwalał. Próżnowanie uważał za rzecz szkodliwszą, aniżeli pracę nawet ciężką. Cała przyroda jest wielką pracownią. Członki organizmu, które już nie pracują, obumierają. Pożyteczna praca utrzymuje ciało i ducha ludzkiego. Próżnowanie jest początkiem duchowego i moralnego upadku; człowiek, który zaniechał wszelkiéj pożytecznéj pracy, puszcza swe myśli na bezdroża. Dlategoto głęboką prawdę zawierają słowa: „Próżnowanie jest początkiem wszelkiego występku.“ Kto drugimi kieruje, ten niech pamięta o godziwém i stosowném ich zatrudnianiu. Każdy ma co najmniéj jednego pod swoimi rozkazami: siebie samego! Otóż każdy powinien o tém pamiętać, aby ten jego podwładny nie próżnował! Praca nad samym sobą jest pracą najwyższą, ale ten tylko nad sobą pracuje, kto usiłuje pracę, którą się zajmuje, podnosić na stopień coraz większéj doskonałości. W tym względzie dana jest każdemu człowiekowi możność doskonalenia się, czy pracuje igłą, pługiem czy piórem. Dopóki człowiek pracuje z przymusu, dopóty znajduje się na niskim sto-

pniu ludzkiego bytu, narażony na niebezpieczeństwo zmarnienia. Trzyma go tylko wpływ z zewnątrz nań działający. Przymus jest zapewne dla niego zbawiennym, chociaż, tylko za jego pomocą, nie dosięgnie wysokiego stopnia dzielności.

Ale od chwili, w któréj człowiek zaczyna wykonywać ze świadomością pracę swego zawodu, a to nietylko aby zadość uczynić obowiązkom, lecz aby także przez tę pracę własnego podnosić ducha, od téj chwili staje on na wyższym stopniu rozwoju. Wszyscy dobroczyńcy rodu ludzkiego taką drogą wznieśli się na te wyżyny, z których jak gwiazdy jaśnieję dla przyszłych pokoleń. Praiowali oni w pocie czoła, ale zarazem z tą błogą myślą, że praca ech zarówno im, jak drugim, zbawienne przyniesie skutki. Trudy i praca nadały wartość ich życiu. Wprawdzie droga ku onym wyżynom prowadzi przez różne szczeble; wszelako, kto na nią wstąpił, temu dana jest możność wzniesienia się na najwyższe ludzkiej szczęśliwości stopni. A na drogę tę może wejść każdy bez różnicy stanowiska, które zajmuje. Niech tylko ze świadomością wypełnia obowiązki, jakich zawód po nim wymaga, a droga do szczęścia sama się mu utoruje. Tymczasem wielu szuka go gdzieś daleko, goniąc światami w marzeniach swych i uczuciach, aby ze złamanemi skrzydłami spaść w rozczarowaniu na to samo miejsce, w którém czekało nas szczęście. Praca sumienna, oto różczka czarowna, która nas czyni szczęśliwymi. Pracą taką wzniósł się tak wysoko Wasyngton i Franklin, a przykład ich nie pozostał w Ameryce bez naśladowców. Wspomniał o tém w wykładzie publicznym Francuz Laboulaye: „Czém daléj postępujemy, tém jaśniéj pojmujemy także, że człowiek, który pracuje, prawdziwym jest szlachcicem; ten zaś, który nic robi, chociażby był bardzo bogaty, dług względem społeczeństwa zaciąga“.

„W Stanach Zjednoczonych uważają człowieka, który nic nie robi, za rodzaj publicznego nieprzyjaciela. Matki nie pozwalają mu zbliżyć się do córek, a każdy rozumny odmawia mu szacunku. Kto nic nie robi, ten w końcu złe robić będzie, wnioskują Amerykanie; a wnioskują całkiem słusznie i prawdziwie.“

Nie mała część czasu schodziła Wasyngtonowi na regulowaniu pracy wyrobników, na jéj doglądaniu i wyznaczaniu im właściwego zakresu. Rzekło się już przedtém, że z całą sumiennością i zarówno tego przestrzegał, aby niewolnicy nie pracowali nad siły, ani też czasu nie marnowali na próżniactwie. W dziennikach jego

można wyczytać, jak sobie postępował, aby właściwą w tym względzie zachować miarę. Uważał pilnie, jak postępowała w pewnym czasie ta lub owa praca; podług tego więc oznaczał na dzień jéj wymiar, mając zarazem na względzie wszelkie możliwe przeszkody.

Najlepszą zaś pomocą był mu własny udział w pracy. Część nieszczęścia, jakie niewola sprowadziła na świat, z tego wynikła, że u zamożnych właścicieli wyrobiło się zdanie, jakoby wszelka praca około roli lub rzemiosła uwłaczała ich godności i stanowisku. Kiedy więc niewolnicy wyłącznie wykonywać musieli wszystkie prace „poniżające“, czuli się także jakby klątwą obciążeni. Wyobrażenia tego rodzaju prawie powszechnie panowały w świecie starożytnym; w świecie chrześciańskim nie brak ich było w stanach uprzywilejowanych wobec ludu, do gleby przykutego lub odrabiającego pańszczyznę; a w koloniach amerykańskich na nowo zaczęły bardzo brać górę. Zresztą czy dziś całkiem już znikły, nietrudno sobie zdać z tego sprawy.

W Mount Wernon niewolnicy widywali nieraz pana swego, zajętego pracą w ogrodzie i na polu. Raz z kilkoma murzynami zajmował się on przez kilka dni pracą około urządzenia pługa nowéj konstrukcyi. Pług się dobrze udał; poczém wyjechawszy z nim w pole, Wasyngton sam zorał kawał ziemi, oddawna odłogiem leżącéj. Jednemu z młynów groziła powódź zniszczeniem. Wśród ulewy Wasyngton wyruszył na czele swych ludzi na miejsce, kierował robotą i sam, gdzie była potrzeba, pomagał, aby uratować budynek. Zrana wstawał on bardzo wcześnie; w zimie znacznie przed świtaniem. Wszelako nie ujmował sługom snu, aby wstając mieć już opalony pokój. Przeciwnie, wstawszy raniutko, sam zapalił w piecu, czytał i pisał aż do śniadania, które w lecie o siódméj, w zimie o ósméj, spożywał w kole rodzinném. Pijał zazwyczaj dwie filiżanki herbaty i spożywał przytem kilka placuszków z mąki kukurudzianéj. O godzinie drugiéj następował obiad, zazwyczaj skromny, mimo znacznego, jaki pan domu posiadał, majątku. Przy obiedzie pijał Wasyngton szklankę wina; zwykłym jego napojem było cienkie piwo lub jabłecznik. O godzinie dziewiątéj wieczorem udawał się na spoczynek.

W wielkim porządku utrzymywał Wasyngton książki gospodarskie; listy wpisywał do osobnych książek. To też we wszystkiém panował ład; oparty na jasnym przeglądzie i najdokładniejszéj znajomości spraw wszelkich.

Najgłówniejszą gałęzią gospodarstwa plantacyjnego była uprawa tytoniu, który stanowił znaczny przedmiot wywozu do Anglii. Mount Wernon miał na Potomaku kilka miejsc do ładowania towaru. W krótkim czasie zyskał Wasyngton u kupców obcych taką sławę rzetelności i prawości, że paki i ładunki z jego znakiem odbierano bez wszelkiéj rewizyi.

I z gościnności słynął Mount Wernon; świadczą o tem także dzienniki Wasyngtona. Znajdują się w nich nazwiska prawie wszystkich tych mężów, którzy późniéj zasłynęli w dziejach kolonii. Zwłaszcza w porze polowania na lisy, w domu Wasyngtona, dla którego polowanie było przyjemną rozrywką, zbierali się myśliwi z całéj okolicy. Odwiedzali go często prócz starego lorda Fairfaxa, ludzie wyższego wykształcenia. Towarzystwa ich szukał Wasyngton; było ono dla niego potrzebą, podobnie jak czytanie dobrych książek.

Ale i poza obręb własnych posiadłości sięgało działanie Wasyngtona. W sąsiedztwie ciągnęły się bagniska na obszarze, około 30 mil angielskich długim, a na dziesięć szerokim. Wasyngton powziął myśl osuszenia go; a obmyślawszy plan poddał go pod rozwagę światłych obywateli okolicy. Sam wierzchiem i pieszo czynił potrzebne na ten cel badania. Była to robota połączona z wielkiemi trudami, a na wielu miejscach nawet z niebezpieczeństwem. Na niektórych miejscach były gęste lasy, w których długie pasma mchów, z gałęzi drzew wiszące, czyniły tém trudniejszém przebycie. Gdzieindziej przedzierać się przychodziło przez gąszcze cierni i piących się roślin. Często koń po brzuch zapadał w bagno; w takich razach trzeba było pieszo ostrożnie dobijać się po chwiejnéj powłoce do brzegu, aby dać ratunek koniowi. Tym sposobem rozpatrzył on się i zbadał w różnych stronach ów dotychczas nieużyteczny obszar, a uzyskawszy jasny całości obraz, wypracował szczegółowy plan osuszenia go i przekształcenia w ziemię urodzajną. Sama okoliczność, że Wasyngton plan podawał i nie wątpił o możliwości jego wykonania, wystarczyło wielu zamożnym obywatelom do bezwłocznego zawiązania na ten cel towarzystwa; a zaledwie kilka lat upłynęło, już znikły bagna, a piękny obszar, w pola orne i łąki zamieniony, zajął ich miejsce.

Rodzaj życia, któryśmy tu naszkicowali, w wysokim stopniu uszczęśliwiał znakomitego męża; toż niczego goręcéj nie pragnął nadto, aby tym samym sposobem upłynęła mu i reszta pozostającéj mu jeszcze pielgrzymki ziemskiéj. Ale znać inaczéj postanowiła

Opatrzność, kierująca losami jednostek i narodów całych. Niebawem bardzo zmienił się w koloniach stan rzeczy. To o czém ten, prawu wierny a Anglii jako swéj macierzy z miłością oddany, syn nigdy nie marzył, stało się rzeczywistością: między koloniami a krajem macierzystem powstało nieporozumienie, spór, walka, i te to okoliczności wyrwały go z zacisza domowego.

VII. Aż do kongresu generalnego.

Nasamprzód trzeba się nam rozpatrzyć w przyczynach sporu między koloniami a Anglią, ich macierzą.

„Biada gwałcicielowi prawa!“ Gwałcicielem tym, który wywołał spór a w końcu walkę, był rząd angielski. Według konstytucyi angielskiéj można było nakładać nowe podatki tylko za zgodą reprezentacyi krajowéj. Tymczasem rząd angielski wcale na to nie zważając, powziął naraz myśl opodatkowania kolonii bez pytania ich reprezentantów. A przyczyny tego nierozważnego i nieprawnego kroku szukać należy w następujących okolicznościach:*)

Część amrerykańska „siedmioletniéj wojny“, owéj walki, którą Anglia, jako aliantka Prus prowadziła wówczas przeciw flocie i handlowi francuskiemu, znacznie była powiększyła i wzmocniła potęgę Anglii na stałym lądzie amerykańskim.

W pokoju paryskim, zawartym między Anglią i Francyą dnia 10. Lutego 1763, Anglia otrzymała z ówczesnych amerykańskich posiadłości Francyi Akadyą czyli Nową Szkocyą, Kanadę i przylądek Breton; zwróciła wprawdzie Hawanę Hiszpanii, ale za to przyłączyła Florydę i wszyskie hiszpańskie posiadłości na wschód od rzeki Misisipi do swych kolonii, które od tego czasu na lądzie stałym nie potrzebowały się lękać żadnego groźnego nieprzyjaciela. Ale też kolonie wzięły były rzetelny w onéj walce Anglii przeciw Francyi udział, a odwagą i wielkiemi ofiarami zasłużyły na pymyślność, jakiéj od tego czasu doznawały.

*) Der Funke ins Pulverfass. Geschichtliche Jubelskizze von Fr. Hofmann.

Była to strona pomyślna i korzystna wspomnionéj wojny; nie brakło jednak i odwrotnéj jéj strony. Wojna pochłonęła ogromne sumy. Dług publiczny Anglii doszedł do wysokości stu czterdziestu sześciu milionów funtów szterlingów, a ciężar ten przygniatał dokuczliwie płacących podatki. Ztąd też to nawinęła się rządowi angielskiemu myśl samowolnego opodatkowania kolonii amerykańskich.

Nastąpiło to już było 5. Kwietnia 1764 w tak zwanéj ustawie cukrowéj, która na cukier, syrop, melasę, kawę, indygo, na wszystkie wina prócz francuskich, ba nawet na wszystkie wschodnio-indyjskie jedwabne i półjedwabne chustki nałożyła znaczne opłaty, które ten sam za sobą pociągały skutek, co zupełny zakaz handlu tymi artykułami.

Otóż akt ten był naruszeniem wyraźnych praw krajowych; a każdy rzetelny człowiek przyzna, że to jedno z najsmutniejszych zjawisk w dziejach, kiedy rząd, którego świętém zadaniem jest, być stróżem prawa, sam daje przykład jego pogwałcania. Otóż spór ten między Anglią i koloniami dostarcza dowodu takiego niecnego wiarołomstwa rządu.

Że rostropni mężowie polityczni w Anglii przewidywali skutki takiego postępowania, świadczy o tem rozmowa lorda Kramdena z Franklinem, którąśmy przytoczyli w poprzednim życiorysie.

Ale rząd angielski, widocznie zaślepiony, na nic nie zważał. Krok ten bowiem jego nietylko był nieprawny, ale ze względu na dotychczasowe obchodzenie się z koloniami w wysokim stopniu nierozsądny. Rząd ten wyzyskiwał kolonie amerykańskie w interesach handlowych i przemysłowych Wielkiéj Brytanii w sposób najbezwzględniejszy; a pomimo że w nich właśnie miał dla swych towarów targowisko najkorzystniejsze, macoszego swego postępowania z niemi wcale nie osłaniał. Prócz tego zapomniał także i o tém rząd angielski, że wojna, którą niedawno przedtém prowadził był z Francyą w Ameryce, była właśnie szkołą, w któréj się kształcili dzielni i odważni wojownicy amerykańscy. A jeżeli już przed ową wojną Amerykanie chwycili się byli handlu przymytniczego, aby przynajmniéj tym sposobem, ile możności, nie dać się Anglikom wyzyskiwać, tedy teraz, kiedy owa ustawa o cukrze nowe nałożyła ciężary, handel ów pokryjomy przybrał olbrzymie w całém znaczeniu słowa rozmiary. Rząd chciał wprawdzie temu zapobiedz i w tym celu mianował wszystkich oficerów marynarki w stacyi amerykańskiéj urzędnikami cłowymi z prawem przetrząsania wszystkich

statków; ale środek ten nietylko złemu nie zaradził, lecz przeciwnie tylko je więcéj pogorszył Amerykanie towarów jawnie nie kupowali; opłat więc nie było; rząd nic materyalnie nie zyskał, a moralnie stracił; bo nietylko, że nakładając samowładnie opłatę, dopuścił się był bezprawia, ale nadto jeszcze i rozporządzenie swe cofnął. Nie uczynił on jednak tego w celu usunięcia bezprawia, lecz z innéj również nieczystéj pobudki. Upatrzył on sobie inny artykuł do opodatkowania i to taki, bez którego w jego przekonaniu, nie będą mogły się obyć kolonie. Artykułem tym miały być wszelkie umowy i kontrakty, które w kraju o tak rozwiniętych handlowych i przemysłowych stosunkach zawierano w bardzo znacznéj liczbie. Jakoż uchwała parlamentu angielskiego z 22. Marca 1765 zaprowadziła stempel na wszelkie kontrakty i umowy w koloniach. Druga równoczesna uchwała nałożyła na kolonie obowiązek dostarczania kwatér i żywności wojskom królewskim, które nie mogły być umieszczone w koszarach i warowniach. Jak rok przedtem przeciw opodatkowaniu cukru, tak teraz przeciw stemplom równe we wszystkich częściach kolonii powstało oburzenie. W sejmie Wirgińskim Patryk Henry założył uroczyście protestacyą przeciw ustawie stemplowéj. Z wymową porywającą wystawił on nadużycia i bezprawia Anglii. „Cezar — zawołał on — znalazł swego Brutusa, Karol I. Kromwela, a Jerzy III.—“

„Zdrada stanu! zdrada stanu!“ — przerwał mu prezes izby; ale Henry po małéj przerwie rzekł daléj:

„a Jerzy III. niech korzysta z onych przykładów!“ D. 1. Listopada, kiedy ustawa stemplowa obowiązywać zaczynała, w wielu miastach uderzono w dzwony na znak żałoby. W Nowym Jorku wydrukowano ustawę tę zamiast z herbem królewskim, z trupią głową a z podpisem: „Anglii głupota a Ameryki zguba“, i rozdawano ją po ulicach. W Masachusecie spalono mnóstwo arkuszy stemplowanych, a obraz mistrza stemplów przybito na szubienicy. Nie brakło i rozruchów. Ale wszelkie te manifestacye sprawiły w Anglii mniejsze wrażenie, niż opór spokojny, który przygotowano w sposób poważniejszy. Toż nagle wszystkie sądy nie miały nic do czynienia, bo strony wolały sprawy między sobą prywatnie załatwiać, niż udawszy się na drogę sądową znaleść się w konieczności, używania papieru ostemplowanego. Na krok najbardziéj stanowczy zdobyła się reprezentacya prowincyi Masachutetu; albowiem prezes jéj wezwał okólnikiem sejmy reszty prowincyi do wysłania na pierw-

szy wtorek Października reprezentantów do Nowego Jorku na walny kongres, „aby rząd kraju macierzystego nie odbierał nadal próśb i wywodów, lecz żeby w uchwałach tego walnego zgromadzenia usłyszał głos połączonych kolonii.“

Na kongres ten przybyło dwudziestu ośmiu delegatów jako zastępców prowincyi Masachusetu Rode-Islandu, Konektekut, Nowego Jorku, Nowego Jerseju, Pensylwanii, Delewary, Marylandu i południowéj Karoliny. Narady trwały do 25. Października, a wypadkim ich była deklaracya praw i zażaleń kolonii, którą w podaniach równie stanowczych, jak poważnych wysłano do brytańskiego parlamentu. Również i stanowczém, a w następstwach bardzo ważném było postanowienie, aby wszelkimi środkami uczynić kolonie niezależnemi w potrzebach ich od kraju macierzystego, i rozwijać wszelkiemi siłami własny przemysł. Wreszcie zawiązało się stowarzyszenie najpierw w Konektykucie i Nowym Jorku „w celu utrzymania w całości brytańskiéj konstytucyi w Ameryce“. Wybrany przez stowarzyszenie wydział, zawezwawszy najznakomitsze osoby do udziału, wkrótce nadzwyczajny w koloniach wpływ i znaczenie pozyskał. Członkowie tego stowarzyszenia przybrali nazwę „Synów wolności“.

Usposobienie to, wcale nietajone, kolonii nie wykraczające z granic prawem zakreślonych, poruszyło poważniejsze i w Anglii umysły, i to aż do sfer najwyższych. Wasyngton pisał wówczas do jednego z przyjacioł: „Mogę panu donieść jako fakt stwierdzony, że niepodległość nie jest ani życzeniem ani interesem kolonii. Ale możesz pan być pewnym, że żadna z nich nie pozwoli na utratę owych drogocennych praw, tak niezbędnych do szczęścia każdego wolnego państwa, bez których wolność, własność i życie nie mają żadnego bezpieczeństwa“. Że znaczna część obywateli amerykańskich życzyła sobie rzetelnie, aby nie przyszło do zerwania z Anglią, już i z tego widać, że na intencyą pokojowego załatwienia sprawy odprawiano po kościołach nabożeństwa, a liczne w tym duchu do króla i parlamentu wysłano prośby. A Wasyngton pisał w téj sprawie do jednego z członków angielskiego parlamentu: „Zniesienie ustawy o stemplach, jakiejkolwiek zawdzięczalibyśmy przyczynie, byłoby dla nas radośném zdarzeniem; bo w razie, gdyby parlament Wielkiéj Brytanii trwał w postanowieniu wykonania téj ustawy, obawiam się, aby skutki tego zdzierstwa nie stały się dla kraju macierzystego i kolonii straszniejszymi, aniżeli teraz przewidywać można. Dlatego

też wszyscy, którzy głosować będą za zniesieniem onéj ustawy, mogą być pewni wdzięczności każdego poddanego korony brytańskiéj, a ja z całego serca pana o swojéj zapewniam".

Usposobienie to stanowcze kolonii z jednéj, tudzież prośby zatrwożonych angielskich kupców i przemysłowców z drugiéj strony, wpłynęły nakoniec na króla; jakoż na uroczystém posiedzeniu d. 18go Marca 1766 w Westminsterze zniósł ustawę o stemplach, wszelako z deklaracyą przyznającą Wielkiéj Brytanii „prawo panowania pod każdym względem nad koloniami i nadawania im ustaw."

Na wiadomość o tém pokojowém zwycięstwie wielka nastąpiła radość; ale trwała tylko krótko, bo owa do zniesienia ustawy stemplowéj dodana „deklaracya" nie zgadzała się z dotychczasowém życiem konstytucyjném kolonii, które rozwinięte w poszczególnych prowincyach na wzór angielski, opierało się na jak rozleglejszym samorządzie. Z téj przyczyny Samuel Adams, jeden z najgłówniejszych obrońców praw kolonii, który zyskał był sobie zaszczytną nazwę „Katona północnéj Ameryki" wcześnie przekonał się o niemożliwości zachowania nadal dotychczasowego między koloniami a Anglią prawno-politycznego stosunku; i dlatego całe swe życie poświęcił walce o niepodległość północnéj Ameryki.

Król Jerzy ubolewał nad zniesieniem ustawy stemplowéj, uważając krok ten za „nieszczęsne ustępstwo". Myślano więc znowu w Anglii nad sposobem zmuszenia Amerykan do opłacania jakiegoś podatku, bo wiedziano, że byle raz poddali się jakiéjkolwiek z Anglii nałożonéj opłacie, tedy będą musieli przyjąć wszelkie opodatkowanie, straciwszy prawo do oporu. Wiedzieli to wszyscy Anglicy, ale również i wszycy Amerykanie debrze to rozumieli; totéż i jedni i drudzy stosownie do tego rzeczy pojmowania postępowali aż do nieuniknionego zerwania stosunków.

Zaraz w roku następnym, w Maju 1767, parlament angielski nałożył koloniom opłatę od herbaty, szkła, papieru i farb malarskich. Opłata od tych artykułów była bardzo mała. Oznaczono ją tak nisko naumyślnie, czyli, jak to lud nasz mówi, na podrywkę; przypuszczano bowiem, że jako nieznaczna, nie wywoła powszechnego oporu; a obywatele pragnący pokoju zapewne przyjmą ją w przekonaniu, że o rzecz tak drobną nawet sporu wszczynać nie warto. Prócz tego podatek ten miał być użyty nibyto na płace gubernatorów, sędziów i innych urzędników w koloniach, zatém miał pozo-

stać w kraju. Ale pomylił się dowcipny rząd angielski. Nie w ciemię bici Amerykanie poznali się na podstępie. Kupcy bostońscy i całéj prowincyi Masachusetu, odpowiedzieli na tę nową ustawę postanowieniem nie kupowania żadnych angielskich towarów — prócz najniezbędniejszych — dopóki cło nie będzie zniesione. Ażeby nie działać tylko na swoję rękę, lecz w wspólnym celu połączyć wszystkie kolonie, Samuel Adams pozakładał w najznaczniejszych miastach tak zwane „biura korespondencyjne“, które o wszystkich zajściach i potrzebnych wspólnych postanowieniach, miały jak najspieszniéj podawać wiadomości. Służbę w tych biurach pełnili jak najgorliwiéj „synowie wolności“.

Ponieważ Boston uważano zawsze za ognisko rewolucyi, więc rząd skorzystawszy z zamieszki, do któréj dało powód schwycenie przez celników statku przymytniczego, obsadził miasto dwoma pułkami, a port fregatą i kilkoma innymi uzbrojonymi statkami zabezpieczył. Rozdrażnienie przez to wywołane, powiększyła jeszcze nadeszła z Londynu oburzająca wiadomość. Wysłannik polityczny prowincyi Masachusetu do rządu angielskiego, sławny Benjamin Franklin, wyjawił był oszczerczą o téj prowincyi korespondencyą gubernatora Hutchinsona i wicegubernatora Olivera i zażądał oddalenia obudwu z posad. Za to zelżył go rzecznik korony Wederburne nazywając go buntownikiem i najniebezpieczniejszym Anglii wrogiem, tego samego Franklina, którego Pitt sławił jako „zaszczyt Anglii i rodu ludzkiego.“

Ale w chwili téj, kiedy kolonie oczekiwały nowego przez rząd angielski pogwałcenia praw, niemałéj doznały niespodzianki, gdy na wniosek ministra lorda Northa 5go Marca 1770 parlament zniósł ustawę cłową z r. 1767. Ale i tym razem ani dobroć, ani miłość ku koloniom były powodem wniosku i uchwały. Interes własny był tego przyczyną; dowiedziano się bowiem z niemałem przerażeniem, że w skutek postanowienia kolonii, aby nie kupować towarów angielskich, handel wywozowy do Ameryki w r. 1769 w porównaniu z rokiem ubiegłym zmniejszył się o 724.000 funtów szterlingów; a w kasach cłowych równie bardzo znaczny ukazał się ubytek. Jednakowoż i tym razem dziwnie sobie postąpił parlament angielski, bo zniosłszy ustawę cłową z 1767, przecież dla utrzymania zasady i w nadziei, że bardzo małą opłatą zachęci do kupowania, nałożył znów trzy pensy*) cła od funta herbaty. I istotnie niewiele brakło,

*) Pieniądz angielski, jeden penny wartości trzech krajcarów.

aby ponęta była skutkowała; przynajmniéj w prowincyach południowych i środkowych zaczęto już sprowadzać angielskie towary, ale z wyjątkiem herbaty. Ustępstwo w tym punkcie mogło niebawem pociągnąć je za sobą i pod innymi względami; trzeba więc było zapobiedz niebezpieczeństwu w narodzie. „Baczność!“ zawołał Samuel Adams, a „bióra korespondencyjne“ i „synowie wolności“ wytężyli wszystkie siły, aby utrzymać poprzednie postanowienie względem towarów angielskich. I znów prowincya Masachuset ze stolicą swą Bostonem stanęła na czele, ale też i pierwszych doznała ciosów. W Bostonie przyszło do walki ulicznéj z wojskiem. Nazajutrz zgromadził się lud w tak zwanym „starym kościele“ w południowéj części miasta i uchwałą swą zmusił gubernatora do cofnięcia dwóch pułków, w mieście załogą stojących, do twierdzy Wiliamsburga. Uroczysty pogrzeb zabitych powiększył rozdrażnienie i opór mieszkańców.

Aby przyprowadzić wolę króla Jerzego, że cło od herbaty ma być dowodem prawa Anglii do opodatkowania kolonii, chwycono się podstępu, do którego zmuszał bardzo krytyczny stan handlu herbatą kompanii wschodnioindyjskiéj. Miała ona za monopol herbaty opłacać rządowi angielskiemu rocznie 2,400.000 funtów szterlingów; a tymczasem na składach jej leżało nie mniéj jak 17 milionów funtów herbaty, dla których główne targowisko, Ameryka, było dziś zamknięte. Kompania więc oświadczyła gotowość zapłacenia rządowi, byle zniósł cło od herbaty, podwójnego dochodu cła tego. Rząd jednak nie zgodził się na to; natomiast zaś pozwolił jéj wywozić herbatę bez cła, przez co można było za bezcen dostarczyć Amerykanom ulubionego ich napoju. Pokusa była więc bardzo wielka. Kupcy w wielu miastach nadbrzeżych zaczęli się wyłamywać z pod powziętego przez kolonie postanowienia; karność i solidarność w obronie praw chwiać się poczęła. Znów więc potrzeba było wytężyć wszystkie siły, poruszyć wszelkie sprężyny najgorętszéj wymowy, użyć najstraszniejszych groźb, nawet chwycenia za broń, aby zatrwożyć kupców i agentów, a zarazem skłonić wszystkie kolonie do popierania Masachusetu w walce o prawa przeciw Anglii.

A kiedy po twardych przeprawach w zgromadzeniach ludowych wreszcie powszechnie się zobowiązano i nadal nie wpuszczać do kraju herbaty angielskiéj, postanowiono także, odprawić liczne statki z zapasami tego artykułu. Powiodło się to w Nowym Jorku i Filadelfii, gdzie kapitanowie okrętów z herbatą, zląkłszy się gro-

żnéj postawy mieszkańców, nie wpływając do portów, bezzwłocznie odpłynęli.

W Bostonie sprawa inny przybrała obrót. Tu pierwszy statek z herbatą, „Dartmouth“, zarzucił d. 28go Listopada 1773 w porcie kotwicę. Ludność sprzeciwiała się wylądowaniu; ale gubernator widocznie myślał tylko o zyskaniu czasu. To też ciągnęły się rokowania z miastem aż do 16go Grudnia, czyli dwadzieścia dni od przybycia statku, t. j. do terminu, w którym według prawnych przepisów służyło celnikom prawo wziąć w posiadanie okręt i herbatę przenieść do magazynu. Tymczasem i dwa inne statki z herbatą przybyły do portu. Nastąpiła więc stanowcza chwila. Czuł to każdy, nikt też nie pozostał w domu. Ulice były przepełnione; tłumy ludu, do których z okolicy przybyło 20.000, zebrały się podług zwyczaju w „starym kościele“, aby się porozumieć i przygotować na wypadki najbliższych godzin. Cały dzień upłynął na naradach. Najenergiczniej występował tu Adams i Jozyasz Quincy, mowca potężny; a kiedy zapytano obecnych, azali zgromadzenie pozostaje przy dawniejszém postanowieniu, zagrzmiało ze 7000 piersi jednogłośnie: „Tak!“

Natychmiast więc dano właścicielowi statku „Dartmouth“ rozkaz, aby w towarzystwie ośmiu świadków udał się do gubernatora, zażądał paszportu i port opuścił. Zmrok zapada, a odpowiedzi nie ma. Już od godziny znacznie się ściemniło; w kościele, posępnie oświeconym, ludzi jak nabito; usposobienie zgromadzenia coraz groźniejsze. Wreszcie przed szóstą zjawia się właściciel statku ze świadkami i donosi, że gubernator odmówił mu paszportu. Kiedy skończył, powstał Samuel Adams i oświadczył: „To zgromadzenie nie może nic więcéj uczynić dla ocalenia kraju!“ W tej saméj chwili dał się słyszeć w przedsionku kościoła sygnał wojenny indyański. Około pięćdziesięciu ludzi, ubranych i pomalowanych nakształt Indyan plemienia Mohawka, od Adamsa i innych z uniesieniem powitanych, przeszło poprzed bramę kościoła ku portowi. Tłum ludzi powalił się ogromną falą za nimi. Mohawkowie skoczyli do łodzi, dostali się na statek „Dartmouth“, którego załoga na widok tłumów na brzegu zgromadzonych, ani myślała o oporze, porozbijali w przeciągu trzech godzin wszystkie paki — było ich 342 — i herbatę w wartości 18.000 funtów szterlingów do morza wrzucili. Taki był czyn nocny „Bostońskiego towarzystwa herbatowego“; to owa najdroższa na świecie herbata zaprawiona „w naj-

większym dotychczas czajniku: w zatoce bostońskiéj"; to „szturm na herbatę", który odbył się tak cicho i spokojnie, tak bez wszelkiego krzyku i hałasu, że na brzegu słyszano każde uderzenie siekierą w paki odbijane. Nie naruszywszy zresztą nic na okręcie, Mohawkowie wskoczyli znów do łodzi i znikli tak jak przyszli. W Bostonie, po prowincyi i wszystkich koloniach wywołała wiadomość o tem zdarzeniu radość powszechną, jak żeby każdemu wielki ciężar spadł z serca. Skończyło się wahanie; kolonie „spaliły za sobą okręty". Iskra wpadła do beczki prochu! Wszędzie brzmiała piosnka ludowa:

„O matko! droga matko! — woła córka z płaczem
Nie obciążaj, proszę, herbaty haraczem.
Zapłacę rzetelnie wartość twéj herbaty,
Ale nadto nie dam trzech pensów opłaty."

„Musisz!" — krzyknie matka, z złości zaperzona —
„To bunt przeciw matce, ty córko szalona!
Bo czyż można pragnąć własnéj matki straty?
Zapłaćże trzy pensy od funta herbaty!"

Po tém zajściu rząd angielski zamknął zupełnie port bostoński. Był to ciężki cios dla miasta, którego handel od chwili zamknięcia komunikacyi z morzem był prawie zniszczony. Bostończycy nie ustąpili. Następnie przełożył rząd angielski parlamentowi w Londynie wniosek, aby z mieszkańcami Masachusetu wolno było postępować jak z buntownikami. Odzywały się głosy za wnioskiem i przeciw niemu. Jeden z jenerałów, który z największém oburzeniem ganił postępowanie Bostończyków, oświadczył, że z pięciu pułkami gotów jest przepędzić wszystkich amerykańskich buntowników z jednego końca świata na drugi. Inni, nie tak pochopni do korda, jak ów pałaszowy Bramarbas, przemawiali za Amerykanami. Tak np. dowodził Wilkes, że postępowanie Anglii z koloniami było całkiem niesłuszne i niesprawiedliwe. „Nasi to ministrowie, rzekł on, chcą rozerwać węzły, łączące północną Amerykę z Wielką Brytanią, kiedy koloniści niczego więcéj nie żądają, jeno pokoju, wolności i bezpieczeństwa." Zaklinał więc parlament, aby zmienił swą względem Amerykan politykę. „Wierzę", kończył Wilkes, „że możecie doprowadzić do spalenia Bostonu i obsadzenia silną załogą; ale stracić przytém całą prowincyą. Od tej chwili widzę już rodzącą się i wzmacniającą niepodległość Ameryki; widzę, że oparta na swéj

wolności, dosięga wielkości państw najzamożniejszych i najpotężniejszych. Chcecież Amerykan popchnąć do rozpaczy? Dobrze! Ale ujrzycie ich broniących swéj wolności i własności z owém męstwem, jakie wywołuje nienawiść przeciw tyranii, z męstwem, jakiego nasi sławni przodkowie dowiedli broniąc praw swych zagrożonych.“

Niestety był to głos wołającego na puszczy! Większość parlamentu była tak zaślepiona jak ministeryum; przyjęła więc wniosek, ogłaszając nietylko mieszkańców Bostonu, lecz i całéj prowincyi za buntowników t. j. zaprowadzając w niéj tak zwany stan oblężenia.

Uchwała ta parlamentu znaczyła tyle, co wypowiedzenie Ameryce wojny.

Skoro o tej uchwale dowiedziano się w Masachusecie, zgromadzili się reprezentacyi prowincyi w Salemie i wydali odezwę do wszystkich amerykańskich kolonii, aby się zebrały na kongres walny. Wezwaniu temu, prócz reprezentantów Georgii, którzy dopiero poźniéj przystąpili, uczyniły zadość wszystkie kolonie. Kongres zebrał się w Filadelfii *d. 4go Września 1774.*

Ludzie poważni i poważani stanowili większość w tém zgromadzeniu złożoném z 51 członków; między nimi Wasyngton nad wszystkiemi górował znaczeniem. Pisał on już niedługo przed zebraniem się kongresu do przyjaciela w tych słowach: „Przeciw czemu chcemy właściwie walczyć? Czy może przeciw nałożonéj opłacie trzech pensów od funta herbaty, jako trudnemu do ponoszenia ciężarowi? Bynajmniej. O prawo nasze nam się rozchodzi, o które już tak długo spór toczymy.“— „Gdybym miał najmniejszą wątpliwość o prawie angielskiego parlamentu nakładania nam bez naszego przyzwolenia, bez naszych swobód i konstytucyi, podatków, tedy prośby i tylko prośby uważałbym za jedyny środek do szukania pomocy. Ale mam to niezachwiane przekonanie, że parlament brytański tyle ma prawa do sięgania ręką swą do mojéj kieszeni, ile ja do sięgania swoją do kieszeni mojego sąsiada.“

Wniosek, aby obrady rozpocząć nabożeństwem, przyjęto jednomyślnie. Kaznodzieja rozpoczął modlitwę o pomoc bożą dla słusznéj sprawy słowami psalmu 35go:

„Osądź Panie szkodzące mnie, zwalcz walczące przeciwko mnie. Porwij broń i tarczą, a powstań mi na pomoc. Dobądź miecza i zawrzyj przeciwko tym, co mnie prześladują.“

Przystąpiwszy do obrad, kongres uchwalił najpierw „deklaracyą kolonii“, w któréj jasno i zwięźle wyłożył uzasadnione ich prawa. Poczem ponowiono postanowienie niekupowania towarów angielskich, dopóki nieprawnie nałożone cło nie będzie zniesione. Nakoniec przyjęto adres do narodu angielskiego, memoryał do mieszkańców Ameryki i prośbę do króla. Nie chciano bowiem wykluczyć możność załatwienia sporu jeszcze w ostatniéj godzinie na drodze pokoju, a kiedy niektórzy zażądali stanowczego zerwania z Anglią, znaczna większość się przeciw temu oświadczyła. Stanowczo i z godnością odzywał się adres do narodu angielskiego. „Sprawa Ameryki jest teraz przedmiotem powszechnéj uwagi i stała się bardzo groźną. Obowiązek względem siebie samych i potomków naszych, względem was i całéj naszéj ojczyzny nakazuje, abyśmy pomówili z wami o sprawie tej najważniejszej. Powiedziano wam, że jesteśmy buntownikami, którzy sprzykrzywszy sobie posłuszeństwo władzy, dążymy do niepodległości. Bądźcie przekonani, że tylko oszczerstwo nas o to pomawia. Wiedzcież zatem, że uważamy się za wolnych zarówno z resztą obywateli Wielkiéj Brytanii; że żadna na ziemi potęga nie ma prawa zabierać nam własności bez woli naszéj, że domagamy się dla siebie wszystkich dobrodziejstw, z konstytucyi angielskiéj wypływających; że odmawiamy rządowi waszemu prawa zaprowadzania u nas rządów samowolnych. Czyż sądzicie, że posiadacze ziemi amerykańskiéj mniéj są panami swéj własności, aniżeli wy swojéj? Czyż może ocean, który nas dzieli, znieść równość prawa? Mają poddani angielscy, o trzy tysiące mil od pałacu królewskiego oddaleni, mniéj mieć wolności od tych, których tylko kilkaset mil od niego oddziela? Rozum wzdryga się na takie różnice, a wolny człowiek brzydzi się niemi. Pozwólcie nam być tak wolnymi, jak wy jesteście, a związek z wami uważać będziemy za największy zaszczyt, za największe szczęście. Będziemy zawsze gotowi wszystko, o ile nam sił stanie, poświęcić dobru państwa; będziemy wrogów waszych uważać za swoich, interesa wasze za swoje interesa. — Ale jeżeli macie odwagę pozwolić swoim ministrom, aby igrali z godnością ludzką; jeżeli ani głos sprawiedliwości, ani przepisy prawa, ani podstawa konstytucyi, ani uczucie ludzkości nie powstrzymają was od krwi rozlewu: tedy winniśmy wam oświadczyć, że nigdy nie poniżymy się na niewolników ani żadnego ministra, ani żadnego narodu w świecie.“

Ale i król i ministeryum i parlament pozostali w swém zaślepieniu. Nadarmo upominał ziomków swych lord Chatham, największy angielski mąż stanu, napróżno w słowach pełnych zapału sławił słuszną i uszanowania godną sprawę Amerykan. „Jeżeli panowie — rzekł on — przeglądniecie nadeszłe z Ameryki dzienniki i pisma, jeżeli weźmiecie pod rozwagę godność, mądrość i stanowczość w postępowaniu kongresu, tedy niepodobna, abyście nie szanowali sprawy Ameryki i nie pragnęli, uczynić jej własną sprawą. Co do mnie, winienem wyznać i oświadczyć, że między największemi państwami świata starożytnego nie znam ani narodu ani państwa, które w tak trudnych i zawikłanych stosunkach byłoby wzniosło się wyżéj, niż zgromadzeni na kongres walny w Filadelfii zastępcy Ameryki.“ A przy innéj sposobności rzekł Chatham: „Z przyjemnością widzę, że Ameryka stawia nam opór. Trzy miliony równych nam obywateli, którzyby byli gotowi dobrowolnie stać się niewolnikami, byliby się stali wybornemi narzędziami do zamienienia i nas na niewolników.“

Wszelako słowa te pełne prawdy i godności przebrzmiały bez skutku.

Ale wróćmy do Ameryki. Tu Wasyngton zwraca na się przed innymi uwagę swych ziomków. Nie tylko całe jego życie dotychczasowe, lecz osobliwie zachowanie się na kongresie sprawiło, że ziomkowie w nim największe pokładali zaufanie. Patrycy Henry, jeden z najznakomitszych członków kongresu, zapytany po powrocie do domu, kogo uważa za najznakomitszego męża w kongresie, odpowiedział: „Jeżeli chodzi o wymowę, Rutledge z południowej Karoliny jest niezawodnie pierwszym mowcą; jeżeli zaś macie na myśli gruntowne wiadomości i sąd zdrowy, w takim razie pułkownik Wasyngton bez wszelkiej kwestyi najprzedniejsze w całém zgromadzeniu zajmuje miejsce.“

A że Wasyngton posiadał nietylko znakomite zdolności polityczne, lecz także odznaczył się był i na polu bitwy, więc wszyscy, którzy nabyli przekonania, iż zbliża się czas walki, w nim upatrywali przyszłego obrońcę praw i godności ojczyzny.

VIII. Chrzest ogniowy.

Najlepsi mężowie w Anglii na próżno odwoływali się do uznania słuszności i sprawiedliwości rządu i parlamentu. Nad prowincyą Masachusetem zawisł stan wojenny. Nastąpił potem rozkaz zabrania wszelkich amerykańskich magazynów broni; w Bostonie uczyniono początek. Krzyk oburzenia rozległ się po całym kraju. Teraz trudno było nie widzieć, że tyrania na prawdę zabiera się do zgniecenia Ameryki. Patryoci łączyli się ślubując, że życie dadzą w obronie praw kraju. Zabór drugiego składu broni w Konkordzie doprowadził do krwi rozlewu. Przewaga była po stronie Anglików; było ich bowiem 800, Amerykan tylko 80. Dokonawszy swego, Anglicy wracali do Bostonu. Ale odwrót ten stał się dla nich fatalnym; Amerykanie bowiem, którym przybyło nieco pomocy, trapili i niepokoili ich ciągłymi a niespodziewanymi napadami, dotkliwe zadając straty. Rosły one w rozmiarach zastraszających i z owych ośmiuset ani jeden nie byłby doszedł do Bostonu, gdyby dowódca angielski nie był im przysłał na pomoc oddziału liczącego tysiąc ludzi.

Składu w Konkordzie nie zdołali wprawdzie ocalić Amerykanie; ale ów wypadek odwrotu Anglików, podnosząc w nich zaufanie, wielkie miał dla nich znaczenie. Mieszczanie i wieśniacy, uzbrojeni, jak kto czém miał, stoczyli walkę z oddziałem wojska doborowego i dobrze wyćwiczonego. Strzelali dobrze, umieli podsuwać się pod nieprzyjaciela, korzystać na prędce z lada jakiego wzgórza, z każdego poszczególnego drzewa, kamienia, jako zasłony i z poza niéj strzałami trapili nieprzyjaciela. Byłto sposób wojowania zwany tyralerką, który późniéj powszechnie w wojnach zastosowano.

„Do broni!“ Wezwanie to brzmiało od jednéj odosobnionéj osady do drugiej, od wsi do wsi, od miasta do miasta. Komu tylko biło serce do niepodległości kraju, kto w poczuciu sprawiedliwości brzydził się tyranią, brał ze ściany strzelbę, przypasywał kordelas i żegnał się ze swoimi. Prości ludzie zamiast mundurów wdziewali na suknie koszule jakby bluzy, od czego nazwano ich koszulnikami; zamożni szli w białych perukach. Niedawno jeszcze drwili sobie angielscy żołnierze z „koszulników i perukarzy“, ale podczas owego powrotu z Konkordu do Bostonu, który bardzo podobny był do ucieczki, odeszła ich chęć drwinek. Ze wszech stron Amerykanie nadciągali ku Bostonowi, który obsadził był nieprzyjaciel. Nieza-

Wdługo 15.000 Amerykan otoczyło od lądu miasto. Pilnowano bacznie nieprzyjasiela, aby go nie wpuścić w głąb kraju. W przykrém położeniu byli Bostończycy, którzy pod okiem nieprzyjaciela ruszyć się nie mogli. Komendant angielski, Gage, obawiając się, aby Bostończycy przy pomyślnéj sposobności nie powstali przeciw niemu, przyrzekł, że, byle tylko broń oddali, pozwoli im wyjść z miasta i połączyć się ze swymi. Bostończycy uwierzywszy złożyli broń; ale jenerał postąpił sobie podle, bo zatrzymał ich w mieście jako zakładników.

Na pociechę nieprzyjacielowi, a na zmartwienie Amerykanom, zjawiły się pewnego dnia okręty angielskie w porcie Bostońskim. Przywiozły one 4000 żołnierzy pod dowództwem jenerała Howego, człowieka zarozumiałego, który się przechwalał, że nie masz łatwiejszéj sprawy w świecie, jak nauczyć rozumu hołotę amerykańską. Jemu też powierzono naczelne dowództwo angielskiego wojska w Ameryce. Zdaje się, że to, czego się wylądowawszy dowiedział o odwrocie Anglików z Konkordu, zachwiało nieco jego pewność siebie, gdyż nie uderzył od razu, jakby to po jego przechwałkach należało się było spodziewać, na ochotników amerykańskich, obozujących w pobliżu Bostonu. Natomiast ci dali pierwsi nowy znak życia. W nocy usypali szańce blisko miasta. Howe wyruszył z całém swém wojskiem, aby wziąć szańce. Obie strony walczyły z największą pogardą śmierci. Dwa razy strzelcy amerykańscy odparli nieprzyjaciela, i zapewne dalsze byliby wytrzymali natarcia, gdyby nie było im zabrakło nabojów. Toż przy trzecim ataku cofnąć się musieli. Odwrót ten wykonali w największym porządku; zresztą i nieprzyjaciel był nadto znużony, aby mógł był myśleć o ich niepokojeniu.

Anglicy utrzymali pole bitwy; ale jakżeż świetnie walczyli niewyćwiczeni ochotnicy przeciw wojsku regularnemu i dowodzonemu przez wodzów doświadczonych! Stracili oni 453 ludzi, Anglikom ubito 1054. „Nigdy — powiadał jenerał Howe — nie słyszałem o takim rozlewie krwi w tak krótkim czasie!“

Była to bitwa pod Bunkerhilem; chrzest krwawy Amerykan, którzy najzupełniej zasłużyli sobie na pomnik, jaki im późniéj tam postawiono. Każdy czuł to dobrze, że ludzie, takim ożywieni duchem, będą umieli wywalczyć ojczyznie niepodległość! Wasyngton, usłyszawszy o tej walce, zawołał z radością: „Wolność kraju zabezpie-

czona!“ Szańce zajęli Anglicy; ale to nie uwolniło od obsaczenia miasta, bo Amerykanie pozostali w jego pobliżu.

IX. Wasyngton naczelnym wodzem.

Dnia 10go Maja 1875 zebrał się znowu kongres kolonii. Naradzano się nad środkami obrony dla wszystkich prowincyi. Najczynniejszym w téj sprawie był Wasyngton; jego też obrano przewodniczącym wszystkich komitetów, ustanowionych do spraw wojskowych.

Położenie kraju pociągało za sobą mianowanie naczelnego wodza. W kongresie zasiadali dzielni ludzie, którzy, jako oficerowie różnych stopni, służyli dawniéj w wojsku angielskiém. Niejeden z nich miał nadzieję otrzymania naczelnego dowództwa. Już i w pierwszych walkach podczas odwrotu z pod Konkordu i w krwawéj potrzebie pod Bunkerhilem, dali się poznać dzielni dowódcy. Nie brakło więc kandydatów, żywo ubiegających się o dowództwo, kiedy tymczasem Wasyngton, tak jak to czynił przez całe życie, niczém i nikomu nie dał poznać, jakoby miał jakie do tego zaszczytu pretensye; tém mniéj też wpływał na kogo w swoim interesie.

Wreszcie dnia 15go Czerwca kongres przystąpił do wyboru naczelnego wodza; a kiedy obliczono kartki, okazało się, że wszystkie głosy padły na Wasyngtona, z wyjątkiem jednego t. j. jego własnego głosu. Wasyngton podziękował zgromadzeniu za ten dowód zaufania; przyrzekł, że wiernie będzie służył ojczyźnie; ale zarazem dodał, iż się obawia, czy podoła temu zadaniu. W końcu rzekł: „Jeżeliby nieszczęście udaremniło moje usiłowania, proszę każdego z obecnych w tém zebraniu panów, aby sobie przypomniał moje otwarte i szczere wyznanie, które tu czynię, że nie myślę, abym siłami memi podołał stanowisku, którém mnie zaszczycono.“ Przyjął on wybór jako wolą Opatrzności, któréj nieusłuchanie uważał za grzech ciężki; toż postanowił wytężyć wszystkie swe siły w nadziei, że Bóg mu dopomoże. Wolny od ambicyi, pojmujący jasno cały ogrom zadania, którego spełnienia po nim oczekiwano, Wasyngton przyjmując wybór spełniał wielką dla ojczyzny ofiarę. Wiadomo nam już, jak lubił spokojne w kole rodzinném pożycie

i ciche wiejskie zatrudnienia, w nich upatrując prawdziwe szczęście; teraz zaś miał stanąć na czele ruchu wojennego, który w razie pomyślnego skutku, na długi czas wyrywał go z koła rodzinnego i siedziby rodzinnéj. Ale w duszy męża tego górowała bogobojność i świadomość obowiązku; poddał się woli narodu bez szemrania; a tylko jakby lekki powiew tęsknoty przebija z listów, które pisał tuż po wyborze. „Możesz mi wierzyć — pisze on do żony — jeśli cię najuroczyściej zapewnię, że nietylko nie ubiegałem się o to stanowisko, lecz ile tylko mogłem, starałem się go uniknąć, raz dla tego, żeby się z tobą i rodziną nie rozłączać, powtóre w przeświadczeniu, że stanowisko to za wielkie na moje zdolności. Miesiąc pobytu w domu więcéjby mi przyniósł prawdziwego szczęścia, aniżeli je znaleść mogę w odmęcie świata, nawet gdyby jakie były po temu widoki. Położę z wiarą zaufanie w Opatryności, która mnie dotychczas ochraniała i wspierała swą łaską, a nie wątpię, że w jesieni w dobrém zdrowiu wrócę do ciebie. Trudy i niebezpieczeństwa wyprawy wojennéj nie sprawią mi przykrości. Uczucia przykre pochodzić będą z niepokoju, jakiego ty, jak mi to wiadomo, doznawać będziesz, pozostawszy sama. Toteż proszę ciebie, abyś użyła całéj swéj stałości i przepędzała czas ile możności najprzyjemniéj. Nic mnie prawdziwiéj nie uspokoi, jak wiadomość o tém, zwłaszcza gdy mi sama ją doniesisz.“ — Do przyjaciela pisał Wasyngton: „Sprawa ojczyzny powołała mnie do ciężkiego i niebezpiecznego obowiązku; ale mam nadzieję, że Opatrzność boska, która kieruje losem człowieka, da mi możność, dopełnić go wiernie i szczęśliwie.“

Jako wodzowi naczelnemu wyznaczono Wasyngtonowi pięćset dolarów miesięcznéj płacy; ale on stanowczo odmówił przyjęcia wszelkiego wynagrodzenia. O wydatkach, które mam czynić w sprawie publicznéj — rzekł Wasyngton — zdam rachunki, a jeśli mi będą zwrócone, tedy stanie się wszystko, czego sobie życzę. Jeden z najznakomitszych członków kongresu, mąż głębokiego wykształcenia, Jan Adams, pisał do przyjaciela: „Dla mnie tkwi coś czarującego w postępowaniu Wasyngtona; jest on panem jednego z największych majątków na stałym lądzie, a przecież porzuca swoje miłe zacisze, rodzinę i przyjacioł, poświęca swój spokój i dla sprawy ojczyzny wszystko stawia na kartę. Zamiary jego szlachetne i bezinteresowne.“ W patencie nominacyjnym, wręczonym naczelnemu wodzowi d. 20go Lipca, wspomniano o jego miłości ojczyzny i męstwie, o rzetelności i sumienności, jakich dowiódł we wszelkich sto-

sunkach i o jego czystém życiu. Ponieważ zbliżał się dzień, w którym Wasyngton udać się miał do armii, przeto, ci co go jeszcze nie widzieli, pragnęli ujrzeć wodza naczelnego. Czyniąc zadość życzeniu oficerów kazał on wyruszyć do przeglądu kilku kompaniom ochotników. Wszyscy byli zachwyceni postawą wodza. „Ideał wodza naczelnego, jaki sobie ukształciła publiczność — mówi Irwing — rzadko kiedy tak zupełnie odpowiedział rzeczywistości. Wasyngton był teraz w pełnéj sile życia, miał lat czterdzieście i trzy, okazałéj postaci, szlachetnego, spokojnego i pełnego godności obejścia. Kiedy z męskim wdziękiem siedział na koniu, postawa jego wojskowa zachwycała oczy wszystkich, a dokąd tylko się zwrócił, powietrze brzmiało od okrzyków zadowolenia. „Odznaczająca się bystrością rozumu żona Jana Adamsa pisała w liście o wodzu: „W osobie Wasyngtona widzisz połączenie zalet pana i żołnierza, godności, spokoju i uprzejmości, tak miłe, jakiego jeszcze w nikim nie widziałam. Skromność tronuje w każdej linii, w każdym rysie twarzy téj prawdziwie szlachetnéj i majestatycznéj postaci.“

X. Wasyngton pod Bostonem.

Jak rozważnie kongres amerykański postępował sobie w sprawie, mającéj rostrzygnąć o przyszłości narodu, i to może posłużyć za wymowny dowód, że w téj stanowczej chwili uważał jeszcze za swój obowiązek odezwać się do serca króla. Uczynił on to w prośbie, któréj każde słowo tchnie winném dla majestatu królewskiego uszanowaniem. „Prosimy o pozwolenie — mówi kongres w tém pismie — zapewnienia Waszej Królewskiej Mości, że mimo cierpień wiernych W. K. Mości mieszkańców kolonii w czasie obecnego sporu, pierś nasza przyjęta jest tak delikatném poczuciem winnych względów dla królestwa, któremu zawdzięczamy swój początek, że dalecy jesteśmy od żądania załatwienia sprawy, któreby uchybiało godności lub dobru naszego kraju macierzystego.“ Prośba ta raz jeszcze podawała rządowi angielskiemu sposobność wstąpienia na drogę pojednawczą. Rząd tego nie uczynił; kongres nawet odpowiedzi na prośbę swą z Londynu nie otrzymał. Odpowiedź miały mu napisać bagnety Howego; a rząd wcale nie wątpił, że będzie skuteczną,

czyli innemi słowy, że wódz angielski niezadługo doniesie o stłumieniu buntu, jak u góry nazywano ten słuszny i godziwy kolonii opór.

Tymczasem Wasyngton stanął pod Bostonem. Obóz wojsk amerykańskich skreślił wówczas kapelan pułkowy w następującym charakterystycznym obrazie: „Namioty są rozmaite, tak jak różny ubiór ich właścicieli; a każdy namiot jest wyrazem charakteru i smaku osób w nim się mieszczących. Jedne zbite są z desek, drugie z płótna żaglowego, a znów inne z jednego i drugiego materyału; tam znowu zbudowano je z kamieni i darni, z cegieł i chrustu; gdzieindzie wkopane w ziemię, lub z pręcia i gałęzi upleciono.“

Przybywszy na miejsce, Wasyngton niemiłego doznał zawodu. Zgromadzona pod Bostonem siła zbrojna nie wynosiła, jak go zapewniano, 20.000, lecz tylko 16.000 ochotników; a i z tych tylko 14.000 zdolnych do pełnienia służby. Znalazł tam ludzi odważnych, ale nie wojsko jednolite. Były to większe i mniejsze oddziały, różnorodnie uzbrojone pod dowódzcami, z których każdy działał na swoję rękę. Artyleryi wcale nie było, a również brakowało najniezbędniejszych urządzeń wojskowych.

Z masy tej różnorodnéj utworzyć wojsko jednolite, to uważał Wasyngton za pierwsze zadanie. A na pierwszy rzut oka zrozumiał także, że spełnienie tego zadania na nadzwyczajne napotka trudności. Wszak miał do czynienia wprawdzie z odważnymi, ale i nieprzywykłymi do uległości wojskowéj, synami puszcz leśnych. Toż nie za kilka dni lub nawet tygodni, lecz tylko w znaczniejszym przeciągu czasu można było podołać onemu niezbędnemu zadaniu. A tymczasem w mieście stało 11.000 dobrze uzbrojonego, wyćwiczonego i we wszystko, czego tylko wojna wymaga, obficie zaopatrzonego żołnierza.

Miał więc Wasyngton od chwili przybycia do obozu roboty co niemiara. Jakiejże to pilności i siły, jakiego zapasu wytrwałości i cierpliwości potrzeba było, aby obudzić ducha, bez którego zbiór ludzi, przeznaczonych do wspólnego działania, nie zdoła osiągnąć znaczniejszych skutków! Ale na czele stał tu człowiek, który od młodości zaprawił się do tego, że, czego się tylko jął, wszystko wykonywał należycie, że do każdej pracy z właściwej zabierał się strony, a na rozpoczętą zwracał podczas całego jej toku potrzebną uwagę i obracał siłę.

Rozpatrzywszy się w położeniu, w jakiém znajdowało się wojsko, nad którém miał dowództwo, Wasyngton zrozumiał, że nic mu innego nie pozostaje, tylko pójść za przykładem Fabiusza Kunktatora. Tak upłynął rok, a z obu stron nic nie przedsięwzięto. Pod koniec Grudnia zażądała część wojska amerykańskiego, która tylko na rok była się do służby zobowiązała, odprawy celem powrotu do domu. Żołnierze ci mieli za sobą prawo; Wasyngton więc uwolnił ich od służby. Tym sposobem zaledwie jeszcze 10.000 pozostało w obozie pod Bostonem, kiedy nieprzyjaciel w mieście otrzymał tymczasem świeże posiłki.

Patryoci w kraju ani przeczuwali, z jakiemi to trudnościami miał Wasyngton do walczenia. Jaki taki mniemał, że już w pierwszych dniach dowództwa Wasyngtonowego dzienniki będą miały co donosić o walkach i zwycięstwach. A tu tymczasem i rok upłynął, a nic jeszcze się nie stało!

Dwa listy Wasyngtona do pułkownika Reeda, w owym czasie pisane, dostatecznie malują ówczesny stan rzeczy. „Bardzo wątpię — pisze on w pierwszym liście — aby się w całéj historyi znalazł choć jeden przykład podobny do naszego położenia, w którém utrzymaliśmy, prochu nie mając, stanowisko nasze przez sześć miesięcy przeciw sile wojsk brytańskich, i w którém rozwiązano wojsko, aby złożyć nowe w obec nieprzyjaciela, na strzał zwykłej strzelby oddalonego. Jak się skończy ten ostatni manewr, tylko przyszłość okaże; ja ze swéj strony pragnąłbym, abyśmy byli o o miesiąc starsi.“ W liście drugim z Lutego następnego (1776) roku pisze Wasyngton: „Ja, bardziéj aniżeli ktokolwiek, znam to nieszczęsne położenie, w którém się znajduję; wiem, czego to wymagają po mnie; ale i o tém wiem także, że bez żołnierzy, bez broni, bez amunicyi, mało co da się zrobić. Co mnie najbardziéj przygniata, to właśnie ta nieszczęsna okoliczność, że nie mogę się przed światem wytłómaczyć bez wyjawienia naszego kłopotliwego położenia, a tém samém i zaszkodzenia własnéj sprawie. Dlategoteż postanowiłem, donosząc o naszych potrzebach, uczynić to tylko o tyle, ile mnie zmusza nieodzowna konieczność. Położenie moje jest nieraz tak przykre, że gdybym mniej zważał na dobro publiczne, aniżeli na własny spokój, dawnobym był wszystko ważył na jednę stawkę. Zamiast 20.000 wojska, dobrze uzbrojonego, mniej niż połowę tej liczby mam do rozporządzenia, w co wcale nie wliczam chorych, urlopowanych, z powodu posyłek nieobecnych i źle uzbro-

jonych. Położenie moje jest takie, że wszelkich muszę używać sposobów, abym je ukrył przed własnymi oficerami.“

Niezmordowanie pracował Wasyngton około organizacyi wojska. A nie tylko stronę jéj zewnętrzną, uzbrojenie, żywienie itp. miał na uwadze, lecz chodziło mu również o przekształcenie jego wewnętrzne, o wyrobienie ducha karności, o wzbudzenie w niém ducha poświęcenia i poczucia godności w przeświadczeniu, że służy tak poważnéj i szlachetnéj sprawie. Nie żołdactwem, uważającém wojnę za proste rzemiosło, lecz rycerstwem na usługach ojczyzny, w obronie praw najdroższych walczącéj, chciał wojsko swe mieć szlachetny wódz, całą uwagę swego zadania jasno pojmujący. Tymczasem w szeregach znajdowało się niemało hultajstwa, gorszące wiodącego życie. Wasyngton wydał więc rozkaz dzienny, w którym następujący mieścił się ustęp: „W czasach tych powszechnéj biedy mogą ludzie, służąc Bogu i ojczyznie, dość znaleść zajęcia, zamiast oddawania się występkom i rozpuście; sprawa, za którą walczymy, jest sprawą cnoty i ludzkości. Wypadek walki, korzyść dla naszych potomków, zależy na powadze i sumienności naszego sił wytężenia; a wypadkiem tym musi być wolność lub niewola. Czyż dla mężów może być silniejsza pobudka do życia uczciwego? Przytém mają wiedzieć żołnierze, że każdy, ktoby w walce w tyle pozostawał, krył się, cofał bez rozkazu dowódzców, jako tchórz, dla przykładu natychmiast będzie rozstrzelany; tchórze bowiem ohydném swém postępowaniem zdemoralizowały już nieraz wojsko najlepiej wyćwiczone.“

Z rozkazu tego wielu w obozie wnosiło, że wódz postanowił uczynić w krótkim czasie stanowczy krok przeciw nieprzyjacielowi. I w saméj rzeczy myślał o tém; zamierzył bowiem obsadzić wzgórza, blisko miasta się wznoszące. Jakoż, aby odwrócić uwagę nieprzyjaciela, Wasyngton utrzymywał w nocy z 3go na 4ty Marca silny na miasto ogień; a tymczasam zabrał i natychmiast obwarował wzgórza. Roboty około okopów postępowały z taką szybkością i skutkiem, że jenerał Howe, spojrzawszy z rana ku wzgórzom, nie mogąc wyjść z podziwienia, zawołał: „Buntownicy dokonali przez noc takiéj roboty, jakiej nasza armia za cały miesiąc nie byłaby podołała.“

Wasyngton musiał być przygotowanym na najzaciętszy nieprzyjacielski atak, bo wzgórza owe, zwane Dorczeterskiemi, panowały nad całém miastem. Trzeba więc było spodziewać się powtó-

rzenia krwawéj, jak pod Bunkerhilem walki. Ale deszcz i burza przeszkodziły w dwóch dniach następnych dowódzcy angielskiemu w przedsięwzięciu ataku; Amerykanie zaś równie pilnie i wytrwale krzątali się około dalszych na wzgórzach robót. Kiedy wreszcie ustała niepogoda i Howe znów przypatrzył się dziełu nieprzyjaciół, nie ważył się więcej myśleć o szturmie na szańce amerykańskie. Ale i dalszy pobyt w mieście uważał za daremny, a nawet wobec panującego nad miastem stanowiska nieprzyjacielskiego, za niebezpieczny. Nie pozostawało mu tedy nic innego, tylko opuścić miasto i wsiąść z wojskiem na okręty.

Wasyngton zajął Boston.

Wiadomość o tém zdarzeniu wywołała w całym kraju największą radość. Kongres uchwalił na pamiątkę oswobodzenia Bostonu wybić złoty medal z wizerunkiem Wasyngtona. Wasyngton w pokorze serca dziękował Bogu za ten zwrot rzeczy; a cieszył się tym pomyślnym wypadkiem w przeświadczeniu, że zwrot ten pokrzepi ufność patryotów. Nie tyle cieszył go zaszczyt, jakim go uczcić postanowiono; nawet byłby go się zrzekł chętnie; wiedział bowiem dobrze, że do zupełnego ukończenia walki i wyswobodzenia kraju długa jeszcze i ciężka czeka go i naród droga.

XI. Ogłoszenie niepodległości.

Amerykanie przekonawszy się, że wszelkie ich prośby i przedstawienia o wymiar sprawiedliwości i słuszności pozostały bez skutku, uznali wreszcie za rzecz potrzebną i porę za stosowną do ogłoszenia wobec świata, iż uważając się za uwolnionych od wszelkich względem Anglii obowiązków, postanowili własne i niepodległe utworzyć państwo. Nastąpiło to dnia *4go Lipca 1776 roku.*

Była to chwila uroczysta, kiedy zgromadzonemu przed gmachem kongresu w Filadelfii ludowi ogłoszono, iż „trzynaście zjednoczonych Stanów Ameryki zgodziły się na ogłoszenie niepodległości“, i kiedy uderzono w dzwon, na którym wyryty były słowa: „Wolność całemu krajowi i wszystkim jego mieszkańcom!“ Na odgłos dzwonu tego odezwały się dzwony najbliższe, te obudziły dalsze; bito więc w dzwony od wsi do wsi, od miasta do miasta, a tym

sposobem w krótkim czasie uwiadomiono kraj cały, na znaczenie dnia tego przygotowany, że nastąpił wielki, co do następstw tak ważny, krok zupełnego i nieodzownego oderwania się od kraju macierzystego, krok, do którego tyrania Anglii popchnęła mieszkańców Ameryki.

Lud i wojsko wszędzie głośno oświadczało się za kongresem. Usposobienie chwili ówczesnej wyraża wybitnie mowa Samuela Adamsa, jaką miał dnia 1. Sierpnia wobec zgromadzonych obywateli Filadelfii. „Bądźcie zgodni, a nie potrzeba nam reszty świata. Kraje nasze północne dostarczają nam środków do zaspokojenia potrzeb codziennych, a nawet do dogodzenia zachceniom wybredniejszym; dają one żelazo, drzewo na budowy i maszty, len i zboże, Georgia i obie Karoliny mają na własny użytek i na wywóz indygo, ryż, konopie i obfitość drzewa na budulec i okręty, Wirginia i Maryland obfitują w pszenicę, kukurydzę i tytoń. Z ochotą każdy naród, niepewny swych zbiorów lub nieposiadający naszych płodów, zamieni je na wyroby swego przemysłu. Handel zagraniczny dostarczył nam już kilkakrotnie całych ładunków odzieży, zapasów wojennych itp., mimo wynoszonéj morskiéj potęgi Anglii, długo jeszcze będziemy korzystali z tych stosunków, a niebawem nadejdzie czas, w którym wyspy zachodnioindyjskie szukać będą naszéj opieki. Tak więc warunki i korzyści przyrodzone zabezpieczają naszę niepodległość, a mocarstwa europejskie dla własnéj korzyści szukać będą naszéj przyjaźni. Kto więc ze słabości lub nikczemności przenosi panowanie brytańskie nad życie wolnego narodu, ten niech wie, że teraz nakazuje konieczność to, co dawno już nakazywały szlachetne miłości ojczyzny zasady. Nam pozostaje tylko wybór między niepodległością a haniebną, uciążliwą niewolą. Bandy naszych wrogów najeżdżają nasze pola, zniszczenie i śmierć znaczą krwawą ich drogę, kiedy rozszarpane naszych ziomków ciała, jakby głosem z nieba wołają na nas i upominają: Chcecież cierpieć, aby potomkowie nasi jęczeli w ciężkich kajdanach naszych morderców? Czy krew nasza na darmo przelana? Maż jedyną nagrodą naszéj do śmierci wierności być coraz cięższa ojczyzny niewola? „Pomnijcie, jacy to ludzie żądają od was posłuszeństwa! Ludzie, którzy bez względu na związki krwi i długoletnią naszę cierpliwość, ułożyli sobie wydrzeć wam nawet małą waszę własność, jakby z łaski tylko wam daną. Pomnijcie, że ludzie, którzy was chcą uciemiężyć, rozerwali święte umowy, z ojcami waszymi zawarte,

nasłali do miast waszych tłumy żołdactwa, aby szyderstwem i mordem wymódz posłuszeństwo; cierpliwość waszę nazwali tchórzostwem, a bogobojność obłudą.“

Wszędzie uroczyście obchodzono dnia tego znaczenie, aby tym sposobem jawnie przyznać się do udziału w tym wielkim akcie publicznym. Wszędzie poniszczono godła władzy królewskiej. W Nowym Jorku obalono posąg Jerzego III., a z porąbanéj masy kruszcu lano kule. Mieszkańcy Sawany w Georgii urządzili kondukt pogrzebowy i pogrzebali przed ratuszem obraz króla Jerzego III. Jeden ze zgromadzonych miał przy tej sposobności mowę pogrzebową, w której między innemi powiedział: „Król złamał w najhaniebniejszy sposób przysięgę swą koronacyjną; zdeptał konstytucyą naszego kraju i święte swobody człowieka. Dlategoteż składamy do grobu byt jego polityczny, zepsucie do zgnilizny, w pewnéj i niezawodnéj nadziei, że nigdy nie doczeka się zmartwychwstania, aby kiedykolwiek znów panował nad tymi wolnymi i niepodległymi krajami Ameryki.“

Wszyscy przyjaciele wolności w Europie spoglądali z współczuciem na tok sprawy téj zaatlantyckiéj. Trwożliwe umysły mniemały wprawdzie, że przykład ten pociągnie za sobą wszędzie wybuch przeciw monarchicznéj formie rządu. Ale czyż Amerykanie nie dali także przykładu wielkiej cierpliwości? Czyż nie dali tylu dowodów, że chcieli zatrzymać dawny swój do Anglii stosunek, a z nim i rząd monarchiczny? Czegoż to żądali od króla? Wszak tylko szanowania dawnych praw kraju. Prawa są podwalinami każdego państwa, zatém i monarchii. Kto nie chce w żywe oczy zaprzeczać prawdzie, ten musi przyznać, że król Jerzy III. i jego ministrowie rozerwali węzeł, który łączył kolonie z Anglią, a kolonie wtedy dopiero ogłosiły się państwem niepodległém, kiedy wszelkie ich najrzetelniejsze usiłowania, aby prawu przywrócić uznanie, rozbiły się o nieprzełamany upór angielskiego rządu, kiedy im miasto chleba sprawiedliwości, rosnącego na gruncie pojednania, o który prosili, dawano kamień tyranii, a na ich uniżone prośby odpowiedziano prochem i ołowiem.

Akt zawierający ogłoszenie niepodległości jest tak co do treści, jak formy dokumentem po mistrzowsku napisanym. Amerykanie nie wzywają w nim do naśladowania; przeciwnie upominają nawet, „aby rządów długo istniejących nie zmieniać dla jakichś przemijających powodów.“ Zato w ogłoszeniu obok wyłożenia rzeczywistych celów

życia publicznego przebija się zamiar usprawiedliwienia kroku tego przed światem.

„Historya teraźniejszego króla Wielkiej Brytanii“ — powiada ogłoszenie — „jest historyą samowoli i ciągłych bezprawi, które wszystkie miały na celu nieograniczone panowanie przemocy nad tymi krajami. Na dowód przekładamy uczciwemu światu fakta następujące:

„Połączył on się z drugimi do narzucenia nam władzy ustawodawczéj, obcéj tak naszéj konstytucyi, jak przez prawa nasze nieuznanéj, a to przyzwalając na wrzekome prawne uchwały, aby na ich podstawie

„bez naszego współudziału nakładać nam podatki —

„w wielu razach pozbawić nas dobrodziejstwa sądów przysięgłych;

„wysyłać nas za morze i sądzić nas tam za rzekome przestępstwa;

znieść w prowincyi sąsiedniéj wolną angielską konstytucyą, a natomiast zaprowadzić rząd na samowoli oparty;

„odjąć nam nasze przywileje, nasze najdroższe prawa i zupełnie przekształcić nasze władze rządowe;

„pozbawić nasze ustawodawcze zgromadzenia prawa obradowania, aby sam się ogłosił jedynie uprawnionym do narzucania nam ustaw we wszelkich przypadkach. —

„On sam zrzekł się tu rządu, odkąd ogłosił nas za wyjętych z pod swej opieki i wojnę wniósł do naszego kraju;

„On plądrował po naszych morzach, pustoszył nasze wybrzeża, popalił miasta i niszczył życie naszych współobywateli;

„On w téj chwili wysyła na nas wielkie wojska obcego żołdactwa, aby dokończyć dzieła zniszczenia, nędzy i niewoli.

„On współobywateli naszych, na pełném morzu schwytanych, zmusił do walki przeciw swéj własnéj ojczyźnie, zmusił ich do tego, aby się stali albo katami swych przyjaciół i braci, albo od nich śmierć ponosili.

„On wszczął między nami rozruch domowy i na mieszkańców naszych pogranicznych okolic nasyłał dzikich Indyan, których znany sposób wojowania polega na mordowaniu wszystkiego, co żyje bez różnicy wieku, płci i stanu.

„Na każdym stopniu ucisku prosiliśmy w najuniżeńszych sło-

wach o zaradzenie krzywdom naszym; ale na ponawiane kilkakrotnie prośby nasze ponownemi odpowiadano krzywdami.

„Monarcha, którego naturę tak znamionują czyny, po których poznaje się tyrana, niezdolny jest na władcę wolnego narodu.

„Nie zaniechaliśmy także udawania się do braci naszych w Wielkiej Brytanii. Ale i oni nie usłuchali głosu słuszności i krwi. Zatém nastąpiła dla nas konieczność zerwania z nimi, i uważania ich na równi z resztą ludzi, w wojnie za wrogów, w pokoju za przyjaciół.“

„Zgromadzeni na walnym kongresie zastępcy zjednoczonych Stanów Ameryki, wzywamy więc Najwyższego spraw ludzkich Sędziego na świadka czystych naszych zamiarów, a w imieniu i z pełnomocnictwa uczciwego tych kolonii mieszkańców ogłaszamy i uroczyście oświadczamy, że te zjednoczone kolonie są i podług prawa i słuszności mają być wolnymi i niepodległymi Stanami; że wolne są od wszelkich względem korony brytańskiéj obowiązków poddaństwa; że wszelki między niemi a państwem Wielkobrytańskiém związek jest i ma być zupełnie rozwiązany. — A do dotrzymania tego oświadczenia, pełni silnéj ufności w opiekę Opatrzności boskiéj, zobowiązujemy się wzajemnie naszém życiem, mieniem i naszym honorem.“

Akt ten ogłoszenia niepodległości, a zgoła całe zachowanie się kongresu, zyskało sobie uznanie i wzbudziło podziwienie u najznakomitszych mężów w Europie.

XII. Ciężkie czasy.

Chorągiew gwiazdzista — bo trzynaście gwiazd jako znak trzynastu amerykańskich kolonii na niéj jaśniało — została podniesiona. Wywalczyć pod nią wolność lub zginąć, stało się hasłem narodu.

Wiele trudności już pokonano, ale nierównie większe zostawały do przyzwyciężenia. Anglia skupiała wszelkie siły, aby upokorzyć wrzekomych buntowników; posyłała jenerałowi Howemu nowe wojska, a między niemi Niemców, kupowanych u książąt mniejszych państw niemieckich, którzy jako czuli „ojcowie swych krajów“ („Landesvater“) — tak się zwykle lubili tytułować, — nie wstydzili

się tego kupczenia krwią ludzką. Sprzedawali więc poddanych Anglikom, którzy ich wiezli do Ameryki, aby walczyli w sprawie całkiem obcéj, jako proste i mimowolne despotyzmu narzędzia!

Handel ten ludźmi przypada na czas rozkwitu władzy niemieckich książąt państewkowych. Trudnili się nim książęta Heski, Brunszwicki, książę na Bajrajcie i Anspachu i Anhalcko-Zebrski. Heski najwięcéj ludzi dostarczał, dla tegoteż sprzedanych do Ameryki Niemców nazywano pospolicie Hesami. Kto w Hesyi od takiéj sprzedaży chciał się ratować ucieczką, a wpadł w ręce siepaczy książęcych, tego zakuwano w kajdany i kneblowano. Na zażalenia rodziców odpowiadano wtrącaniem ojca do ciężkiego więzienia, zamknięciem matki do domu poprawy. Na targu w Kaselu angielscy kupcy płacili za poddanych heskich po sto talarów głowa na głowę. Fryderyk II. pruski szydził sobie wówczas, mówiąc, że panowie „ojcowie krajów“ nie powinniby zapominać także o poborze cła od bydła! Niemiecki pisarz Seume, którego wówczas także pochwycono i sprzedano, powiada: „Nikt nie mógł być bezpiecznym pod tym przekupniem dusz (księciem panującym). Namowy, podstęp, oszustwo, wszystko było dobre, byle schwycić ludzi. Toż napadano i swoich i cudzoziemców wszelkiego rodzaju, chwytano i wysyłano.“ Książę na Bajrajcie i Anspachu, kiedy wsadzano jego poddanych na statki, stał z nabitą bronią na brzegu Menu, aby strzelać do tych, którzyby próbowali ucieczki. Tym sposobem sprzedano Anglikom 29.000 Niemców „jako żer armatni“. — „Nie bez westchnienia — powiada pewien lord angielski — będzie mógł myślący podróżnik patrzyć na wspaniały park w Wilhelmshöhe pod Kaselem; założono go bowiem za pieniądze, zyskane ze sprzedaży synów mieszkańców Kaselu i miejsc okolicznych.“

Wspomnieliśmy już nieco wyżéj, że jenerał Howe opuściwszy Boston, wojsko swe wsadził na okręty, aby na inném wylądować miejscu. Wasyngton domyślał się tego, a mianowicie, że Howe zamierzał zająć Nowy Jork; dlatego też posłał tam część wojska pod drugim dowódzcą, sam zaś za nim pospieszał.

Tymczasem flota Howego połączyła się z okrętami świeżo przybyłymi, przezco siły angielskie znacznie przewyższyły liczbę wojska amerykańkiego. Howe wylądował więc na Long-Island, niedaleko Nowego Jorku, skąd chciał zająć to miasto, aby z tego punktu przeciąć połączenie między południowemi a północnemi prowincyami amerykańskiemi. Tuteż przyszło do walki, w któréj Hesi odzna-

czyli się wielką odwagą. Nacierali oni na Amerykan z taką zapamiętałością, iż zdawało się, jakoby z rozpaczy, że gwałtem wyrwani byli z ojczyzny, sami szukali śmierci. Amerykanie ponieśli klęskę; a nawet groziło im niebezpieczeństwo, że w następnych dniach będą na wyspie otoczeni i dostaną się do niewoli. Wasyngton więc postanowił korzystać z nocy, aby pod jéj zasłoną wsadzić na statki swe niewielkie wojsko. Ale kiedy z nocą zapadającą zabierał się do wykonania swego postanowienia, a dla złudzenia nieprzyjaciela rozkazał pozapalać i podtrzymywać wielkie ognie w obozie, o mało że cały plan jego nie został udaremniony. Czego bowiem nikt nie przeczuwał, zdrada w tym samym czasie knuła zgubę wojska amerykańskiego. Jedna z Amerykanek, sprzyjająca Anglikom, posłała niewolnika do wodza angielskiego z doniesieniem o zamiarze i przygotowaniach Wasyngtona. Przypadek chciał, że niewolnik wpadł w ręce żołnierzom heskim, stojącym na przednich strażach. Murzyn przysięgał się, że ma bardzo ważną dla jenerała Howego wiadomość; ale na szczęście Niemcy hescy nie rozumieli ani słowa z mowy jego. Uważając go za szpiega związali go, wzięli pod straż, i dopiero nazajutrz rano odstawili do głównéj kwatery. Łatwo pojąć, że nie był wdzięczny Hesom jenerał Howe, bo wiadomość, która w nocy byłaby mu oddała w ręce wojsko amerykańskie, teraz żadnego nie miała znaczenia. Wasyngton bowiem wykonał swój zamiar, odpłynął z wojskiem, a tym sposobem nadzieja Howego, że ma nieprzyjaciela w ręku, spełzła na niczém.

Z przykrego swego położenia Wasyngton wydobył się, jak można było, najszczęśliwiéj, dokonawszy odwrotu z przezornością podziwienia godną. Sam, dopóki wojsko całe nie wsiadło na statki, przez czterdzieści ośm godzin z konia nie zsiadał.

Tym sposobem rdzeń sił amerykańskich został ocalony; ale jakżeż małe były one w stosunku do liczby nieprzyjaciela! Niejeden z patryotów smutnie spozierał w przyszłość, a i sam Wasyngton miewał godziny i dni, w których przyjmowała go obawa, że słuszna sprawa upadnie. Nie tracił jednak ducha; owszem stale trwał w postanowieniu raz powziętém: służyć jej wiernie do końca, chociażby wierność tę przyszło przepłacić życiem.

Kto się poświęcił na usługi ojczyznie, tego wierność najświetniéj jaśnieje w chwili niebezpieczeństwa i biedy. Od nieszczęśliwéj walki na Long Island rozpoczął się dla Amerykan czas ciężkich kłopotów i udręczeń, o czém wyraźnie świadczą listy Wasyngtoan.

Pisał on do prezydenta kongresu: „Położenie nasze w saméj rzeczy jest dość przykre. Klęska na Long Island zniechęciła całe wojsko; opanowała je bojaźń i rozpacz. Pospolite ruszenie, zamiast się ocknąć, aby powetować klęskę, upadło na duchu i chce wracać do domu. Część nawet już to uczyniła. Połowy, ba nawet całe pułki już nas opuściły, odchodząc czasem całemi kompaniami. Do czegoto doprowadzi taki stan karności wobec znacznie przeważających sił nieprzyjaciela, dobrze wyćwiczonego i wybornie uzbrojonego!“ — Dlatego też wracam do zdania, które częstokroć przedtém wypowiedziałem. Nasze prawa są w niebezpieczeństwie, jeśli mają ich bronić wojska, na krótki czas zaciągane. Potrzeba nam armii, którąby przez cały przeciąg wojny w służbie pozostawała. Posłuszeństwo, porządek, karność tylko w takiém wojsku dadzą się utrzymać.“ W dwa dni później pisze on: „Położenie nasze jeszcze się pogorszyło. Całe oddziały wojska odeszły; jestem przekonany, że z pozostałych niezadługo mało wytrwa.“ A mimo to zachował on cały spokój umysłu, i nawet usprawiedliwiał tych, którzy upadali na duchu. Pisał on w téj sprawie do przyjaciela: „Ludzie dopiero co wyrwani z zacisza domowego życia, nie przyzwyczajeni do służby wojskowéj, bez wprawy w niéj, łatwo wobec żołnierza wyćwiczonego tracą ufność w siebie, a do tego zmiana trybu życia, do którego byli przyzwyczajeni, tłómaczy także naturalną chęć nieprzyzwyciężoną powrotu do tego zwyczajnego życia.“

Ale kiedy za dni kilka spotkawszy się z nieprzyjacielem najlepsze dywizye amerykańskie pierzchnęły przed małym oddziałem Hesów, Wasyngton sam stracił krew zimną, jaką się zawsze odznaczał. On, przejęty świętym względem ojczyzny obowiązkiem, oburzył się na brak odwagi obrońców ojczyzny w stanowczéj chwili. Wpadał więc między pierzchających, a dobywszy pistoletu strzelał do własnych żołnierzy wołając: „Czy to są ludzie, z którymi bronić mam ojczyzny?“ Rozpacz opanowała wodza. Zdawało się, że szuka śmierci; w chwili bowiem, kiedy opuszczali go właśni żołnierze, a nieprzyjaciel zaledwie na pięćdziesiąt kroków był oddalony, on z miejsca się nie ruszył. Dopiero adjutant schwycił konia za cugle i prawie przemocą uprowadził wodza.

Odwrót odbywał się daléj. Wasyngton znów zdał raport o stanie rzeczy kongresowi, który wreszcie zgodził się na zaciąg żołnierzy w warunkach, przez wodza podanych. Ale wykonanie tego postanowienia wymagało czasu. Ludzi nie było tuż na zawołanie,

a jeżeli nawet zgłosili się ochotnicy, trzeba było przynajmniéj jakotako zaprawić ich do służby wojskowéj, kiedy tymczasem nieprzyjaciel, ostatniemi powodzeniami poczuwszy się na siłach, myślał o jak najspieszniejszém uderzeniu. Do pogorszenia sprawy i pomnożenia trudności przyczyniła się jeszcze i ta okoliczność, że w koloniach było wielu rządu angielskiego zwolenników. Jedni stanowczo stali po stronie jego; drudzy sprzyjali wprawdzie sprawie ojczyzny swojéj i radziby byli jéj niepodległości, gdyby tę za jednym zamachem powiodło się było uzyskać. Ale gdy się rzecz przeciągała, gdy nasuwały się wielkie trudności, gdy wypadek ostateczny stawał się wątpliwym, patryoci ci małoduszni, podobni do chwiejącéj się trzciny, jak niegdyś owi Żydzi z Egiptu na puszczą zaprowadzeni, poczęli żałować dymiących się garnków, zrazu narzekać poczęli na sprawców nieszczęścia, aby potém w stosownéj chwili stanąć otwarcie po stronie „dawnego rządu“, a ciskaniem obelg na „wichrzycieli“ czołgać się przed tym, kto posiadał władzę.

Wszyscy więc, i ci i tamci, podnieśli teraz głowę, a gdzie tylko nadarzała się sposobność, starali się dopomagać wojsku angielskiemu. Ba co więcéj, z niektórych prowincyi przysłano nawet posiłki jenerałowi Howemu.

Cóż więc w takich okolicznościach miał czynić wódz naczelny? Znów przyszło mu grać rolę Fabiusza, unikać nieprzyjaciela, a stanowcze rozstrzygnięcie do stosowniejszéj odwlekać chwili. Ale to także sprawiło, że wielu, którzy całkiem stali po stronie kongresu, nie znając prawdziwego narodowych sił zbrojnych stanu, którego wódz nie mógł podawać do publicznéj wiadomości, aby bardziéj jeszcze nie rozstrajać patryotów, a dodawać większej otuchy nieprzyjacielowi, z niezadowoleniem patrzyło na postępowanie Wasyngtona. Co gorsza, najwierniejszy ten syn ojczyzny i tego się doczekał, że poza jego plecyma ambitni i rzeczy nieświadomi połączyli się, aby go strącić ze stanowiska i wynieść na nie innego, Dla ojczyzny zgryzł on i ten orzech i w tém okazując wielkość swéj duszy, gdyż nigdy i w niczém nie dał uczuć swym przeciwnikom ich pokryjomej roboty. Owszem tém usilniéj pracował nad powierzoném mu wielkiém zadaniem. Największą część spraw głównéj kwatery załatwiał on bez czyjéjkolwiek pomocy. Już korespondencya z kongresem wiele zajmowała czasu. Uchwały kongresu szły do rządu każdéj prowincyi, a sposób ich przeprowadzenia pociągał za sobą nowe rokowania z trzynastoma władzami naczelnemi. Można więc wysta-

wić sobie, ile tryb ten przyczyniał pracy wodzowi naczelnemu i jakiéj to potrzeba było niezmordowanéj pracowitości, jakiéj mocy nad sobą, ile cierpliwości, aby nie spuścić z oka celu pożądanego i z pospiechu lub przeoczenia nie pominąć jakiego szczegółu. O rozległości korespondencyi Wasyngtona z czasów wojny i pokoju świadczy przeszło dwieście tomów in folio listów i odpowiedzi, jego własną ręką pisanych. Są one dziś drogą po wielkim człowieku puścizną dla obywateli Stanów zjednoczonych. „Kto chce poznać całą wielkość tego ojca ojczyzny — woła jeden z jego wielbicieli — jego majestatyczną prostotę i spokój, jego niezmienne cele i olbrzymią siłę, ten niech czerpie z tego pierwotnego źródła jego listów i raportów.“

To były prace piórem. A ileż prócz tego było do czynienia! Narady z biegłymi w najróżnorodniejszych gałęziach nie miały końca; prace w różnych kierunkach zajmowały mu czas i siły wytężały. Niejednemu cudem się to wydawało, że jeden człowiek mógł równocześnie tylu podołać zadaniom, że ani niesłuszne nie drażniły go sądy, ani nie zniechęcało położenie, które wielu uważało za stracone. Nowy Jork i warownia Wasyngton dostały się w ręce nieprzyjaciela; wódz naczelny musiał jeszcze daléj cofnąć swe wojsko; jenerał Lee, który z nim chciał się połączyć, dostał się do niewoli.

XIII. Przejście przez Delawarę. Zwycięstwo.

Bywają w dziejach każdego narodu czasy, w których „serca wielu się otwierają“; w których na jaw występuje myśl i uczucie spółczesnych, dotychczas głęboko ukryte. W czasie takim, pełnym znaczenia, znajdowało się tworzące się państwo amerykańskie. Tomasz Paine, który na polu literackiém bardzo skutecznie popierał sprawę Ameryki, w następujących o tém odzywa się słowach: „Są to czasy, w których doświadcza się serc ludzkich. Żołnierz-diletant i patryota-diletant w stanowczéj chwili odmówią usług ojczyznie. Toteż kto teraz się nie zachwieje, zasługuje na miłość i wdzięczność wszystkich. Zadziwiająca to rzecz, jak prędko powstaje strach i jak szybko obiega po całym kraju. Na każdy naród w pewnych

czasach padał strach taki. Mają one i dobrą swą stronę. Strach trwa krótko; poczém sercu przybywa mocy i odwagi. Strach taki jest probierzem szczerości i obłudy". W saméj rzeczy i te ciężkie czasy wyszły o tyle krajowi na dobre, że dały sposobność poznania wątpliwych i prawdziwych patryotów.

Kongres dał wyraz uczuciu zaufania w dzielność Wasyngtona, mianując go na sześć miesięcy niezawisłym dyktatorem sił zbrojnych. Ale nim o tém Wasyngton otrzymał uwiadomienie, już przystąpił był do wykonania planu, którego pomyślny wypadek miał u jednych podnieść odwagę i ufność, drugich uwolnić od trwogi. Zima już na dobre była zawitała. Początek Grudnia był śnieżny i mroźny; Anglikom odeszła ochota do bezzwłocznego wyzyskania odniesionych nad nieprzyjacielem korzyści. Howe rozpuścił swe pułki na leże zimowe myśląc, że zupełne stłumienie oporu już gasnącego może wygodnie odłożyć na początek lepszéj pory roku. Leże zimowe tak rozdzielono, że Hesi jak zwykle stanowili straż przednią. Wasyngton, który o stanowiskach nieprzyjaciela zasiągnął najdokładniejszych wiadomości, wiedział, że Hesi stali na cztery do pięciu mil za rzeką Delewarą, naokoło Trentonu. Wszystkiego wojska miał on pod sobą 7000. Podzielił je na trzy oddziały, które równocześnie w trzech miejscach miały przejść rzekę i natrzeć na nieprzyjaciela. Na wykonanie planu wybrano noc Bożego Narodzenia. O zmroku pierwszy oddział, 2400 ludzi wynoszący, pod dowództwem samego Wasyngtona, stanął nad rzeką. Silny wiatr północny miotał śnieg w oczy Amerykanom; rzeką szła wielka kra. Przejście rzeki było nietylko trudne, ale i bardzo niebezpieczne. Wasyngton zamierzył był o północy stanąć na drugim brzegu rzeki. Ale kra i burza czyniły to niepodobném; zaledwie o godzinie trzeciéj z rana dostała się reszta oddziału na brzeg przeciwny. O czwartéj wszystko było w porządku, oddział ruszył ku Trentonowi. Ale tam stał nieprzyjaciel o sile dziesięć razy większéj, który, jeśli wiedział o zamiarze Wasyngtona, zapewne wszystko zarządził na przyjęcie należyte Amerykan; Wasyngton zaś nie był pewny, azali i drugie dwa oddziały w punktach oznaczonych przebyły rzekę. Później dowiedział się, że przejście to nastąpiło dopiero w kilka godzin. Około godziny ósméj Anglicy przyjęli przednią straż pierwszego oddziału strzałami broni ręcznéj, i zaalarmowali oddział Hesów, w Trentonie umieszczonych. Ale zaledwie zebrali się Hesi, Wasyngton stał już pod miastem i natarł na nich. Hesi z początku

dzielnie się trzymali, ale gdy poległ ich pułkownik, złożyli broń. Około 1000 ludzi, między nimi 23 oficerów, dostało się w ręce Amerykan. Kilkaset ratowało się ucieczką; coby nie było nastąpiło, gdyby inne amerykańskie oddziały wcześniéj były przeszły rzekę i obsadziły mosty.

Przezorność kazała poprzestać na teraz na tym pomyślnym skutku. Nieprzyjaciel stał w pobliżu z główną swą siłą; można więc było się spodziewać, że jéj wnet użyje dla powetowania klęski. Wasyngton cofnął się za Delawarę.

Śmiały ten czyn — przejście rzeki i pomyślna pod Trentonem walka — jakby czarem ożywiła znowu tysiące. Wszędzie, którędy wiedziono jeńców heskich, mnóstwo zbierało się ludu. W dotychczasowéj walce najdzielniéj z całego angielskiego wojska bili się Hesi; byli więc najniebezpieczniejszymi dla Amerykan przeciwnikami, a zdziczali przez życie wojenne, nadto nieraz biedą przyciśnieni, przy sposobności dopuszczali się gwałtów po wsiach i miastach. Otóż wszystko to sprawiło, że teraz jako jeńcy w rękach Amerykan w niemałém znaleźli się niebezpieczeństwie; łatwo za to, czego bądź sami jeńce, bądź ich towarzysze byli się dopuścili, lud gromadzący się mógł zapragnąć zemsty. Aby temu zapobiedz, Wasyngton wydał odezwę, w któréj zwrócił na to uwagę, że żołnierze ci nie przybyli z własnéj woli do Ameryki, aby mieć udział w walce przeciw narodowi, praw swych najświętszych broniącemu lecz że to ofiary tyranii swego panującego, który jak bydło ich sprzedał. Są to więc nieszczęśliwi, którzy zamiast na zemstę, zasługują na politowanie. Odezwa ta nie pozostała bez pożądanego skutku.

Tymczasem dowiedział się Wasyngton, że zamiast go ścigać, cofnął się nieprzyjaciel; postanowił więc po raz wtóry natrzeć na niego. W cztery dni po pierwszém przejściu znów przebył Delawarę. Howe wysłał przeciw niemu lorda Kornwalissa w 8000 wojska. Wasyngton zajął bezpieczne stanowisko i odparł kilka natarć Anglików. Lord Kornwallis był swego pewny, raz że rozporządzał siłami znacznie przewyższającemi odddział Wasyngtona, powtóre, że szły za nim nowe posiłki; sądził więc, że, jak się wyrażał, schwyta lisa w jego norze. Tylko o tém nie pomyślał, że lis nie będzie dopóty czekał, dopóki Jego lordowskiéj Mości nie podoba się, uderzyć na niego siłami wzmocnionemi. Wprawdzie paliły się przez całą noc szeroką łuną ognie obozowe w miejscu, które dzień przedtém zajmowali Amerykanie; ale skoro zaświtało, szlachetny lord dowiedział

się, że lis wymknął się „z nory“, a Wasyngton obszedłszy go, stanął o kilka mil pod Princeton, tyłom nieprzyjaciela zagrażając. Tam napadł na trzy pułki posiłków Kornwallisowi przeznaczonych. Wszczęła się zacięta walka. Anglicy bronili się zapamiętale; przez dłuższy czas chwiała się szala zwycięstwa. Niebezpieczeństwo dla wojska amerykańskiego ciągle się wzmagało. Opuszczony przez nich z rana obóz, a do tego oddalony huk dział, dawno zapewne oświecił lorda o zamiarach nieprzyjaciela. Nuż lord, mający pod sobą znaczny oddział jazdy, natrze z tyłu na Amerykan, zaprzątniętych jeszcze walką z oddziałem, na który byli uderzyli! Trzeba więc było zwyciężyć, i to zwyciężyć jak najspieszniéj. Amerykanie, ośmieleni zwycięstwem, które przed czterma dniami odnieśli pod Trentonem, z podziwienia godném walczyli męstwem. Prócz tego zagrzewał ich przykład wodza. Gdzie najgorętsza wrzała walka, tam zawsze zjawiała się jego wysoka, imponująca postać, ogniem męstwa opromieniona. Chwilami znikała w gęstych kłębach dymu przed wzrokiem szeregów; wówczas drżały serca na myśl, co się stanie z całą sprawą, gdyby go śmierć zmiotła! Ale Opatrzność czuwała nad wybrańcem swoim. Olbrzymie sił natężenie uwieńczył pomyślny skutek. Nieprzyjaciel pierzchnął; zostawiwszy 500 poległych i rannych, a 300 jeńców w rękach zwycięzców. Jaki wpływ wywarło na usposobienie wojska amerykańskiego wtóre to w krótkim czasie zwycięstwo, okazują listy pisane z pola bitwy. Jeden z walczących w téj bitwie pisze wkrótce po niéj: Uczuliśmy się jakbyśmy zmartwychwstali. Mnóstwo zgłosiło się rekrutów; starzy żołnierze na nowo wstąpili w służbę.“ Drugi pisze o zachowaniu się Wasyngtona w bitwie: „Wojsko bardzo kocha wodza. Ale ma mu także coś do zarzucenia. Podczas bitwy mało dba on o bezpieczeństwo swojéj osoby. Męstwo jego osobiste i chęć przyświecania żołnierzom własnym przykładem, nie pozwalają mu myśleć o niebezpieczeństwie.“ Po bitwie ostatniéj udał się Wasyngton na zimowe leże w górską okolicę koło Moristownu; zajął tam nieprzystępne stanowisko, zkąd ciągłymi podjazdami trapiąc nieprzyjaciela, zmusił go do cofnięcia się w dalsze strony.

Europa, która ze współczuciem śledziła toku sprawy młodéj Ameryki, uważała ją przed wyprawą przez Delawarę za straconą. Trenton i Princeton i tu ożywiły i wzmocniły zachwianą w przyszłość kolonii wiarę. We wszystkie serca, sprzyjające uczciwéj sprawie, wstąpiła otucha, że Ameryka zdobędzie niepodległość. We Fran-

cyi, tej lekkomyślnej, ale do wszystkiego, co szlachetne, tak lekko zapalającéj się Francyi, współczucie dla ludu amerykańskiego i jego bohatyrskiego wodza rozpłomieniło się w gorący zapał; a nawet w samolubnéj Anglii zaszczycano często Wasyngtona nazwiskiem amerykańskiego Fabiusza.

XIV. Lafajet. Kościuszko. Pułaski. Steuben.

We Francyi najwcześniéj zapłonął zapał dla usiłowań kolonii amerykańskich. Sprawa narodu, o niepodległość walczącego, obudziła już dlatego tak żywe współczucie, że i we Francyi pod panowaniem Burbonów doznającéj pokrzywdzenia i dotkliwéj obrazy poczucia godności narodowéj, zbierały się żywioły na wytworzenie téj atmosfery, z któréj o kilka lat późniéj uderzyły te straszne gromy, coto zatrzęsły podwalinami nietylko jéj saméj, lecz i wszystkich prawie państw stałego europejskiego lądu.

Następstwo to czasowe rewolucyi francuskiéj po wojnie Ameryki o niepodległość zrodziło w niektórych głowach mniemanie, jakoby oba te wielkie zdarzenia dziejowe jeśli nie z jednego, to przynajmniéj z bardzo podobnego wypłynęły źródła. Toteż są tacy, którzy je kładą na równi. Tymczasem tak się rzecz nie ma; między jednym a drugim dziejowym faktem ogromna zionie przepaść. Przyczyna tu i tam prawie ta sama: despotyzm poniewierający najświętszemi prawami narodu; ale między objawami ruchu, między celem a skutkiem, ogromna zachodzi różnica. Nie można wprawdzie twierdzić, żeby powodzenie Amerykan w niczém nie przyczyniło się do przyspieszenia wybuchu wulkanu rewolucyi francuskiéj; wszelako już ta okoliczność, że Amerykanie, jako mieszkańcy kolonii zamorskich, od samego początku do rządu angielskiego w innym, znacznie swobodniejszym, aniżeli Francuzi do rządu swego, zostawali stosunku, nie małą stanowi różnicę. Sama już przestrzeń wpływa na odmienny tegoż stosunku rozwój; większą zaś różnicę stanowi ustalenie się i jakby wniknienie w krew Amerykan rządów konstytucyjnych. Toteż widzieliśmy, jak to Amerykanie przez czas dłuższy usiłują na drodze prawa utrwalić dawny swój z rządem angielskim stosunek, który rząd ten naruszył i zachwiał w swém zaślepieniu. Dopiero,

kiedy wyczerpali wszelkie środki z prawa wypływające, kiedy Anglia zamknęła im wszelkie drogi prawne, uczynili oni krok stanowczy i zerwanie węzłów dawnych ogłosili. Inaczéj rzecz się ma we Francyi. Tu samowola despotycznego rządu, który od czasów Ludwika XIV skupiał wszelkie prawa w osobie monarchi, i monarchizm absolutny jako bożyszcze wyniósł wysoko ponad poziom życia i prawa całego narodu, na każdym kroku dawała się we znaki narodowi. Niechęć, a późniéj oburzenie rosły, ale dłuższy czas kryć się musiały; toteż tłumione w sobie, tém silniéj wrzały, aż nareszcie wybuchły strasznym naraz pożarem, któremu już nikt tamy położyć nie zdołał, dopóki sam do szczętu się nie wypalił i nie zniszczył nagromadzonych w ciągu czasu żywiołów. Toż pochłania on wszystkie kierunki życia narodowego. W Ameryce ruch cały tyczy się tylko prawnego stosunku kolonii do rządu angielskiego; ani sprawy wewnętrznego porządku społecznego, ani spraw sumienia, wiary i religii ruch ten w niczém nietylko nie narusza, ale ich nawet nie dotyka. Owszem w religii Amerykanie szukali uświęcenia usiłowań swoich, w niéj miary wytycznéj w porządkowaniu nowego stanu rzeczy. Francuzi krusząc pęta niewoli, obalają i ołtarz religii i szalejąc wynoszą na ołtarz boginią rozumu, ci sami, którym w onéj chwili właśnie już brakło było rozumu. Ameryka drogą godziwych usiłowań i ciężkiéj pracy narodowéj, oddając sprawę swą opiece Opatrzności, wolność sobie zdobyła, kiedy Francya, szałem rozwścieklona we własnych srożyła się wnętrznościach, z niewoli królewskiéj popadła w gorszą stokroć niewolą wściekłych bohatyrów chwili i służącego mu za ślepe narzędzie szalejącego motłochu; znosiła więc najstraszniejszą tyranią, mimo wszelkich świetnych tytułów, jakie nadawała temu nowemu stanowi rzeczy. Toteż usiłowania Amerykan były godziwém dobijaniem się o prawa, konstytucyą państwa i kraju obywatelom zabezpieczone; a gdy ta droga legalna nie doprowadziła do celu, zamieniły się na walkę o niepodległość; kiedy ruch we Francyi już w swym zarodzie był wybuchem strasznéj choroby organizmu, długim rozstrojem nękanego; wstrząsł więc od razu wszelkiemi podwalinami bytu społecznego, od razu wystąpił z karbów wszelkiego porządku i stał się rewolucyą w najpotworniejszych objawach, jakich na próżno szukamy w dawniejszych rodu ludzkiego dziejach. Całe postępowanie Amerykan cechuje rozwaga i powaga; Francuzów szał i rozkiełznanie.

Rzekło się na wstępie tego rozdziału, że we Francyi najwcześniéj obudziło się żywe dla sprawy kolonii amerykańskich współczucie i zapał Wielu znakomitych Francuzów z sercem, życzliwością przepełnioném, śledziło toku walki, wiedzionéj w lasach amerykańskich. Pierwsze między nimi miejsce zajmuje dziewiętnastoletni oficer, Lafajet (Lafayette); mężczyzna piękny, bogaty, szczęśliwy w pożyciu małżeńskiém, należący do najznakomitszych we Francyi rodzin. U dworu czekały go najświetniejsze stanowiska, największe zaszczyty. Ale Lafajet gardził próżniaczém życiem dworskiém; oburzał się patrząc, w jaki sposób trwoniono tu podatki, wyciskane z biednego ludu; brzydził się także lekkomyślném z dnia na dzień życiem Paryżan. Toteż unikał stolicy, żyjąc w zaciszu życia rodzinnego w majątku swym, od stolicy znacznie oddalonym. Tu w towarzystwie młodéj, szlachetnéj i światłéj żony pędził dni najszczęśliwsze. Sam przejęty najszlachetniejszemi zasadami, miłujący gorąco wolność, a nieprzyjaciel despotyzmu, powziął myśl oddania usług sprawie amerykańskiéj. Pisze o nim jeden z biografów: „Ożywiony zapałem, jakim zazwyczaj wielkie zdarzenia napawają szlachetne serca, zajął się z ogniem, właściwym prawie wszystkim szlachetniejszym owéj epoki ludziom, a zwłaszcza Francuzom, sprawą amerykańską, a przeświadczony o jéj słuszności i świętości, za własną ją uważał. Żywo więc zapragnął czynnego w niéj udziału i zwierzył się pełnomocnikom amerykańskim, bawiącym w Paryżu, z zamiarem udania się do ich ojczyzny. Ci utwierdzili go w szlachetnym jego zamyśle. Ale kiedy otrzymawszy wiadomość o niepowodzeniu na Long Island, sami zwątpili o pomyślnym usiłowań Ameryki skutku, sami mu odradzali wykonania zamiaru, oświadczając nawet, że wobec tego zwrotu rzeczy nie mieliby środków na wyprawę statku, któryby go przewiózł do Ameryki Na to miał im odpowiedzieć niezrażony młody Lafajet, że teraz najstosowniejsza pora do służenia ich sprawie; czém większe bowiem zwątpienie opanowywa ludy, odjazd jego tém większe sprawi wrażenie; a jeżeli oni nie mogą dostarczyć mu statku, tedy on na własny koszt go sobie sprawi; co też na prawdę uczynił. Publiczność się zdumiała; krok ten człowieka, zajmującego w społeczeństwie tak znaczne stanowisko, powszechną na się zwrócił uwagę i różne wywołał zdania. Rząd francuski, czyto niechcąc narazić się Anglii, czy że nie pochwalał postanowienia młodego markiza, zabronił mu wyprawy. Twierdzą nawet niektórzy, że wysłał był okręty z rozkazem schwytania go na morzu Karaibskiém.

Mimo to wszystko Lafajet opuścił młodą, kochającą i ukochaną żonę i puścił się na morze.“

Wylądowawszy szczęśliwie w Ameryce, udał się najpierw do prezydenta kongresu; a gdy przybyli już przedtém do Ameryki oficerowie francuscy, występowali z wygorówanemi pretensyami, żądając stopni i płac wysokich: Lafajet oświadczył, że służyć chce o własnym koszcie jako prosty żołnierz. Wystąpienie jego, a zgoła całe zachowanie się, zjednało mu od razu serca poważnych członków kongresu. Przyznano mu stopień jenerała-majora; Wasyngton przyjął go otwartemi ramionami, i między oboma zawiązał się stosunek bardzo serdecznéj przyjaźni, który dopiero śmierć rozerwała. Lafajet miał często sposobność okazania dzielności swéj na polu bitwy.

„Także szlachetny Polak, sławny Tadeusz Kościuszko — pisze Niemiec Ferdynad Szmidt — poświęcił swą szpadę walce o niepodległość Ameryki. Już od wczesnéj młodości szlachetność przenikała wszystkie jego uczynki. W instytucie kadetów w Warszawie najusilniejszą własną w naukach pracą pierwsze między towarzyszami zdobył sobie miejsce.“ Później jako oficer służył w wojsku narodowém. W końcu Grudnia 1777 r. Kościuszko przybył do Ameryki. O tém przybyciu jego pisze M. B. Jullien. „Bez wszelkich środków i pism polecających stanął on przed Wasyngtonem. Cóż pan zamyślasz począć? zapytał wódz naczelny, który zawsze mówił bardzo zwięźle. Przychodzę jako ochotnik, aby walczyć o niepodległość Ameryki, również krótko i stanowczo odpowiedział Kościuszko. Cóż pan umiesz? spytał następnie Wasyngton; na co odrzekł z właściwą sobie szlachetną prostotą Kościuszko: „Racz mnie doświadczyć jenerale!“ Stało się temu zadość, a Wasyngton wkrótce przekonał się o dzielności szlachetnego Polaka.“ Oddano mu najpierw kompanią; a kiedy podczas odwrotu Anglików z Filadelfii ścigali ich Amerykanie, Kościuszko na czele kompanii ochotników cudów waleczności dokazywał. Lafajet, który dowodził oddziałem ścigającym nieprzyjaciela, w wieczór po dniu krwawym dowiadywał się o dowódzcę owych ochotników. „Jestto młody Polak, szlachetnie urodzony, ale ubogi, i jeśli się nie mylę, nazywa się Kościuszko“ odpowiedział Wayne. Ochotnicy biwuakowali o pół mili od obozu; Lafajet dosiadł konia, pospieszył do ochotników i kazał się zaprowadzić do Kościuszki. Wszedłszy do namiotu, zastał go jeszcze obryzganego krwią i kurzem okrytego. Kościuszko siedział wsparty na ręku przy stole, na którym mapa była rozłożona. Tu się po-

znali obaj młodzi bohatyrowie, i od téj chwili ścisła łączyła ich przyjaźń.

Lafajet doniósł o waleczności Kościuszki Wasyngtonowi, a ten odtąd pilną na niego zwracał uwagę. Kościuszko odznaczył się w wyprawie na Rode Island i przy oblężeniu Nowego Jorku. Kiedy Wasyngton, objeżdżając szeregi, zbliżył się do oddziału Kościuszki, ten wystąpiwszy naprzód, zawołał z zapałem: „Wodzu! jutro w wieczór zdobędę bateryą nieprzyjacielską lub zginę!“ W saméj rzeczy korzystając z ciemnéj nocy, Kościuszko podsunął się pod bateryą; ale pomimo ostrożności odkryty, krwawą musiał stoczyć walkę. Ciężko raniony w prawą rękę, chwycił w lewą pałasz i wiódł oddział swój do szturmu. Odwagą i zapałem jego zagrzani żołnierze wyparli wroga; Kościuszko zdobył trzy działa i dwa sztandary, i znaczną liczbę zabrał jeńców. Jak go żołnierze kochali, świadczy następujące zdarzenie. Żołnierz trafiony kulą, kiedy go towarzysz podnosząc z ziemi, chciał ratować, rzekł: „Zostaw mnie, ja tylko prostym jestem żołnierzem; raczej ratuj naszego kapitana i zdobyte armaty!“ Kiedy po zdobyciu Nowego Jorku Wasyngton dziękował oficerom, ujął Kościuszkę za zranioną rękę, i wobec zebranych chwaląc jego zasługi i męstwo, wyniósł go na stopień podpułkownika i swego adjutanta; a gdy go bliżéj poznał, synem swoim nazywał. Umiał cenić ten zaszczyt Kościuszko, bo w liście do Niemcewicza tytuł ten „uważał za swoje najwyższe na ziemi dobro, które najbardziéj szanuje“.

Kościuszko w charakterze swym wiele podobieństwa miał do Wasyngtona; waleczny w boju, był zarazem ludzkim dla nieprzyjaciela. Dał tego dowód, kiedy jeden z jenerałów amerykańskich rozkazał mordować zwyciężonych Anglików. Kościuszko oparł się temu rozkazowi i pod karą śmierci nakazał swym żołnierzom, aby szanowali życie nieprzyjacioł. Toteż tak męstwem swém, jakoteż ludzkością zjednał sobie miłość i uszanowanie żołnierzy. Wojsko amerykańskie zrazu tylko na pewien czas przyjmowało służbę, po którego upływie oddziały wracały do domu lub na nowo się zaciągały. Tak sobie postanowił był postąpić pewnego razu oddział, którym dowodził Kościuszko; a ponieważ służył nawet nad czas oznaczony, głośne wznosił przeciw temu skargi. Co słysząc Kościuszko i przyznawszy użalającym się na to słuszność, wreszcie w te do nich odezwał się słowa: „Przyjaciele! słowo uwolnienia was od służby jest wam dane, a to słowo jest dla mnie święte i niezłomne. Jeżeli dobrowolnie nie chcecie zostać, tedy idźcie w pokoju, ja was ze służby

uwalniam. Co się zaś mnie tyczy, nie opuszczę powierzonego mi miejsca, i zostanę się z tymi, którzy razem ze mną chcą walczyć.“ Słowa te cudownie działały na wzburzone umysły; zabrzmiał też jednomyślny okrzyk: „Zostaniemy przy tobie; nie opuścimy naszego wodza!“

Po skończonéj wojnie niepodległa Ameryka, wdzięczna za tyle usług, ozdobiła piersi Kościuszki orderem Cyncynata, wyniosła go na stopień jenerała brygady, nadała mu prawo obywatelstwa i prócz pensyi rocznéj, wyznaczyła znaczne obszary ziemi.*). A kiedy Kościuszko w r. 1817 umarł w Solurze, Stany zjednoczone uczciły pamięć jego pomnikiem w mieście Westpoint.

Pierwéj, nim Kościuszko, przybył do Ameryki Kazimiérz Pułaski, aby walczyć za wolność Stanów zjednoczonych. Pułaski, średni syn Józefa Pułaskiego, starosty Wareckiego, marszałka konfederacyi Barskiéj, w któréj i sam i synowie jego najczynniejszy wzięli udział, zpomiędzy braci, stał się najgłośniejszym; w różnych stronach kraju uganiał się za wrogiem, i jak niegdyś Czarnecki trapił go podjazdami. „Pełen ognia i poświęcenia się, stał się wzorem dla młodzieży, która przepadała za nim. Miły w pożyciu towarzyskiém, w bitwie był jako lew, przytomny i dzielny; to życie pełne znoju i niebezpieczeństw, rychło rozwinęło w nim niepospolite zdolności. Nasz Artur, nasz Roland — szukał bojów za swoję damę, to jest wolność, którą ukochał w idealnym posągu, jaki w płomieniu swojéj duszy wyrobił. Piękność to ogólnego wielkiego typu: i duchem i ciałem zarówno silny podług wzoru homerycznych czasów; gdyby był żył w czasie wyprawy pod Troją, byłby drugi z niego bohatyr, coby Achilesową dzidą potrząsnął.“ Po upadku konfederacyi Barskiéj Pułaski ze Stambułu popłynął do Francyi, tam widział się z Franklinem, poczém do Ameryki się udał. Dnia 20go sierpnia 1777 przybił do stałego lądu Ameryki w towarzystwie przyjaciela nieodstępnego, niejakiego Macieja Rogowskiego. Wasyngton przyjął go uprzejmie i stopień jenerała brygady w kawaleryi mu nadał. Pułaski wnet wziął udział w walce. Później osobnym dowodził korpusem, na którego czele bił się przez dwa lata (1778 i 1779) na wybrzeżach wschodnich Ameryki i na niepospolite imię sobie zasłużył. Zginął w bitwie pod Sawaną 1779.

*) K. Wł. Wojcickiego: „Kościuszko“, artykuł w Encyklopedyi powszechnéj Orgelbranda.

Pamięć jego do dziś dnia żyje w Ameryce; popiersie znajduje się w galeryi kongresu w Wasyngtonie; portretów jego mnóstwo. Okręty i hotele w Sawanie noszą jego nazwisko, stoi tam i pomnik, obelisk kamienny na wysokiej podstawie. Poeta amerykański Longfellow poezyą uczcił Pułaskiego.*)

I Niemiec baron Sztajben (Steuben) wziął także udział w walce o niepodległość Ameryki i znakomite w niéj zajął stanowisko. Wyszedł on był z pruskiéj szkoły wojskowéj, pierwszéj, jak się Wasyngton wyrażał, w Europie. Ameryka zyskała w nim jenerała, który osobliwie pod względem karności bardzo wiele zdziałał. Nie rozumiejąc ani słowa po angielsku, objął ofiarowany mu urząd jeneralnego inspektora i umiał ludzi, do wolności przywykłych, tak ująć w karby karności wojskowéj, że na słowo, a nawet na samo spojrzenie jego, ślepo pełnili rozkazy. Późniéj wyznaczył mu rząd amerykański „za usługi oddane podczas wojny Zjednoczonym Stanom“ 16,000 akrów ziemi, na których Sztajben osiadł i gospodarstwo założył. Prócz niego wielu Niemców udawało się do Ameryki, aby nieść pomoc narodowi w dziele wyswobodzenia się z niewoli. Niemcy ci, jakoteż synowie dawniejszych niemieckich osadników tworzyli całe pułki, które Wasyngton zaliczał do najodważniejszych i najpewniejszych swych żołnierzy.

XV. Do zawarcia pokoju.

Lat kilka trwała już walka, w ogóle jeśli się zważy na położenie Amerykan, dla nich dość pomyślna. Ale miały jeszcze nastąpić czasy przykre; czasy, w których i najdzielniejsi synowie Ameryki tracili wiarę w pomyślny walki wypadek. Karność w wojsku zawsze jeszcze wiele pozostawiała do życzenia, bo to, czego w tym względzie szczęśliwie dokonał baron Sztajben, nie od razu przyjęło się w całéj armii. W ogóle cała organizacya wojska na stopę regularną odbywała właśnie epokę przejścia w swym rozwoju; a do tego cały ówczesny stan rzeczy niesłychanych od żołnierzy wymagał

*) Jul. Bartoszewicz: Puławski Kazimierz w Encyklopedyi Orgelbranda. — Pułascy — powieść historyczna przez Stanisława i Leona Chrzanowskich.

ofiar. Tak uzbrojenie jak zaopatrywanie armii w niezbędne potrzeby, było jeszcze niedostateczne; często brakło najzwyklejszego pożywienia; trudno było o broń i odzienie. Kongres, aby pokryć wydatki, uciekł się do papierowych pieniędzy. W Anglii zaraz je podrabiano i w wielkiéj ilości wywożono do Ameryki, przezco znacznie się zniżyła wartość asygnat amerykańskich. Prócz tego nieprzyjaciel był panem na morzu; miał więc w swym ręku przystęp do kraju, a zajmując to tę, to owę część kolonii, zabierał wszystko, co tylko znalazł. Podupadł więc handel, przemysł i rolnictwo; niedostatek i nędza zaczęły dotkliwie dokuczać ludności. Do czego stan ten rzeczy mógł doprowadzić, łatwo było przewidzieć. Na szczęście jednak naród miał w Wasyngtonie wodza, który wszystkim przyświecał przykładem, a którego mądre słowo prawie zawsze trafiało do serca i głowy! Żołnierz w wojnie, zwłaszcza gdy cierpi niedostatek, bardzo bywa pochopny do używania przemocy, jeśli chodzi o zaspokojenie potrzeb. Historya wojen uczy, że nieraz spokojni we własnym kraju mieszkańcy zarówno od swoich jak od nieprzyjaciela ciężkie ponosili krzywdy. Nawet sam kongres słuchał tylko jedném uchem wiadomości, że oddziały amerykańskie przemocą zabierały dla siebie żywność. Inaczéj rzecz tę pojmował wódz naczelny. Starał on się i w tym względzie o stosowne i godziwe urządzenie. Stanowczo więc zażądał od kongresu uporządkowania dostaw dla wojska, wyłożywszy szkodliwe skutki, jakieby koniecznie nastąpiły, gdyby w wojsku rozpowszechnił się i ustalił zwyczaj dostarczania sobie potrzeb przemocą i na własną rękę. „Postępowanie takie — pisze on w raporcie — „chociażby na chwilę sprawę ułatwiło, pociągnie za tobą najzgubniejsze na przyszłość następstwa. Szerzy ono bowiem niezadowolenie, nienawiść i trwogę między ludnością, a oraz zawsze, nawet w wojsku najkarniejszém, obudza chęć do nadużyć, grabieży i rabunku, które później trudne do powściągnięcia, nietylko mieszkańcom, lecz przedewszystkiém wojsku stają się niebezpiecznemi i szkodliwemi. Co do mnie, konieczność uciekania się do takich środków uważać będę za największe nieszczęście.“ Mimo to jednak, a może właśnie dla téj na każdym kroku rzetelności, trafiały szlachetnego wodza i późniéj często pociski oszczerstwa. Głupi nie poznawali się na nim, a chciwi wyniesienia kusili się o jego stanowisko. Jak przedtém jenerał Lee, tak teraz jenerał Gates wichrzył potajemnie celem wyparcia Wasyngtona i objęcia po nim naczelnego dowództwa. Przyszło także do rokoszów w poszczegól-

nych oddziałach wojska. Dotkliwy niedostatek był temu przyczyną. Kongres domagał się najsurowszego ukarania winnych; na co odpowiedział Wasyngton: „Nie należy zapominać, że żołnierze nie są z drzewa lub kamienia, nieczuli na mróz i śnieg.“ Zdarzało się bowiem, że po drogach, któremi przechodziło bose nawet wojsko, spostrzegano na śniegu liczne krwi ślady! Ale wystawiwszy kongresowi prawdziwy stan rzeczy, Wasyngton zwrócił się także do wojska, wystawiając mu w gorących słowach położenie kraju, wzniosłość zadania i to, czego ojczyzna słusznie po niém może wymagać. „Nasze położenie“ — rzekł Wasyngton między innemi — „jest ze wszystkich najczystsze; nawet cień przestępstwa zaćmiewa jasność naszych świetnych czynów.“ Zwracając się tym sposobem do szlachetniejszéj strony natury ludzkiéj, Wasyngton doznał tego zadowolenia, że postępowanie jego pożądany osiągnęło skutek. Żelaznéj surowości i nieodstępnéj od niéj grozy używał on w razach ostatecznych; a wtedy prawu wojennemu pozostawiał bezwzględne wykonanie wyroku. Zdarzało się więc, że buntowników kulą, szpiegów stryczkiem karano.

W tym czasie pozwolił nareszcie kongres na zmianę co do służby wojskowéj, czego już od dawna domagał się Wasyngton; powiodło mu się bowiem przynajmniéj o tyle przezwyciężyć wstręt ziomków do armii stałéj, że dotychczasową służbę jednoroczną przedłużono do lat trzech, podwyższono żołd, a oficerom i żołnierzom wynagrodzenie w ziemi obiecano. Zmiana ta i na poprawę karności wpłynęła, a nadto i w tém się okazała skuteczną, że teraz mnóstwo zgłaszało się ochotników.

Tymczasem nie zasypiali sprawy i Anglicy. Dwa wielkie wojska ciągnęły przeciw Amerykanom. Howe prowadził jedno od Nowego Jorku, z drugiém szedł Bourgoyne z Kanady. Przeciw Howemu działał Wasyngton, który unikając większéj walki, tylko podjazdami mu się naprzykrzał. Dopiero kiedy Howe rozpoczął już pochód na Filadelfią, Wasyngton mając około 15.000 wojska przyjął bitwę nad rzeką Brandiwinem, aby ocalić miasto, będące siedzibą kongresu. D. 11go Września 1777 nastąpiła walka, dla Amerykan niepomyślna. Droga do Filadelfii była otwartą. Chciał wprawdzie Wasyngton raz jeszcze spotkać się z nieprzyjacielem, ale długa ulewa zniszczyła mu zapasy wojenne; poprzestał więc na zajęciu bezpiecznego stanowiska. Howe zajął Filadelfią, prawie pustą, bo i kongres i największa część obywateli opuściła miasto.

Daléj nie mógł się posunąć Howe, bo lekkie oddziały amerykańskie wszędzie mu drogę przecinały.

Bourgoyne ciągnął w 10.000 od Kanady. I on walczył pomyślnie pod Hubertonem, gdzie Amerykanie stracili 2000 ludzi. Ale na tem się też skończyło jego powodzenie. Rycerz ten nie poprzestał na Niemcach, z których się składało jego wojsko. Miał on ze sobą i oddział dzikich krajowców, którzy wcale nie po europejsku walczyli. Topor i nóż do skalpowania skóry z głów nieprzyjacielskich, to jedyna była broń sprzymierzeńców jenerała angielskiego. Łatwo się dorozumieć, jakich dzicz ta dopuszczała się gwałtów. Ale też i oburzenie ztąd wynikłe sprowadzało wodzowi amerykańskiemu ochotników. Wasyngton, sam zajęty Howem, wysłał przeciw Bourgoynemu znaczny oddział, którym dowodzili zdolni wodzowie Arnold i Gates. Ostatniemu przypisywał Kościuszko więcéj wojennych zdolności niż Wasyngtonowi. Ośmielony powodzeniem Bourgoyne puścił się naprzód, ale wkrótce znalazł się w okolicy, pełnéj bezdennych moczar wśród lasów pierwotnych. Amerykanie, pościnawszy olbrzymie drzewa, zamykalii mu co chwila drogę. Przybywszy pod Saratogę, jenerał angielski rozłożył się obozem; bo sam nie wiedział co począć. W około miał do 14.000 Amerykan na karku, którzy go ze wszech stron otaczali, żadnego nie dopuszczając dowozu. Usiłowania, aby się przebić przez nieprzyjaciela, nie powiodły się i raz Arnold i Gates na czele swoich wdarli się już byli do obozu angielskiego, a tylko noc zapadająca i rana ciężka, którą otrzymał Arnold, przeszkodziła zdobyciu obozu. Od téj chwili Amerykanie unikali wszelkiéj większéj bitwy, a natomiast coraz więcéj otaczali go ze wszech stron. Wreszcie brakło wojsku angielskiemu żywności. Zwołana rada wojenna głosowała za poddaniem się. Bourgoyne to uczynił, zawierając z wodzem amerykańskim Horacyuszem Gatesem kapitulacyą. Senat amerykański otrzymał raport tej treści: „Szczęśliwy ten dzień wydał w ręce nasze sześciu jenerałów, 5000 żołnierzy, tyleż karabinów i 27 dział z potrzebną do tego amunicyą. Prócz tego podczas tej wyprawy ujęliśmy 2000 jeńców; między nimi kilku oficerów stopni wyższych.“

W dziejach téj wojny nie masz wielkiéj liczby bitew, ani też znacznych mas walczących; toteż kapitulacya Bourgoynego znaczyła tyle, co w innych wojnach zniszczenie wielkiej armii.

Poddanie się Anglików pod Saratogą stanowi główny zwrot w wojnie o niepodległość Stanów zjednoczonych; ono bowiem sprawiło, że dwór francuski czynnie wystąpił po ich stronie. Dnia 6go Lutego 1778 Ludwik XVI zawarł przyjaźną ze Stanami umowę, a nadto tajemnie przymierze zaczepno-odporne. Franklin, jako wysłannik Ameryki, w téj sprawie pośredniczył. D. 17go Marca oświadczył król Jerzy III w parlamencie, iż uważa umowę Ludwika XVI z Ameryką za krok względem Anglii nieprzyjaźny i wniósł wypowiedzenie wojny. Karol Fox, wówczas już znakomity mowca, przemawiał za uznaniem Ameryki, zwracając uwagę na niebezpieczeństwo drugiéj grożącéj wojny. Poczém zabrał głos siedmdziesięcioletni lord Pitt, dawniejszy lord Chatham, ten sam, który dawniéj, gdy naruszano prawa kolonii, silnie stawał w ich obronie, teraz wycieńczony i o kulę wsparty, mając godność narodu na względzie, w te odezwał się słowa: „Z bojaźni wojny z Francyą uznać Amerykę niepodległą, to nie zgadza się z godnością Wielkiéj Brytanii.“ Pitt rozwijając myśl swą, z wysilenia padł na krzesło, a usiłując zwalczyć kurcz w piersiach i dobyć głosu, zemdlał; niezadługo zaś potém życie zakończył. Parlament uchwalił wojnę przeciw Francyi. Obie strony czyniły wielkie przygotowania. Francya wysłała 18 okrętów do Ameryki. Hiszpania na mocy istniejącej wówczas umowy familijnéj między Burbonami francuskimi i hiszpańskimi, wypowiedziała Anglii wojnę, nie kierując się wprawdzie współczuciem dla Ameryki, lecz antagonizmem przeciw Anglii.

Ale i Anglia także nie zaniechała przygotowań do walki. Do Ameryki wysłała nowe siły, oddając je pod naczelne dowództwo jenerałowi Klintonowi z poleceniem, aby widownią wojny przeniósł w południowe zjednoczonych Stanów prowincye. Jakoż przeważnie w obojéj Karolinie i Georgii główna teraz toczyła się walka. Tu bowiem najwięcéj było tak zwanych lojalistów czyli zwolenników Anglii; zaciętą więc z obu stron w trzech tych krainach staczano walkę.

Na téj to widowni wojennéj uganiał się Kazimierz Pułaski za Anglikami, odparł ich z pod Charlestownu, stolicy Karoliny, a potem w bitwie pod Sawaną zginął 9go Października 1779.

W r. 1780 Klinton zajął Charlestown, a następnie podbił kraj cały.

Tymczasem wylądowało (w Czerwcu 1780) 6000 Francuzów pod dowództwem jenerała Rochambeau (Roszambo) ze znacznymi zasobami wojennymi. W obozie francuskim widziano kwiat szlachty

francuskiéj i tuto pierwsze próby wojenne odbywali głośni w późniejszych czasach we Francyi: Noailles, Karol Lameth, Mateusz Dumas, Aleksander Berthier, Custine, Segur, Biron i wielu innych. Wkrótce za wojskiem przybyła od Ludwika XVI i znaczna pomoc w pieniądzach, zarówno z wojskiem Amerykanom pożądana. W krótkim czasie armia Wasyngtona wynosiła 20.000 ludzi; najliczniejsza w całym przeciągu tej wojny.

Ale na południu, nim armia się ta zebrała, walka coraz straszniejszy przybierała charakter. Jenerał angielski Kornwallis żądał od mieszkańców nietylko poddania się i biernego zachowania, lecz zmuszał ich do służby w wojsku królewskiém, a wzbraniających się najsroższéj prześladował. Srogość ta wywołała powstanie mieszkańców, co pociągnęło za sobą najwyszukańsze gwałty. Anglicy bowiem na większy rozmiar, aniżeli przedtém, użyli do walki, a raczéj do napadów w posiadłości Stanów zjednoczonych, nadgranicznych plemion indyańskich. Nietylko ajenci angielscy pobudzali ciągle Irokezów i Kreków do takich napadów, ale nawet sami ucywilizowani synowie i obywatele konstytucyjnéj Wielkiéj Brytanii stawali na czele band tych dzikich, a mordu chciwych rabusiów. Łupieże, pożogi, mordy bez różnicy płci i wieku, pastwienie się najokrutniejsze nad bezbronnymi, gwałty brutalne nad kobietami, to były czyny zwykłe téj dziczy, z wolnymi synami Albionu sprzymierzonéj, a jak się rzekło, przez nich nawet dowodzonéj. Cierpiały więc nie mało pograniczne ziemie kolonii, ale i ten środek taktyki angielskiéj wręcz przeciwny, niż się zpodziewano, wywarł skutek. Tak bowiem srogość Kornwalisa, jakoteż gwałty band dzikich, przekonały nawet najuporniejszych lojalistów, że nie ma co daléj stać po stronie rządu, takich imającego się środków; każde serce, w którém nie wygasła ostatnia życia ludzkiego iskra, zawrzeć musiało do głębi oburzeniem na to cywilizowanego narodu gospodarstwo. Toteż nawet dotychczas najobojętniejsi stanęli po stronie własnego kraju; wzmógł się zapał dla świętéj sprawy; nawet kobiety działały w swym zakresie, okazując wzgardę młodzieńcom i zdolnym do broni mężczyznom, skoro który odciągał się od służby w obronie kraju.

Krwawe to więc były te zapasy młodéj Ameryki przeciw potędze pierwszorzędnego mocarstwa.

Młoda Ameryka wiele przeszkód miała do zwalczenia; a nawet, jakżeby przeznaczonéj pić z wszelkich kielichów goryczy, przyszło jej spotkać się u siebie ze zdradą, która na szczęście wcze-

śnie odkryta, wprawdzie nie przyniosła szkody, wszelako nie pozostała bez wpływu demoralizującego; na wszelki zaś przypadek zakrwawić musiała serce każdego uczciwego patryoty.

Arnold, który, jak się wyżéj rzekło, z Gatesem dowodził wojskiem przeciw Bourgoynemu i w znacznéj części przyczynił się był do tegoż w Saratodze kapitulacyi, z czego urósł w znaczenie i wziętość u narodu, otrzymał był dowództwo nad załogą w Filadelfii, aby tém łatwiéj z ran mógł się wyléczyć. Ale tu się okazało, że patryotyzm tego, zresztą dzielnego oficera, bardzo lichego był gatunku. W kasie wojennéj dostrzeżono braku pieniędzy, a śledztwo wykazało dowodnie, że ukradł je sam Arnold. Czyn ten haniebny pociągał za sobą karę jak najsurowszą; wszelako ze względu na usługi, jakie Arnold oddał był ojczyźnie, odstąpiono tym razem od słusznego prawa surowości, a winnemu dano tylko z urzędu naganę. Pokazało się jednak, że złodziéj nie wart był względów. Arnold bowiem myślał o zemście i w tym celu potajemnie wszedł w stosunki z nieprzyjacielem. Ambicya i chciwość grały tu główną rolę; za ich zaspokojenie obiecał on wydać Anglikom twierdzę Westpoint, w któréj teraz dowodził, 4000 żołnierzy, a nawet i samego wodza naczelnego Wasyngtona. Umowa między zdrajcą a nieprzyjacielem przyszła do skutku, a wykonanie zdrady było bliskie, kiedy na szczęście przypadek wszystko zniweczył. Major André, angielski w téj sprawie pośrednik, wracając od Arnolda, dostał się w ręce żołnierzy amerykańskich, którzy go odstawili do obozu. Papiery u niego znalezione wydały zdradę. Arnold dowiedziawszy się o ujęciu Andrego umknął, ale ten zato smutnie skończył. Każdego, kto przebrany i pod cudzém nazwiskiem znajdował się w ziemi nieprzyjaciela, prawo wojenne uważało za szpiega. A tak się rzecz miała z Andrém; toż amerykański sąd wojenny na téj podstawie wydał nań wyrok śmierci, a biedny major, którego młodość, odwaga i piękność męska wzbudzały powszechne współczucie, zginął na stryczku. Arnold dostał się do Anglików i stał się prawą ręką Kornwalisa, pustoszącego Karolinę i Wirginią; Anglicy zaś mszcząc się śmierci Andrégo, tém większych dopuszczali się okrucieństw.

Wojska obu stron wojujących często spotykały się ze sobą. I jedna i druga walczyła naprzemian szczęśliwie i niepomyślnie; do stanowczego wypadku nie przyszło Dopiero kiedy Kornwalis przybył do Wirginii, aby się połączyć z Klintonem, zmieniła się postać rzeczy. Przybywszy do Jorktownu, otrzymał on od Klintona posiłki.

Ale pod koniec Września przybył Wasyngton z wojskiem swojém i Francuzami; poczém obległ Jorktown. Równocześnie flota francuska zamknęła przystęp od morza.

Siły Wasyngtona były od załogi Jorktownu znacznie większe. Arnold podszedł pod Nowy Londyn sądząc, że przez to zniewoli Wasyngtona do pospieszenia zagrożonemu miastu na odsiecz. Wasyngton jednak nie ruszył się z miejsca. Flotę angielską, którą Klinton wysłał dla uczynienia dywersyi, pobiła francuska. Tymczasem oblężenie Jorktownu postępowało daléj szybkim krokiem. Kornwalis ze wszech stron zamknięty pisał do Klintona: „Długo trzymać się tu nie mogę. Jeżeli mnie pan nie zdołasz uwolnić, proszę być przygotowanym na najgorszy koniec.“ Pomoc nie przybywała, żywność wyszła, a tymczasem Wasyngton coraz ciasniejszém kołem otaczał miasto. Podczas szturmu na szańce Jorktownu odznaczyli się najbardziéj Lafajet i Kościuszko; artylerya francuska reszty dokonywała. Kornwalis nie mogąc się dłużéj opierać, uczynił to, co przed czterma laty Bourgoyne w Saratodze; d. 19go Października 1871, poddał się z załogą. Szpady swéj nie chciał nikomu oddać tylko Lafajetowi. 8000 Anglików i 200 dział dostało się Amerykanom. Wasyngton obszedł się z jeńcami po ludzku, pomimo że niedawno przedtém Anglicy mordowali jeńców amerykańskich.

Poddanie się Kornwalisa rozstrzygnęło sprawę niepodległości Stanów zjednoczonych. Na wiadomość bowiem o téj klęsce Anglików wszędzie wypowiadano głośno przekonanie; że już zdobyto niepodległość Ameryki. Lafajet pisał do hrabiego Maurepas: „Sztuka odegrana; właśnie co skończono akt piąty.“ Franklin rzekł temu, który mu oddał depeszę o kapitulacyi Kornwalisa: „Serdecznie dziękuję za tę tak słynną nowinę. Młody Herkules zdusił drugą swą żmiję w kolebce!“

I w Anglii zaczęło teraz brać górę przekonanie, że niepodobna przywrócić w koloniach poddaństwa. Nowe ministerym stanęło u steru rządu; rozpoczęło rokowania, a wreszcie d. 3go Września 1783 stanął między Wielką Brytanią a Stanami zjednoczonymi właściwy pokój, uznający tychże niepodległość.

XVI. Rozstanie się z wojskiem.

Stany zjednoczone były wolne. Wolność tę zdobyły one bohatyrskiém wszystkich sił wytężeniem; a zwłaszcza nieznużoną w poświęceniu wytrwałością. Bo też wedle świadectwa dziejów tylko twardą a krwawą pracą dochodzą narody do tego wielkiego zaszczytu, który się nazywa niepodległością, z prawem rozporządzania samym sobą. Dotychczas jedni tylko Włosi za naszych czasów byli tak szczęśliwi, że doznawszy w ostatniéj z Austryą wojnie tak na lądzie jak na morzu klęsk znacznych, otrzymali w nagrodę Wenecyą!

Wolność czyli niepodległość mieli już Amerykanie. Ale na tém nie skończyła się jeszcze praca narodu. Następował właśnie czas, w którym po pomyślnéj pierwszéj próbie młody naród miał odbyć drugą, równie ważną. Pierwsza była próbą odwagi, wytrwałości i poświęcenia; druga miała być próbą rozumu i męskiéj dojrzałości w użytkowaniu zdobytéj swobody. A wedle świadectwa dziejów próba ta wtóra bywa czasem trudniejsza nawet od pierwszéj, chociaż zazwyczaj bardzo trudnéj. Wprawdzie tym razem już cały tok sprawy amerykańskiéj wskazywał, że naród, który z taką rozwagą postępował w obronie praw swoich, zdobywszy je, także nie zawiedzie powziętego o nim oczekiwania, zwłaszcza, że między innemi, Bóg i tą szczególniejszą obdarzył go łaską, iż w tak stanowczéj chwili dał mu człowieka, wyposażonego we wszelkie przymioty, jakich w takiéj chwili koniecznie potrzeba przywódzcy narodu. Nie był to ani samozwaniec narzucający się z pretensyą, że sam posiada przywilej lub sekret zbawienia narodu; ani pęcherz nadęty próżnością, ani ambitny intrygant, wichrzący potajemnie, aby za pomocą ślepych narzędzi wypłynąć na wierzch i dogodzić swemu samolubstwu, chociażby kosztem rzetelnéj drugich zasługi, a może i klęską narodu — ani potomek antenatów, w dziejach niegdyś zasłużonych, który nie o swe własne lecz o ich zasługi się oparłszy, radby odegrać rolę, chociaż własna przeszłość do tego nie daje mu prawa. Przeciwnie był człowiek skromny, który sam nigdzie nie pchał się naprzód; człowiek, który nigdzie nawet cieniem samolubstwa nie przyćmił żadnego w życiu swém czynu; człowiek prawy i szczery, sam sobie wszystko winien, pełen poczucia obowiązków i miłości kraju, stający w obronie praw jego w pełném przekonaniu krzywd mu wyrządzanych, z jasną świadomością wielkiéj odpo-

wiedzialności, jaką naród nań wkłada, ale również ufny w pomoc Bożą, która nie opuszcza tego, kto jéj się powierzywszy, bierze na się za wolą narodu spełnienie najdroższéj i najświętszéj powinności. Zresztą człowiek to, który wyniesiony na najzaszczytniejsze w kraju stanowisko, wiernym sobie pozostaje; z tym samym jasnym na sprawę poglądem, z tém samém, co przedtém cenieniem siebie, dalekiém od wszelkiego zawrotu w głowie, jaki tak często opanowywa ludzi wyniesionych na wysokie stanowiska, jakby na świadectwo, że już z przyrodzenia nie są przeznaczeni na zajmowanie miejsc wyniesionych, kiedy im się tam w głowie zawraca. Takiém to błogosławieństwem Opatrzności, takim szczególniejszym jéj darem dla narodu w tak stanowczéj chwili jego życia, był Wasyngton, wódz i wielki obywatel, o którym jeden z nowszych dziejopisazzy następujące zapisał słowa: „Zaufanie, jakie miał do słusznéj sprawy, jego wytrwałość i stanowczość, jego przytomność umysłu, czyto wobec grożącego niebezpieczeństwa, czy po klęsce odniesionéj, przedewszystkiém jego niezmordowana praca około utworzenia i utrzymania wojska, stanowiły w stosunkach najprzykrzejszych dla chwiejących się nadziei współobywateli jedyną kotwicę. Bez tego jednego człowieka, kto wie, czy Ameryka byłaby zdobyła wolność. Nie ilość wielkich, na polu bitwy odniesionych, a blaskiem jaskrawym olśniewających, zwycięstw, nie mnóstwo zdobytych na nieprzyjacielu chorągwi i dział, wielbią w nim dzieje, lecz cnota jego obywatelska twórcza i wszystkich ożywiająca, ta cnota, którą umiał pokonać podłą, samolubną obojętność i zgubną wielu ziomków ospałość, a zamienić ją w żywy dla dobra powszechnego współudział, ta w nim jak najświetniéj jaśnieje. U żadnego z wielkich ludzi czasów nowszych nie splótł się tak ściśle wawrzyn sławy wojennéj z liściem dębowym wieńca zasług obywatelskich.“

Takiegoto męża potrzeba było młodemu narodowi w chwili po osiągnięciu niepodległości, bo właśnie niemałe we własném łonie groziło mu niebezpieczeństwo. Rdzeń armii składali ludzie, którzy przez czas dłuższy odwykli byli od zatrudnień pokojowych. Kongres przyrzekł im jeszcze na lat kilka wypłatę żołdu; ale i tak miało się to raz skończyć, a ostatecznie trzeba było znów wrócić do zajęć dawniejszych, o czém z przykrością bardzo wielu myślało. Prócz tego koleżeństwo wojenne z wojskiem francuskiém samo nasuwało porównanie ich położenia z położeniem francuskiego żołnierza. Tu stan oficerski był zarazem zaopatrzeniem dla znacznéj liczby mło-

dzieży szlacheckiéj. Jakżeżto odbijały mundury, złotymi galonami i haftami błyszczące, francuskich markizów, hrabiów i kadetów od prostych i skromnych mundurów oficerów wojska amerykańskiego! Ci pod tym względem nawet z prostym francuskim muskietierem i grenadyerem równać się nie mogli. Toteż żołnierze amerykańscy mając bardziéj interes stanu swego, aniżeli dobro pospolite na oku i mniemając, że stan wojskowy daleko świetniejsze stanowisko zajmuje w kraju o rządzie monarchicznym, zapragnęli usunięcia formy rządu, która się w ciągu wojny była wykształciła, a zaprowadzenia zamiast niéj rządów monarchicznych. Życzenie to byłoby uzasadnione, gdyby było wyrazem powszechnéj woli narodu. Spór bowiem o to, która forma rządu, republikańska czy monarchiczna, jest lepszą, do niczego nie prowadzi. Historya uczy, że w jednéj i drugiéj narody szczęśliwy wiodły żywot i pomyślnie zdążały do urzeczywistnienia celów, społecznościom uporządkowanym wytkniętych. Stwierdziła ona wielokrotnie, że forma rządu, chociażby najwięcéj bezwzględnym wymogom rozumu odpowiadała, sama przez się nie uszczęśliwiła narodu, jeśli nie było ducha, któryby ożywiał formę, jeśli nie było ludzi, dorosłych do wysokości zadania. „Republikę łatwo zadekretować; ale gdzie znaleść prawdziwych republikanów?“ wołał już jeden z najwybitniejszych zwolenników republiki podczas wielkiéj rewolucyi francuskiéj. Szczęście narodu nie na pewnéj formie rządu zależy; polega ono raczej na uszanowaniu prawa, na poświęceniu samolubstwa na ołtarzu dobra pospolitego, na urzeczywistnieniu celów społecznych najodpowiedniejszém, tak danym warunkom jakoteż siłom i zasobom narodu. Wszak Francya w przeciągu niespełna wieku po raz trzeci jest rzecząpospolitą. Po raz pierwszy rozprzęgła wszelkie żywioły; wystawiła dziejom widowisko najpotworniejszéj gospodarki stronnictw górę biorących, a w końcu z republiki zamieniła się w despotyczny cezaryzm. Poraz wtóry w r. 1848ym po krótkiém istnieniu pogrzebał ją sam jéj wiarołomny prezydent; a naród do powszechnego powołany głosowania, milionami głosów zaspiewał jéj: uroczyste requiem. Poraz trzeci, lat temu kilka, ogłoszono ją w chwili wielkiego narodowego nieszczęścia. Ale republika cudu nie zdziałała; upadłego moralnie pokolenia nie przetworzyła na bohatyrów; Prusaków i Niemców nie wyparła z kraju, Lotaryngii i Alzacyi nie odzyskała, a nawet nie ocaliła honoru narodowego. A i dziś, chociaż istnieje, niepewna siebie z trwogą oczekuje, azali między Burbonami nie przyjdzie do porozumienia, lub

dorastający drugiego Cezara potomek nie oswaja w zaciszu swém na nowo orła, aby powtórzyć za przykładem ojca sceny strasburską i bulońską, a potém republikę zamienić na cezaryzm. I Hiszpanii skołatanéj nie ocaliła republika Kastelara. Nie forma więc, lecz duch, a duch zapełniający umysły; ludzie więc dzielni, stanowią szczęście narodów!

W Ameryce oswobodzonéj nie w świadomości narodu, jak się już rzekło, lecz w samolubstwie jednego stanu, tak łatwo lgnącego do blichtru zewnętrznéj wystawności, wylęgło się pragnienie rządów monarchicznych. Rzecz prosta, że ci, który żywili to pragnienie, chcąc je zamienić w rzeczywistość, oglądać się musieli za człowiekiem, w którym stałoby się ciałem to życzenie ich samolubne. A któż mógł tego dokonać, jeśli nie ten, który przez cały czas stał na czele armii i z nią dokonał oswobodzenia ojczyzny? Toteż jednego ze znakomitszych oficerów, pułkownika Nikolę, wybrała armia na tłómacza swych życzeń. Nikola uczynił to w pismie, bardzo zręcznie ułożoném, dowodząc, że konstytucya z królem na czele najwłaściwszą dla młodéj Ameryki jest formą rządu, czego łatwo można dokonać, jeżeli Wasyngton, zwolna zmierzając do celu, najpierw pod skromnym tytułem naczelnika przyjmie władzę, a po jakimś czasie królem się ogłosi. Zjawiła się więc w tak ponętnéj, ambicyą tak łechcącéj formie, pokusa nielada! Iluż to wodzów na stanowisku Wasyngtona byłoby się jéj oparło! Iluż słuchałoby tego głosu Syreny, niedoznawszy zawrotu głowy! Jedno słowo, chociażby nie całkiem wyraźne, przyzwolenia, ba nawet giest jeden mógł wystarczyć, a wojsko byłoby wodza ogłosiło królem. A duma mogła szeptać do ucha: Śmiało naprzód! wszakto tobie zawdzięcza naród swą niepodległość; tobie i armii, którąś ty stworzył, o którąś się tak gorliwie starał, którąś ty w chwilach niepowodzenia ożywiał swym zapałem, którąś ty wiódł do zwycięstw! Ona, to narzędzie twego geniuszu, ofiaruje ci koronę, która ci się słusznie należy!“ Chwila, a bohatyr mógł spaść ze swéj wysokości moralnéj, na któréj tak długo utrzymał się bez skazy, i powiększyć szereg ludzi głośnych nazwisk, zwycięzców w wielu bitwach, wielkich wodzów, sławą opromienionych, a podziwianych, ale niestety! nie umiejących zwyciężyć samych siebie. Syn nieznanego światu adwokata korsykańskiego, pomimo, że miał już wspaniały w Wasyngtonie przykład, nie umiał się utrzymać na téj wysokości. Purpura i korona, znać, zupełnie go olśniły, kiedy odepchnął kochaną niegdyś

żonę, a zapragnął córy cesarskiéj, by się zrównać z dynastyami panującemi! Ale jest i Nemezis w dziejach: po tronie najświetniejszym w dziejach nowszego świata, skały wyspy św. Heleny!

Jak czarownice Makbetowi okazały złotą przepaskę, tak Wasyngtonowi zabłysła przed oczyma korona. Ale on nie był Makbetem; żądza ambicyi nie znalazła miejsca w jego wielkiéj duszy. „Dam ci to, jeżeli zgrzeszysz; wielkość szczęścia za wielkość zbrodni!“ Tak mniéj więcéj, w słowa zwykłego rozsądku ujęty, brzmiał głos owego odwiecznego kusiciela, węża samolubstwa, owego kłamcy i niszczyciela szczęścia ludzkiego. Wasyngton nie uległ pokusie; bo ani na chwilę nie dał się omotać w jéj sidła. Zaraz bowiem po odebraniu pisma odpisał autorowi jego, pułkownikowi Nikoli, w słowach następujących: „Pismo pańskie przeczytałem z uwagą. Wyłożone w niém zapatrywania wywoływały we mnie naprzemian to niespodziankę, to zdumienie. Spoglądam na te zapatrywania z największą odrazą i jak najsurowiéj potępiam. Na teraz doniesienie pańskie utonie w głębi méj piersi; krok w téj sprawie naprzód, czyniłby naturalnie konieczném jego wyjawienie. Niepodobna mi zrozumieć, czém mogłem ośmielić do takiéj, do mnie wystosowanéj odezwy, która według mego zdania zawiera w sobie największe niebezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek spaśćby mogły na moję ojczyznę. Jeżeli nie myli mnie znajomość samego siebie, tedy nie mogłeś pan znaleść nikogo, komu plany pańskie większą niż mnie sprawiłyby przykrość. Zarazem, aby dać prawdziwy uczuciom swym wyraz, winienem dodać, że nikt szczerzéj odemnie nie pragnie wymierzenia armii zupełnéj słuszności. Użyję na to całego wpływu swojego i wszystkich sił swoich, o ile uczynić to można na drodze konstytucyą przepisanéj. Otóż zaklinam pana, abyś, jeśli cię obchodzi los ojczyzny, jeśli chcesz dbać o dobro swoje i przyszłego pokolenia, a mnie okazać szacunek, stłumił w sobie takie myśli i życzenia, a mnie nigdy o nich nie wspominał ani w swojém własném, ani w cudzém imieniu.“

Taką to odprawę dał prawy syn ojczyzny i najszlachetniejszy jéj obywatel onéj, dla innych tak ponętnéj, pokusie; a każdy uczciwy łatwo zrozumie, że gdyby był jéj uległ, byłby na wieczne czasy splamił czystą swą sławę. Krok proponowany, gdyby go był uczynił, byłby gwałtem popełnionym na całym narodzie, a dogadzającym samolubstwu jednego stanu i ambicyi wodza. Ustawa bowiem zasadnicza tworzącego się udzielnego państwa w głównych zarysach

była już gotowa; wyrabiała się ona podczas ciężkiéj walki; podpisano ją krwią narodu; a ustawa ta nie mieściła w sobie korony.

Żądanie więc, z którém zwróconu się do Wasyngtona, na prosty i uczciwy przełożone język, czemże było, jeśli nie żądaniem, aby popełnił najcięższą zbrodnię stanu? To, czego się przedtém dopuścił rząd angielski, to jest, pogwałcenia praw, ustawą krajową objętych, to samo miał uczynić najwierniejszy praw narodu obrońca w walce przeciw tak ohydnemu wiarołomstwu rządu.

Odprawa ta dana zachceniom wojska, to wielki nietylko Wasyngtona, lecz zarazem człowieczeństwa tryumf, odniesiony przez najszlachetniejszego jego przedstawiciela. Tryumf tém większy i świetniejszy, że odniesiony w czasach panowania onéj, wówczas wielmożnéj a przewrotnéj filozofii, która wyszydzała nawet najświętsze rodu ludzkiego świętości; odniesiony w czasach onéj bezczelnéj i przewrotnéj dyplomacyi, któréj najwierniejszym wyrazem był ów król filozof, coto jak sam wyznaje, dla zaokrąglenia państwa i dla dogodzenia ambicyi, aby historya miała co o nim mówić, Szląsk najechał i zagrabił; — tryumf odniesiony w czasach, w których uknuty potajemnie i w czasie pokoju dokonany rozbiór narodu nie wywołał nawet oburzenia w publicznem sumieniu Europy.

W podobnym duchu, jak w onéj odprawie, żegnał Wasyngton armią, ogłaszając jéj zawarcie pokoju i koniec za kraj walki. Przywiodłszy na pamięć słynne jéj w czasie wojny czyny i wyraziwszy się z zaszczytném o niéj uznaniem; wspomniawszy także o tém, jak to ona, złożona pierwotnie z najróżnorodniejszych żywiołów, z czasem pozbyła się wyniesionych z domu miejscowych przesądów, a zrosła się w całość harmonijną i stanowiła patryotyczny związek braci, upominał, aby i w pokoju zachowała sławę nabytą. Prosił towarzyszy swych i przyjaciół, aby pamiętali, że oszczędność, rozum i pilność, cnoty w obywatelskiém i domowém życiu na równą zasługują chwałę, jak odwaga, wytrwałość i dzielność w wojnie. Oficerowie i żołnierze niech żyją w zgodzie z resztą obywateli i niech wszelkich dokładają starań około utrzymania i wzmocnienia rządu Stanów zjednoczonych; gdyż w razie przeciwnym zginie i teraz i na wieczne czasy cześć i godność narodu.

Z oficerami pożegnał się Wasyngton na wspólnéj uczcie. Podniosłszy kielich rzekł: „Teraz żegnam was sercem, pełném miłości i wdzięczności. Pragnę serdecznie, aby wasze dni późniejsze były równie pogodne i szczęśliwe, jak dawniejsze były zaszczytne i pełne

chwały. A wypiwszy ich zdrowie, dodał: „Niepodobna mi przyjść do każdego, aby go z osobna pożegnać. Jeżeli chcecie przyjść do mnie i dłoń mi uścisnąć, wdzięcznym będę za to.“ Wzruszony w głębi serca wystąpił jenerał Knox,*) najbliżéj wodza stojący, i podał dłoń drżącą. Rozczulony Wasyngton nie mogąc przemówić słowa, rzucił się na szyję jenerałowi. Po kolei przystępowali oficerowie. Z tego pożegnania nikt z suchém nie odszedł okiem.

W kongresie byli także członkowie, którzy pomnąc na przykłady w dziejach, niezupełnie byli pewni, czy Wasyngton po ukończeniu wojny zechce się pozbyć wszelkiéj władzy. Nie bez trwogi więc oczekiwali téj stanowczéj chwili; przekonali się jednak, że niepokoili się bez potrzeby. Na uroczystém posiedzeniu kongresu złożył on naczelne dowództwo. Między innemi rzekł Wasyngton przy téj sposobności: „Niedowierzanie własnym siłom ustąpiło u mnie tylko przeświadczeniu o sprawiedliwości naszéj sprawy i nadziei w pomoc niebios. Zaszczytny wojny téj koniec spełnił wszystkie nasze nadzieje. Wdzięczność moja względem Opatrzności boskiéj i myśl o pomocy, jaką mnie wspierali ziomkowie, stają się żywszemi, gdy sobie przypomnę wszelkie trudności naszego zadania.“ Zakończył zaś przemówienie temi słowy: „Uważam za konieczny obowiązek, abym ostatni ten akt swego publicznego życia zakończył prośbą do Wszechmocnego o błogosławieństwo dla naszéj drogiéj ojczyzny i dla tych, którym powierzono jéj rządy. Sprawa, którąście mnie byli powierzyli, skończona; powracam do mojéj domowéj zagrody; raczy więc prześwietne Zgromadzenie, które tak długo kierowało moimi krokami, przychylić się do méj prośby o odprawę z wojska i uwolnienie mnie od piastowanego urzędu, który pełniłem z jego polecenia.“ Po tych słowach Wasyngton złożył prezydentowi laskę wodza naczelnego.

Prezydent odpowiadając rzekł między innemi: „Kiedy w Nowym świecie powiewa sztandar wolności, pan dawszy ciemiężcom i uciemiężonym wielką naukę, ustępujesz z widowni walki, unosząc ze sobą błogosławieństwo wszystkich ziomków. Ale nie sądź, że sława cnót i zasług Twoich zgaśnie razem z władzą Twą wojskową;

---

*) Tak rzecz opowiada Ferdynand Schmidt; Wojcicki zaś w życiorysie Kościuszki, powyżéj przytoczonym, pisze: „Kościuszko, który stał przy nim (Wasyngtonie) najbliżéj, obrócił się pierwszy ku niemu, nie mogąc słowa przemówić i tłumiąc łzy, które rosiły mu oblicze. Wtedy Wasyngton ujął go za rękę, przyciągnął i przycisnął do piersi.“

nie — zapalać ona będzie po wszelkie czasy serca naszych najpóźniejszych potomków. Łączymy modły nasze z Twojemi, polecając sprawy drogiéj naszéj ojczyzny opiece Najwyższego. Oby uczynił serca i umysły naszych ziomków skłonnemi do korzystania ze wszystkich środków, w jakie nas zaopatrzył, abyśmy się stali narodem szczęśliwym i godnym poważania!“

Wynagrodzenia za czas służby Wasyngton stanowczo nie przyjął; zażądał tylko zwrotu wydatków, których złożył bardzo szczegółowy rachunek, udowodniony właściwymi dokumentami.

Uwolniwszy się tym sposobem ze służby publicznéj, wielki ten, mądry i zacny człowiek wracał na Mount Wernon dla przepędzenia reszty życia w tak ulubioném mu zaciszu życia rodzinnego. O życiu tém pisze on w liście do Lafajeta: „Teraz zdala od zgiełku świata, od zamętu spraw publicznych, oddaję się z rozkoszą tym miłym zajęciom i wrażeniom, które unikają tak wojownika, dążącego do odznaczenia się, jak ministra, dzień i noc pracującego nad uszczęśliwieniem własnego kraju, a może i nad zgubą państw sąsiednich, jakżeby na téj kuli ziemskiéj mało było dla wszystkich miejsca. Dworak, który przyszłą swą dolę czyni zależną od łaskawego uśmiechu swojego władzcy, nie może mieć wyobrażenia o szczęściu, jakiego teraz dostąpiłem. Nie zazdroszczę nikomu, sam każdemu rad będę. Pod tém hasłem zamierzam zwolna płynąć z tokiem mojego żywota, dopóki nie spocznę z moimi przodkami.“ A daléj pisze on do niego: „Szklanka wina i kawał jagnięcia znajdą się zawsze. Kto na tém przestanie, temu z duszy rad będę; kto czegoś więcéj się spodziewa, dozna zawodu.“

Podobnie jak rząd, tak i ludzie prywatni napróżno usiłowali nakłonić Wasyngtona do przyjęcia jakiéj nagrody. Towarzystwo akcyjne, które za jego poradą było się zawiązało w celu urządzenia spławów na dwóch rzekach, otrzymało potwierdzenie kongresu. Przy téj sposobności znów próbowano nakłonić Wasyngtona, któremu towarzystwo zawdzięczało wypracowanie planu bardzo praktycznego, do przyjęcia za udział ten wynagrodzenia. Zgromadzenie ustawodawcze postanowiło zostawić do jego rozporządzenia 150 akcyi, w wartości po sto funtów szterlingów. Sprawie téj nadano taki obrót, że Wasyngton, gdyby był odmówił przyjęcia, obawiał się, aby mu tego nie poczytano za brak należytego dla ustawodawczego zgromadzenia względu. Oświadczył więc, że przyjmuje akcye pod tym jednak warunkiem, żeby mu wolno było użyć ich na rzecz

dobra publicznego. Jakoż tak się stało, bo testament po jego śmierci ogłoszony, przeznaczał kwotę tę na założenie uniwersytetu w środkowéj części Stanów zjednoczonych.

XVII. U kresu życia.

Cztery lata spokojnego życia domowego upłynęło od tego czasu Wasyngtonowi wśród zajęć gospodarskich, kiedy ojczyzna znów zażądała usług jego dla dobra pospolitego. Jednomyślnie obrano go prezydentem Stanów zjednoczonych. Wasyngton wątpił o swéj zdolności do sprawowania najwyższego w państwie urzędu. Utrzymywał on, że powodzenie na polu walki nie jest jeszcze rękojmią dostatecznéj zdolności do kierowania sprawami państwa. Ale naród innego był w tym względzie zdania. W rozlicznych podczas długiéj wojny rozporządzeniach i zarządzeniach Wasyngton nietylko okazał się był wielkim wodzem, lecz i znakomitym mężem stanu. A właśnie teraz, kiedy poprawiona tymi czasy konstytucya miała odbyć pierwszą swą próbę, powszechne było przekonanie, że w takiéj chwili tylko Wasyngton najlepiéj pokieruje sterem rządu. Przyjaciele napierali, aby raz jeszcze zamiłowanie życia wiejskiego poświęcił na jakiś czas ojczyznie. Nie bez wahania się przystał on na to. „Dziś“ — pisze on w swym pamiętniku d. 16go Kwietnia 1789 — „pożegnałem życie i szczęście domowe. Czuję się tak przygniecionym troskami i przykrém uczuciem, że mi brak słów na ich wyrażenie. Wybrałem się w podróż do Nowego Jorku, czyniąc zadość wezwaniu i z najlepszém postanowieniem oddania krajowi mojemu wszelkich możliwych usług, ale z małą nadzieją zadośćuczynienia oczekiwaniom.“

Podróż jego była prawdziwym pochodem tryumfalnym. Szczególniej uczcili go mieszkańcy Trentonu na pamiątkę jego przed dwunastu laty przeprawy przez Delawarę. Na moście ustawiono bramy tryumfalne z stosownymi napisami; dziewczątka w bieli sypały kwiaty pod nogi wybrańca narodu Barka świątecznie ustrojona, a na niéj trzynastu pilotów w imieniu trzynastu Stanów, zawiozła go do Nowego Jorku. Miłość narodu pokrzepiała go; nie zdołała jednak wyprzeć całkiem troski, jaka go trapiła na wspo-

mnienie wielkich przyszłego zadania trudności. Czytać to było można z jego twarzy i z całéj jego postawy.

Obejmując władzę nowy prezydent, przemówił w słowach następujących:

„Nie mogę zacząć urzędowania nowego, abym się nie zwrócił w gorącéj modlitwie do Pana wszechświata, do Boga wszechmocnego, który włada zgromadzeniami narodów i którego Opatrzność wszystko to uzupełnia, czego duchowi ludzkiemu nie dostaje pod względem rozumu i zdolności. Błagam go, aby zlał swe błogosławieństwo na naród Stanów zjednoczonych i otoczył opieką swą rząd, który sam naród sobie nadał, aby się uczynić wolnym i szczęśliwym; wreszcie błagam o łaskę, aby oświecić raczył wszystkich tego państwa urzędników. Oddając tym sposobem hołd Bogu, temu jedynemu wszego dobra twórcy, jestem pewien, że uczucia moje są i waszemi i całego narodu uczuciami. Któryż bowiem naród, jeśli nie nasz, bardziéj winien być gotów do uznania téj wszechpotężnéj a niewidomej ręki, kierującéj sprawami tego świata i do ukorzenia się przed jéj potęgą!“

W końcu zaś przemówienia rzekł Wasyngton:

„Jest to jedna z prawd najpewniejszych, że cnota i szczęście nierozerwanymi są złączone węzłami; obowiązek nasz stanowi szczęście nasze, a zasady mądréj i rzetelnéj polityki, stanowią zawsze podwaliny dobra narodów. Niebo nigdy nie może sprzyjać narodowi, który znieważa odwieczne prawa porządku i sprawiedliwości. Na pełnieniu tych cnót polega utrzymanie świętego płomienia wolności, który jakby tylko poruczono straży naszéj.“

Do Lafajeta pisał Wasyngton: „Zgoda, uczciwość, pilność, pomierność, oto środki do uczynienia nas wielkim i szczęśliwym narodem.“ Droga ta do osiągnięcia szczęścia narodu jest „tak jasna i prosta jak promień światła.“

Płacy i teraz Wasyngton jako prezydent nie przyjął poczytując sobie to za wielkie szczęście, że bez wynagrodzenia może służyć ojczyznie.

Z wybuchem rewolucyi francuskiéj nowe dla młodéj Ameryki zjawiły się trudności. Zajścia w Paryżu uważał Wasyngton za naturalne poprzednich złych rządów następstwo; a poważając poszczególnych Francuzów, których poznał był bliżéj w ciągu wojny, był tego zdania, że większości narodu francuskiego brak moralnéj powagi i grozy, tak niezbędnéj do utrwalenia instytucyi publicznych,

na wolności opartych. Już wówczas, jakby proroczym duchem, przepowiadał koniec rewolucyi francuskiéj. Wskazując rozkiełznanie ludu francuskiego i czyny krwawéj zemsty, jakich się tenże dopuszczał, rzekł Wasyngton: „Na wszelki przypadek jest dość skał i mielizn, o które rozbić się może łódź; ale tym razem z całego tego ruchu wyłoni się despotyzm, daleko zgubniejszy od tego, na który dotychczas użalał się naród francuski.“ — Co było zdrowego w rewolucyi francuskiéj, to Francuzi, uczestniczący w wojnie o niepodległość amerykańską, w znacznéj części z Ameryki wynieśli. Ale zdrowe te zasady na nieszczęście nie długo przeważały; toteż nastąpił późniéj ów zwrot, nacechowany zupełném rozpasaniem się i zezwierzęceniem natury ludzkiéj. Dola Ludwika XVI wstrzęsła Wasyngtona do głębi duszy; nigdy w życiu, jak opowiadali ludzie, w ściślejszéj będący z nim zażyłości, nie widziano go tak przybitego i jakby rażonego gromem, jak w chwili, kiedy go doszła wiadomość o ścięciu króla.

Wybryki francuskie znalazły i w Amerycy odgłos; potworzyły się stowarzyszenia, występujące z roszczeniami francuskich Jakobinów. One to puściły w obieg obraz z napisem „pogrzeb Wasyngtona“, wyobrażający prezydenta Stanów stojącego pod gilotyną. Półgłówki te amerykańskie wcale się nie taiły z zamiarem pozbycia się Wasyngtona i istniejącéj konstytucyi.

Ale w czasie tym szamotania się stronnictw Wasyngton stał tak niezachwiany i nieustraszony, jak niegdyś stał na łodzi podczas przeprawy przez Delawarę, kiedy burza i lody, rzeką pędzone, groziły jéj rozbiciem. Wybitna ta postawa jego moralna i dalszy tok krwawego we Francyi dramatu sprawiły, że skrajne w Ameryce stronnictwo coraz bardziéj traciło znaczenie i wpływ na naród, a w końcu znikło w zapomnienia fali.

W r. 1793 naród po raz wtóry obrał Wasyngtona prezydentem. Ośmioletnie jego rządy błogie dla kraju wydały skutki. Sposób, w jaki zastosowywał i wykonywał ustawy, służył późniéj za wzór najlepszym jego na prezydenturze następcom.

Kiedy po upływie wtórego czworolecia Wasyngton się dowiedział, że na prawdę zamierzano poraz trzeci powierzyć mu godność w państwie najwyższą, usilnie prosił ziomków, aby ster państwa złożyli w młodsze ręce, a w publiczném oświadczeniu całkiem stanowczo odmówił przyjęcia nowego wyboru. Przy téj sposobności,

poniekąd żegnając się z narodem, w te między innemi odezwał się do niego słowa:

„Religia i moralność, to niezbędne podwaliny, na których polega wszelki moralny kierunek i rozwój ducha, a z nim i polityczne powodzenie narodu. Kto podkopuje te potężne filary ludzkiéj szczęśliwości, te niezachwiane podpory, na których spoczywają wszelkie obowiązki człowieka i obywatela, ten napróżno żądać będzie ofiar miłości ojczyzny. Nietylko człowiek pobożnéj wiary, lecz i roztropny polityk powinien czcić i szanować te przewodniczki rodu ludzkiego. Trzebaby całe spisać tomy, aby wystawić ów wpływ różnorodny, jaki one wywierają na uszczęśliwienie każdego człowieka z osobna i całych narodów. Jedno tylko zadają pytanie: Gdzież jeszcze znajdzie się bezpieczeństwo własności, czci i życia, jeżeli zaginie uczucie religijnego zobowiązania, do którego wiąże nas przysięga, ten jedyny środek do zbadania prawdy przed trybunałem sądowym! Twierdzenie, że moralność istnieć może bez religii, należy bardzo sumiennie zbadać, nim się je puści w obieg. Bo chociażby kto wpływowi światłego wychowania u umysłów szczególniejszego usposobienia, wielką przypisywał potęgę, przecież rozum i doświadczenie nie pozwalają przypuszczać, żeby u narodu moralność ostać się mogła bez religii.“

Kończąc mówi Wasyngton: „Kiedy w duchu spoglądam na czas moich rządów, sumienie daje mi świadectwo, że nigdy umyślnego nie popełniłem błędu; mimo to jednak dobrze jestem świadom swoich ułomności, abym nie wiedział, że nieraz się pomyliłem. Na czémkolwiek polegałyby te moje pomyłki, gorąco proszę Wszechmocnego, aby zmniejszył i odwrócił możliwe złe ich następstwa. Ustępuję także z nadzieją, że ojczyzna pobłażliwie sądzić będzie moje ułomności, a, gdy czterdzieści i pięć lat życia z najszczerszą na jéj usługach spędziłem gorliwością, błędy, jakie popełniłem, przypisze mojéj nieudolności i puści w niepamięć temu, który sam niezadługo przeniesie się do wieczności.“

Jeszcze półtrzecia roku Wasyngton błogiego używał szczęścia w domowém zaciszu. Dnia 12go Grudnia 1799 roku na dalszéj przejażdżce konnéj mocno się przeziębił; użyte środki nie odniosły skutku; dolegliwe cierpienie płuc oddech mu zapierało. Przywołanemu lekarzowi chory, jasnym patrząc nań zwrokiem, rzekł ze zwykłym spokojem: „Od samego początku choroby poznałem, że się

z niéj już nie podźwignę. Będę miał śmierć ciężką, ale się jéj nie boję. Oddechu nie nadługo mi wystarczy."

Wieczorem o godzinie dziesiątéj Wasyngton zakończył życie. Działo się to d. 14go Grudnia 1799, w roku życia jego 65tym.

W testamencie darował wolność swym niewolnikom, a starym i do pracy niezdolnym zaopatrzenie zabezpieczył. Znaczne sumy wyznaczył na założenie uniwersytetu i na szkołę bezpłatną dla dzieci ubogich.

XVIII. Cześć jego pamięci.

Drżącym głosem doniósł Jan Marshal izbie reprezentantów o śmierci Wasyngtona. Wrażenie, jakie wiadomość ta wywołała, było tak wielkie, że odroczono posiedzenie.

Zgodnie z ostatnią nieboszczyka wolą pogrzebano zwłoki bez wszelkiéj okazałości i mowy pogrzebowéj w jego ogrodzie. W Izbie reprezentantów okryto krzesło marszałka kirem; posłowie na cały przeciąg sesyi wdziali żałobę. Jan Marshal w porywającéj przemowie oddawszy hołd zasługom zmarłego, złożył następujący, jednomyślnie przyjęty wniosek:

„Wybrany ma być wydział do obmyślenia sposobu, w jaki najgodniéj uczcić należy pamięć Wasyngtona, który „pierwszy był w boju, pierwszy w pokoju i pierwszy w sercach narodu!"

„Pierwszy w boju, pierwszy w pokoju i pierwszy w sercach narodu!"

Zaprawdę słowa te krótko i zwięźle streściły żywot i zasługi wielkiego Obywatela Nowego Świata. Wielu wprawdzie przed nim było pierwszych w boju, ale już może nietylu pierwszych w pokoju. Zadanie to nieco trudniejsze do spełnienia; dawno już bowiem i słusznie powiedziano, że łatwiéj pokonać nieprzyjaciela,

niż nad sobą samym odnieść zwycięstwo. Do zwycięstwa takiego potrzeba więcéj odwagi i męstwa, niż w bitwy odmęcie; innéj téż potrzeba i wojowania sztuki. A wedle dziejów świadectwa wojowanie to i zwycięstwo trudniejsze właśnie dla tych, którzy przywykli do zwycięstwa na polu bitwy.

Być pierwszym w sercach narodu, to zadanie także bardzo trudne, a może nawet najtrudniejsze. Wielu bowiem bohatyrom, w dziejach głośnym, powiodło się wbić niezatartymi, a nieraz nawet boleśnymi, śladami w pamięć ziomków, a nawet w pamięć współczesnych i potomności, ale rzadziéj już który dostąpił zaszczytu pierwszeństwa w sercach narodu.

Słowa Marshala nacechowały przedewszystkiém znaczenie i zasługi Wasyngtona wobec młodéj Ameryki. Mógłby więc ktoś przypisywać im znaczenie więcéj tylko, rzekłbym miejscowe, na jednym kończące się kraju, znaczenie uczuciem narodowém ubarwione. Godzi się przeto jeszcze zastanowić nad znaczeniem Wasyngtona w dziejach rodu ludzkiego w ogólności.

W tym względzie zmarły przed kilku laty historyk niemiecki Gerwinus, który bardzo sumiennie w życiu bohatyra amerykańskiego się rozpatrzywszy, dokładny charakteru jego nakreślił obraz, wielu dostarcza punktów oparcia. Jakaż to była, zapytuje Gerwinus, ta w Wasyngtonie ukryta siła, która dawała mu władzę nad ludźmi a moc nad wypadkami? Oto panowanie rozumu nad namiętnością; skromna dla sądu, zdań i praw drugich względność; głęboka jego natury prawda i powaga; zniewalająca do uszanowania nieugiętość woli w działaniu; rozwaga w przyrzekaniu i przedsięwzięciach; sumienne obowiązku poczucie i wykonywanie; pilna i czujna na boską iskrę sumienia baczność, którą jeszcze młodzieńcem w zasadach swych był sobie przypisał.

Mając przedewszystkiém dobro narodu na oku, wojnę tylko za środek do uzyskania pokoju uważał; tryumfy wojenne, same przez się, były dla niego tylko blichtrem, gdyby do uzyskania niepodległości doprowadziwszy, nie zapewniały zarazem narodowi wolności i ustalonego rozwoju dobra pospolitego.

Wasyngton mógł sobie oddać świadectwo, że nadając posady, nigdy nie powodował się względami przyjaźni lub pokrewieństwa; a nawet sami przeciwnicy mu przyznawali, że pod tym względem nikt nie odznaczał się większą od niego bezstronnością i sprawiedliwością.

Jak przez wojnę można uzyskać spokój?

A jakże pięknie świadczy o całéj pełni natury ludzkiéj naszego bohatyra ów rys jego charakteru, tak wydatnie występujący w stałéj do zacisza domowego tęsknocie, która nawet wśród wojny odmętu nie ginie całkiem, lecz odzywa zawsze, na każdym jego sławy stopniu, i z pola bitwy przenosi się go tak łatwo na pole pracy rolniczéj, zpod namiotu pod cień winnicy i drzewa figowego nad Potomakiem, z wyżyn publicznego życia na poziom przyjemności i uciech domowych zatrudnień, w miłe zacisze życia wewnętrznego, gotującego mu szczęście, o jakiém nic nie wie ani żądny sławy wojownik, ani troskami trapiony mąż stanu.

Rys ten słusznie podnosi Gerwinus, gdyż rzadko w którym z bohatyrów dziejów nowszych występuje on tak wybitnie. Rys ten bowiem, aczkolwiek na pozór, w obec wojennéj i politycznéj bohatyra sławy, mniéj znaczny, przecież właśnie obok tych najwydatniejszych, więc i najbardziéj uderzających rysów, jakby wonny a skromny w bukiecie wspaniałych kwiatów fiołek nie tylko tém wdzięczniéj odbija, lecz i owe wydatne wojownika i męża stanu rysy urokiem swym łagodzi, i w pełną, harmonijną całość zlewa. To też w tém uroczém świetle postać bohatyra, aczkolwiek zasługami wysoko po nad poziom życia codziennego wyniesiona, przecież i zwyczajnym nam śmiertelnikom, bliższą, dostępniejszą i sympatyczniejszą się staje, bo zpoza bohatyra-wojownika i męża stanu, przegląda nam pokrewny: człowiek!

To też tęskny ten a rzewny do życia domowego, w duszy naczelnego wodza i męża stanu tak silny pociąg sprawia, że i historya ze zdumieniem ma tu do czynienia nie z wojownikiem z rzemiosła, dla którego tylko odmęt wojny, albo przynajmniéj przeglądy i parady wojskowe są jedynym żywiołem i życia powabem; nie z żołnierzem z rzemiosła, co przyrósłszy do różnobarwnego munduru, sam siebie nie poznaje, jeśli się uczuje lub w źwierciedle ujrzy w zwykłéj, jednostajnéj sukni obywatelskiéj bez błyszczących guzów, galonów, szlif, epoletów i jak tam zresztą tym świecidłom na imię; nie z żołnierzem, któremu do życia, jak młynarzowi turkotu młyna, potrzeba, jeśli nie huku dział, sygnałów trąb lub warczenia bębna, tedy przynajmniéj brzęku pałasza, u boku nieodstępnego.

Pociąg ten do życia w kole rodzinném i cichych, podziwienie wywołujących, zatrudnień domowych sprawia, że historya zdumiona znów ma tu do czynienia z mężem stanu bardzo różnym od mężów

stanu z rzemiosła, którzy raz dobiwszy się stanowiska, chciwi rządzenia, trzymającego się jak pijany płotu, na niém tylko żyć umieją, i tylko w swych gabinetach i u dworów widzą swój świat cały; a przywykłszy do rządzenia, w niém tylko urok i żywot swój znajdują do tego stopnia, że gdy im przyjdzie ustąpić, pełni goryczy do świata otaczającego i tego co się w nim dzieje, bez zewnętrznych władzy oznak i przyborów poruszać się nie zdolni, w najlepszym razie karmią się się wspomnieniami dawnych wpływów i stosunków swoich i blasku uroczystości dworskich.

I ci, i tamci, to ofiary jednostronnych życia kierunków; w najlepszym razie specyaliści; ale nie ludzie zupełni z całym prawdziwéj człowieczéj natury zasobem. Wasyngton zaś, to nie tylko wódz, nie tylko mąż stanu, lecz zarazem człowiek-obywatel w całéj pełni. Jak ów w starożytném podaniu syn ziemi Anteusz, co to znużony walką nabierał sił, ile razy spoczął na łonie swéj matki ziemi, podobnie i nasz nowożytny bohatyr czerpie siły i odradza się na łonie rodziny, w domowego życia zaciszu.

Również wybitnym a bardzo pięknym w charakterze Wasyngtona rysem jest bezinteresowność, ta służba ojczyźnie bez wynagrodzenia. Prawda, że pan na Monut Wernonie nie potrzebował zapłaty, i za osobliwsze sobie poczytywał szczęście bezpłatną ojczyźnie służbę. Ale iluż to u innych narodów ludzi zajmowało wysokie stanowiska i dostojeństwa, i to także ludzi w równych, a nieraz i w świetniejszych od Wasyngtona majątkowych stosunkach, a przecież nie odmawiali przyjęcia wynagrodzenia, a co gorsza, nieraz nawet wyzyskiwali swe stanowiska! Jakże ta dla ojczyzny ofiarność odbija od tego za dni naszych ubiegania się i gonienia za zyskiem, mimo już znacznych mojątków! Jakżeż inaczéj staje przed nami ta czysta szlachetnego syna ojczyzny postać, w obec owych rzekomych bohatyrów dni naszych, obdzielonych po zwycięztwie łupem wojennym i łup ten bez zawahania się przyjmujących!

A gdzież to, i ile przykładów znajdzie tego kornego woli i praw narodu uszanowania, jako wyrazu najprawdziwszéj miłości ojczyzny; onego bez wszelkiego zawahania się odepchnięcia saméj tylko insynuacyi względem przyjęcia korony, jakich tak świetny dowód złożył Wasyngton?

Świat chrześciański — powiada Gerwinus — nie tak łatwo znajdzie w życiu człowieka, publicznemi zajętego sprawami, drugi

gwałcicieli i zgrai ich poplecznikow, czyniłyby w wymyślaniu środków i głoszeniu teoryi wysilenia; nie może zamienić się w prawo. Przeciwnie gwałt zawsze pozostanie gwałtem, krzywda krzywdą, bezprawie bezprawiem, fakt chociaż dokonany, ale dokonany niemoralnie, jako płód wypaczonéj natury ludzkiéj, jakiekolwiek nadawałby sobie pozory, nigdy nie zdoła zatrzéć hańby swojego pochodzenia.

Krzywda więc i bezprawie, czém dłużéj popełniane, tém tylko większém, sroższém i potworniejszém staje się bezprawiem; a jako rozmyślne prawdy, i moralnéj w gruncie swym natury ludzkiéj wypaczanie, tém ohydniejszą rodzaju ludzkiego zakałą, tém obfitszém nieszczęść i klęsk publicznych źródłem.

Tryumf ten sprawy słusznéj, to sprawiedliwości zadośćuczynie, a długowiecznéj naprawienie krzywdy — to prawdziwy młodéj Ameryki zaszczyt, a w obec niecnéj czasów naszych wolnością frymarki, tém większa nawet około rodu ludzkiego zasługa.

Toż gromadzącym się dziś na wystawę powszechną w Filadelfii, téj długoletniego działania Franklinowego widowni, Europejczykom, czy to obłudnym wolności szalbierzom, czy brutalnéj siły zwolennikom, młoda Ameryka w stuletnią niepodległości swéj rocznicę prócz płodów i wyrobów przemysłu, jakoby po duchu Franklinowym spadkobierstwa, okazać może znów jako zasad Wasyngtona spadkobierczyni, osobliwość rzadką, nad wszelkie wyroby materyalne wyższą, wyrób, że tak rzeknę, przemysłu moralnego: całą warstwą czarnych w o l n y c h o b y w a t e l i! A w dodatku może zapytać się chełpliwych Europy reprezentantów, azali wszyscy i wszędzie, mimo szumnie głoszonych zasad wolności i postępu, braci swych białych już do równych ze sobą praw przypuścili?

I okazać im może różnorodne w skład jéj wchodzące narodowe żywioły, wszystkie zarówno do osiedlania się i nabywania własności w całém państwie uprawnione, wszystkie, własnym jaki im Bóg dał, mówiące językiem, wszystkie o równéj prawa opiece bez ciążącéj na nich klątwy pochodzenia. A w dodatku zapytać może chełpliwéj Europy, azali i ona równą miarą wymierza swym żywiołem narodowym prawa i ich używanie; azali zdjęła z nich ich pochodzenia klątwę?

I okazać im może liczne przeróżnych sekt świątynie i sekt tych wyznania wiary a obrzędy, wszelkiéj godziwéj używające swobody, bez wszelkiego wdawania się władzy, tém mniéj zaś przymusowego na

urzędową wiarę nawracania; przewrotnym zaś europejskim sumienia gnębicielom, a prawdziwéj wolności zaprzańcom i zdrajcom, dodać może, na podobieństwo słów naszego poety, uwagę:

Gdzie już żandarm obrzędów religijnych strzeże,
Żeby w tych krajach wolność była — nie uwierzę.

Oto młodéj, sto lat dopiéro niepodległéj Ameryki, wobec dzisiejszéj Europy stanowisko; to także w wybitniejszy punkt ujęta odpowiedź na pytanie powyżéj zadane, czy Stany zjednoczone w żywéj pamięci mają dziś wielkiego swego bohatyra cnoty; bohatyra, który kierował walką o niepodległość, a jako pierwszy niepodległych Stanów prezydent, pierwsze także pod ich byt dzisiejszy zakładał podwaliny.

Toż jeśli naród zachowa w sercu i pamięci żywy cnót Wasyngtona obraz, jeśli w cnotach jego szukać będzie wzorów i do działania pobudek, tedy, skoro idąc dotychczas w ślad za tym wielkim swym wzorem, dokonał już czynów, zdumienie i podziw reszty świata wzbudzających, w przyszłości osiągnąć może pomyślności stopień, o jakim dziś nawet i marzyć trudno.

Tegoteż w stuletnią jego niepodległości rocznicę życzymy mu z całego serca; życzymy mu w jego własnéj i rodu ludzkiego sprawie. Dlategoteż na uczczenie téj wiekopomnéj w dziejach rocznicy najstosowniejszym wydało nam się środkiem podanie dorastającéj młodzieży żywotów dwóch najznakomitszych Nowego Świata mężów, jako tak wydatnych wzorów cnót i domowych i publicznych. Niech służą jéj za jasne przewodnie na drodze żywota gwiazdy i przykłady, czémto dźwigają się narody, czém dorabiają bytu samodzielnego, czém stoją i kwitną!

Franklin niech służy za przykład, czego to o własnych siłach dokonać może człowiek, skoro siłom tym wytknie cel rozumny, a trwałe i stateczne da zajęcie; skoro weźmie sobie za godło: **„Nie masz geniuszu bez usilnéj pracy!“** Niech służy za dowód, jakieto i na samego pracownika i na dobro pospolite z pracy takiéj spływają błogosławieństwa!

Wasyngton niech promienieje jasnością wielkich cnót publicznych, a w obec dzisiejszego w świecie moralnym zamętu, wobec tak często usiłowanego zaprzeczenia istocie ludzkiéj wyższego nad materyą pierwiastku, zatém i wynikającego stąd tak niewolniczego bałwochwalstwa dla siły brutalnéj i przemocy, jakotéż cynicznéj najświętszemi sprawami frymarki, niech służy za żywy dowód rze-

czywistości i moralnéj potęgi i wyższego a szlachetniejszego, niż zwierzęca, natury ludzkiéj początku!

Praca i cnota, to zdrowie narodu; to lekarstwo nawet na ciężkie w życiu jego choroby; to najskuteczniejszy na podźwignienie się z upadku środek; a „upaść może i naród szlachetny, zginąć tylko nikczemny!“

WARSZAWSKA BIBLIOTEKA SŁOWIAŃSKA

Biblioteka
WAP
46264/II
Naukowa